Biblioteka Politechniki Krakowskiej
100000231572

5000 [illegible]

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

PAWEŁ HEYSE

L'ARRABBIATA

BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ
DRA STANISŁAWA LAMA

TOM 18

PAWEŁ HEYSE

L'ARRABBIATA

LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

PAWEŁ HEYSE

L'ARRABBIATA

NOWELE WŁOSKIE

PRZEŁOŻYŁ
F. MIRANDOLA

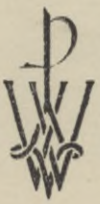

LWÓW—POZNAŃ 1923
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO

OKŁADKĘ RYSOWAŁ E. CZERPER.

I 29.545

POLITECHNIKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA KRAKOWSKA

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM
POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1843/58

L'ARRABBIATA

Słońce nie zeszło jeszcze. Ponad Wezuwjuszem wisiała mgła, ciągnąca się szeroką smugą w kierunku Neapolu i słoniąca małe mieściny pobrzeża. Morze milczało. Mimo to przystań pod wysokiem sorentyńskiem wybrzeżem skalnem, w ciasnej zatoce położona, zaczynała się już roić ludźmi. Rybacy wraz z żonami holowali do brzegu na linach łodzie pełne sieci, wyrzuconych w morze na połów nocny. Inni sposobili barki do drogi, opatrywali żagle, oraz znosili wiosła i reje z wielkich w skale wykutych, kratami zamykanych magazynów, gdzie przybory żeglarskie na noc chowano. Nikt nie próżnował, bo nawet starcy, nie mający przed sobą pracy rybaczej, łączyli się z długiemi szeregami tych, którzy wyciągali z wody ogromne włoki, a tu i owdzie stała na płaskim dachu staruszka z wrzecionem, albo babunia zajęta była wnukami, podczas gdy córka pomagała mężowi.

— Patrz, Rachelo, to nasz padre curato! — powiedziała jedna ze staruszek małej dziesięciolatce, stojącej obok niej z wrzecionem w dłoni — Właśnie wsiada do łodzi. Antonino zawiezie go na

Capri. Maria santissima, jakże zaspaną ma minę czcigodny padre. — Posłała ręką pozdrowienie księdzu małego wzrostu, a wesołego oblicza, który rozsiadł się właśnie w barce, podkasując sutannę i układając ją potem starannie na drewnianej ławie. Ludzie, zajęci na wybrzeżu, przestali na moment pracować, by przyjrzeć się odjazdowi księdza, który słał na wszystkie strony ukłony i uśmiechy.

— Pocóż on jedzie na Capri, babuniu? — spytało dziecko — Czy oni tam nie mają plebana, że muszą sobie od nas pożyczać?

— Nie bądźże głupia! — odparła starowina — Mają dość ślicznych kościołów i księży, a nawet mają pustelnika, jakiego nam brak. To sprawa inna. Uważasz, pewna dostojna signora mieszkała tu długi czas w Sorento, a tak była chora, że padre musiał często chodzić do niej z wiatykiem, bo zachodziła nieraz obawa, że nie przeżyje nocy. Otóż Najświętsza Panienka uzdrowiła ją, tak że stała się na nowo świeża i żwawa i mogła się codziennie kąpać w morzu. Wyjeżdżając stąd na Capri, podarowała całą kupę dukatów Kościołowi i biednym i nie chciała się ruszyć, póki jej padre nie przyobiecał, że będzie jeździł do niej, ile razy zechce się spowiadać. Ceni go niesłychanie i czci, a my możemy czuć się szczęśliwymi, posiadając plebana, który mógłby być arcybiskupem i o którego dobijają się wszyscy wielcy panowie i panie. Niechże go strzeże madonna!

Powiedziawszy to, posłała pozdrowienie w kierunku barki, odbijającej właśnie od brzegu.

— Czy będziemy mieć pogodę, mój synu? — spytał mały księżulek przewoźnika, spoglądając podejrzliwie ku Neapolowi.

— Słońce jeszcze nie zeszło, — odrzekł chłopak — ale da sobie radę z tą odrobiną mgły, myślę.

— Ano, to ruszajmy, by przybyć przed upałem.

Antonino chwycił długie wiosło, chcąc zepchnąć barkę na głąb, ale nagle zatrzymał się i spojrzał w górę, ku skalistej, stromej drodze, wiodącej z miasteczka Sorento do przystani.

Na drodze ukazała się dziewczyna, skacząca żwawo z kamienia na kamień i powiewająca chustką. Pod pachą niosła zawiniątko, a odzież jej była dość uboga. Mimo to dostojnym, dzikim nieco gestem odrzucała głowę wstecz, a czarne warkocze, otaczające jej czoło, tworzyły coś w rodzaju diademu.

— Na cóż to jeszcze czekamy? — spytał padre.

— Nadchodzi jeszcze ktoś, kto pragnie dostać się na Capri, oczywiście, jeśli pozwolicie, padre. Nie będziemy przez to płynęli dłużej, bo to jeno młoda dziewczynina, niespełna lat ośmnastu.

W tej chwili pośród murów, brzeżących drogę, wyszła dziewczyna.

— Laurella? — zdziwił się padre — Cóż ona ma do roboty na Capri.

Antonino wzruszył ramionami, a dziewczyna zbliżyła się szybko, patrząc wprost przed siebie.

— Dzień dobry l'Arrabbiata! Jak się masz! — krzyknęło kilku młodych rybaków. Byliby dodali niejedno jeszcze pewnie, gdyby nie obecność księdza, gdyż zuchwała mina i milczenie, jakiemi przyjęła dziewczyna pozdrowienia, drażniły swawolników.

— Dzień dobry, Laurello! — zawołał również i padre — Jak się masz? Czy chcesz jechać także na Capri.

— Jeżeli wolno, padre! — odrzekła.

— Spytaj Antonina! On jest właścicielem łodzi, a mienia swego jest każdy panem, podobnie jak panem nas wszystkich jest Bóg.

— Masz pół karlina! — powiedziała Laurella do młodego rybaka. — Czy wystarczy na opłatę?

— Przyda ci się bardziej niż mnie! — mruknął chłopak, odsuwając kosze z pomarańczami i robiąc miejsce. Wiózł owoce na sprzedaż na Capri, gdyż ta skalista wyspa nie rodzi tyle, by wystarczyło dla licznych przybyszów z całego świata.

— Nie chcę jechać darmo! — odparła, a z pod czarnych brwi strzeliły błyskawice.

— Dajże spokój, dziecko! — rzekł proboszcz — To dzielny chłopak i nie chce się bogacić tą odrobiną ubóstwa twego. No, wsiadaj — podał jej rękę — i siądź tu koło mnie. Widzisz, podesłał ci swój kaftan, by ci miękcej było. Mnie tego nie zrobił.

Ach, młodzi zawsze tacy, mają więcej starania o jedną młodą dziewczynę niż o dziesięciu księży. No, no, nie tłumacz się, Tonino. Bóg tak już wszystko urządził, by swój ciągnął do swego.

Laurella wsiadła tymczasem i zajęła miejsce na ławie bez słowa, odsunąwszy przedtem na bok kaftan Antonina. Młody rybak nie zabrał go, mruknął tylko coś przez zęby. Potem oparł wiosło silnie o tamę przystani i mała barka wybiegła chyżo na wody zatoki.

— Co masz w tem zawiniątku? — spytał proboszcz, podczas gdy łódka pruła fale morza, złocące się pierwszemi promieniami słońca.

— Jedwab, przędzę i bochenek chleba, padre — odparła — Mam sprzedać jedwab pewnej kobiecie na Capri, która robi wstążki, a przędzę drugiej.

— Czyś sama przędła?

— Tak, księże proboszczu.

— O ile pamiętam, umiesz także robić wstążki.

— Tak, umiem. Ale matka moja ma się znowu gorzej, tak że nie mogę często wychodzić z domu, a na własny warsztat tkacki nas nie stać.

— Gorzej? Och! Przecież nie leżała w łóżku, kiedym był u was w święta wielkanocne.

— Wiosna, to zawsze najgorszy dla niej czas. Od kiedyśmy mieli wielkie burze i trzęsienie ziemi, leży i cierpi bardzo.

— Módl się, drogie dziecko, żarliwie i proś Najświętszej Panienki o wstawiennictwo. A bądź dobrą i uczciwą, by twe modły wysłuchane zostały.

Nastąpiła pauza, poczem ksiądz powiedział:

— Gdyś zbliżała się do wybrzeża, wołali do ciebie rybacy: — Jak się masz l'Arrabbiata? — Czemuż to zowią cię tem imieniem? Nie jest ono odpowiednie dla chrześcijanki, która winna być łagodna i pokorna.

Brunatna twarz dziewczyny oblała się rumieńcem, a oczy jej rozbłysły.

— Drwią sobie ze mnie, bo nie tańczę, nie śpiewam i nie paplam bezustannie jak inne. Powinniby mnie zostawić w spokoju, bom im nic nie winna.

— Mogłabyś jednak być uprzejmiejszą dla ludzi. Niech tam sobie tańczą i śpiewają te, którym życie lżej płynie, ale dać każdemu dobre słowo, to rzecz przystojna nawet temu, kto jest smutny.

Spuściła oczy i silniej jeszcze ściągnęła brwi, jakby chciała pod niemi skryć czarne swe oczy. Przez chwilę płynęli w milczeniu. Słońce błyszczało wspaniale ponad górami, krater Wezuwjusza kreślił się ostrym konturem ponad zwałem mgły otulającym jeszcze jego stopy, a domy Sorento rozsiane po równi połyskiwały bielą na tle zieleni sadów pomarańczowych.

— Czy nie masz wieści, Laurello — spytał ksiądz nagle — od owego malarza z Neapolu, który starał się o twoją rękę?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przybył swego czasu umyślnie, by cię portretować. Czemużeś mu odmówiła?

— Na cóżby mu był mój portret? Jest dużo piękniejszych ode mnie dziewcząt. Zresztą, któż wie co mógł z tym portretem wyrabiać! Matka mówiła, że są tacy, co w ten sposób czarują, szkodzą duszy człowieka, a nawet uśmiercają.

— Nie wierz w takie grzeszne rzeczy! — rzekł poważnym głosem ksiądz. — Wszakżeś jest w ręku Boga, bez woli którego włos ci z głowy spaść nie może. Czyż mógłby człowiek z portretem w ręku być silniejszym niźli Bóg? Zresztą wiedziałaś przecież dobrze, że ci sprzyja. Inaczej nie starałby się przecież o ciebie.

Milczała.

— Czemużeś mu odmówiła? Był to dzielny człowiek i piękny mężczyzna, a przytem mógł ciebie i matkę twą znacznie lepiej i łatwiej wyżywić, niźli ty przy pomocy przędzenia i snucia jedwabiu.

— Jesteśmy biedne, — zawołała porywczo — a matka chora oddawna, byłybyśmy mu przeto ciężarem. Nie nadaję się zresztą na signorę. Wstydziłby się mnie napewno wobec przyjaciół swych.

— Mów sobie, co chcesz, a ja twierdzę, że był to człowiek co się zowie. Chciał się też przesiedlić do Sorento. Nie prędko zaiste zjawi się ktoś taki, wprost z nieba zesłany, któryby wam chciał iść z pomocą.

— Nie chcę męża, nie pójdę za mąż nigdy! — powiedziała upornie i zapatrzyła się w dal.

— Czyś złożyła ślub, lub chcesz wstąpić do klasztoru? — spytał.

Zaprzeczyła głową.

— Ludzie mają tedy rację, biorąc ci za złe twą uporczywość, chociaż zwą cię zgoła niepięknie. Pamiętaj, że nie sama jesteś na świecie, a zacietrzewienie twe zatruwa życie matce twej i czyni jej chorobę dotkliwszą jeszcze. Jakież mieć możesz ważne powody, by odrzucać dłoń szlachetną, która ciebie samą i matkę wesprzeć pragnie? Odpowiedz na to, Laurello?

— Mam powód, — rzekła cicho, z wahaniem — ale wyznać tego nie mogę.

— Nie możesz wyznać? Mnie nawet, swemu spowiednikowi, w którego życzliwość wierzyć chyba musisz? A może mi nie ufasz?

Skinęła twierdząco.

— Ulżyj sercu swemu, dziecko! — rzekł ksiądz. — Jeśli słuszność po twojej stronie, pierwszy ci ją przyznam. Ale młoda jesteś i niewiele wiesz o świecie, a w późniejszym wieku mogłabyś żałować, żeś lekkomyślnie zmarnowała całe swe szczęście.

Spojrzała przelotnie, lękliwie na młodego przewoźnika, który, siedząc u steru z czapką nasuniętą na oczy, wiosłował wytrwale. Spojrzenie jego utkwio-

ne było w morze, a wyraz twarzy świadczył, że zatopiony jest we własnych myślach. Ksiądz podchwycił to spojrzenie i przychylił bliżej ucha.

— Nie znaliście, padre, ojca mego! — szepnęła, a oczy jej błysły ponuro.

— Ojca twego? Wszakże zmarł, o ile wiem, kiedy miałaś niespełna dziesięć lat. Cóż ma wspólnego ojciec twój, którego dusza przebywa zapewne w niebie, z uporem twoim i zapamiętałością?

— Nie znaliście go, padre, i nie wiecie, że on jeno jest przyczyną choroby matki mojej.

— Czyż być może?

— Bił ją, poniewierał, deptał nogami. Pamiętam owe noce, kiedy wracał do domu oszalały. Matka milczała zawsze i czyniła, co chciał. On zaś bił ją tak, że serce mi omal nie pękło. Nakrywałam głowę kołdrą i udawałam, że śpię, ale płakałam strasznie. Gdy ją zbił i rzucił o ziemię, zmieniał się nagle, podnosił i całował z taką dzikością, że krzyczała z obawy, iż ją zadusi. Zabroniła mi mówić o tem, ale przejścia te do tego stopnia podkopały jej zdrowie, że mimo iż ojciec od lat całych nie żyje, matka dotąd sił odzyskać nie może. Gdyby zmarła, wiedziałabym, zaiste, kto ją zamordował.

Mały księżunio chwiał głową niepewny, co ma rzec swej penitentce. Po chwili powiedział:

— Przebacz mu, jak przebaczyła matka twoja. Nie przywodź sobie, Laurello, ciągle na myśl tych

smutnych obrazów. Nadejdą dla ciebie czasy lepsze, tak że zapomnisz o przeszłości.

— Nigdy tego nie zapomnę! — zawołała, drgnąwszy gwałtownie — Oto powód, czcigodny padre, dlaczego chcę pozostać dziewicą i nie podlegać nikomu, ktoby mną poniewierał, by potem całować. Dziś mogę się obronić przed każdym, któryby mnie chciał bić i całować, ale biedna matka moja nie mogła bronić się przed biciem ni pocałunkami, bo go kochała. Ja zaś nie chcę nikogo kochać do tego stopnia, bym przezeń zachorzeć miała i popaść w nieszczęście.

— Nie jesteś już dzieckiem, Laurello, — powiedział ksiądz — a mówisz jak ktoś, kto zgoła nie zna toku spraw świata. Czyż wszyscy mężczyźni, podobnie jak twój biedny ojciec, ulegają każdej zachciance, czy namiętności i źle się obchodzą z żonami swemi? Czyż nie spotkałaś w sąsiedztwie uczciwych mężczyzn i kobiet, żyjących z sobą zgodnie, cicho i przykładnie?

— Nikt nie wiedział — odparła — jak się ojciec mój obchodzi z matką, gdyż wolałaby była umrzeć raczej, niż skarżyć się i narzekać. Kochała go i dlatego znosiła wszystko. Tak się dzieje zawsze. Miłość zamyka usta, które krzyczeć winnyby ratunku, miłość obezwładnia wobec zła, gorszego od tego, jakiegoby doznać można od wroga i dlatego nie oddam serca mego mężczyźnie nigdy!

— Mówisz jak mówić zwykło nieświadome życia dziecko. Serce twe nie będzie się zgoła pytało o przyzwolenie, gdy czas miłości nadejdzie. Wówczas nie pomogą najsilniejsze postanowienia. — Zamilkł, a po chwili spytał: — Czyś miała powód przypuszczać, że malarz ów obchodziłby się źle z tobą?

— W oczach miał ten sam wyraz co ojciec, gdy przepraszał matkę, obejmował w ramiona i mówił słodkie słowa. Znam te oczy, tak patrzeć może ten, kto jest w stanie krzywdzić niewinną kobietę. Dreszcz mnie przebiegł na widok tych oczu.

Zamilkła, a ksiądz również się nie odzywał. Przychodziły mu na myśl różne piękne sentencje, jakiemiby mógł był zbudować dziewczynę. Ale obecność młodego przewoźnika, który pod koniec spowiedzi stał się jakiś niespokojny, zamykała mu usta.

Po dwugodzinnej jeździe znaleźli się w małej przystani Capri, a Antonino wyniósł księdza z barki i, przebrnąwszy z nim zalaną małemi falami przestrzeń wybrzeża, postawił go na suchym lądzie, gestem pełnym szacunku. Laurella nie czekała atoli, aż po nią wróci. Zakasała spódnicę, wzięła w prawą rękę drewniane saboty, w lewą zawiniątko i przeprawiła się co żywo na brzeg.

— Dzisiaj zostanę dłużej na Capri, — rzekł ksiądz – to też nie czekaj na mnie, Antonino. Może nawet aż jutro powrócę. Pozdrów ode mnie matkę

Biblioteka Uniwersytecka

twą, Laurello, i powiedz, że jeszcze w tym tygodniu ją odwiedzę. Wrócisz pewnie jeszcze przed nocą do domu, prawda?

— O ile nadarzy się okazja! — odrzekła, poprawiając coś koło stanika.

— I ja również dziś wracać muszę, Laurello, — powiedział Antonino tonem, jak mu się wydawało nader obojętnym — zaczekam na ciebie tedy aż do wieczornego Ave. Jeśli nie przyjdziesz, to sobie sam pojadę.

— Jedź z nim, Laurello! — poradził ksiądz. — Nie powinnaś zostawiać matki samej na noc. Czy daleko idziesz?

— Na Anacapri, do jednej z winnic.

— Ja zaś udaję się na Capri. Niech cię Bóg strzeże, dziecko, i ciebie także, chłopcze!

Laurella pocałowała księdza w rękę i rzuciła pozdrowienie tego rodzaju, że mogli się nim obaj podzielić. Ale Antonino nie brał go do siebie. Zdjął przed księdzem czapkę, na Laurellę zaś nie spojrzał nawet.

Gdy się doń jednak obróciła plecami, oczy Antonina pobiegły na krótką jeno chwilę za czcigodnym proboszczem, gramolącym się z trudem po grubym żwirze i skałach w górę, natomiast zapatrzyły się w dziewczynę, pnącą się po stromem zboczu, z dłonią u czoła, osłaniającą twarz przed ostrem światłem słońca. U wnijścia na drogę ujętą w dwa

równoległe mury skalne, przystanęła dla zaczerpnięcia oddechu i obejrzała się. U stóp jej leżała przystań, wkoło piętrzyły się skalne, prostopadłe ściany, w dali błękitniało przecudne morze. Widok był, zaprawdę, godny spojrzenia. Przypadek zrządził, że oczy jej, mijając barkę Antonina, zetknęły się z oczyma chłopca, zapatrzonemi w nią. Uczynili oboje gest, jakby chcieli wzajem wyrazić, że zaszła prosta omyłka, poczem Laurella ruszyła dalej, a na ustach jej widniała ponura zaciętość uporu.

*

Była dopiero pierwsza popołudniu, a już od dwu godzin siedział Antonino na ławie przed gospodą rybacką i czekał. Musiało coś tkwić upornie w jego myślach, bo zrywał się co pięć minut, wychodził na słońce i badał troskliwie, jedną po drugiej wszystkie ścieżki, wiodące w prawo i lewo do obu wyspiarskich miasteczek. Potem, zwracając się do gospodyni austerji, powiedział, że pogoda wydaje mu się mocno wątpliwą. Niebo jest coprawda czyste, ale posiada, równie jak morze barwę znaną mu dobrze. Zupełnie tak samo wyglądało przed ostatnią, wielką burzą, która omal nie pochłonęła całej rodziny podróżnych Anglików. Spytał, czy to pamięta.

— Nie! — odrzekła kobieta.

— Ano to wspomnijcie o mnie, jeśli się pod wieczór okaże, żem miał rację! — powiedział.

— Czy macie dużo gości — spytała po chwili gospodyni.

— Zaczynają się zjeżdżać! — odparł. — Dotąd biedowaliśmy bardzo. Kuracjusze, a zwłaszcza ci, którzy mieli brać kąpiele morskie, kazali na siebie długo czekać tego roku.

— Wiosna się spóźniła. Czy lepszeście mieli zarobki niż my, na Capri?

— Nie starczyłoby na dwie porcje makaronu tygodniowo, gdybym miał żyć z tego jeno, co daje barka. Od czasu do czasu trafi się przywieźć list do Neapolu, albo powozić po morzu jakiegoś signora, który chce łapać ryby na wędkę i na tem koniec. Wiecie atoli może, że wuj mój jest właścicielem wielkich sadów pomarańczowych i zwą go bogaczem. Tonino, powiedział mi on, jak długo żyję, na niczem ci zbywać nie będzie, a i potem zapewniona będzie przyszłość twoja. Przetrwałem tedy wcale dobrze zimę.

— Czy wuj wasz ma dzieci?

— Nie. Jest kawalerem, a w długich podróżach za granicą zebrał sporo piastrów. Teraz zamierza urządzić wielkie przedsiębiorstwo rybołówcze, mnie zaś uczyni zarządcą, bym pilnował wszystkiego.

— Jesteście tedy pan całą gębą, Antonino.

Młody żeglarz wzruszył ramionami i odparł, że każdy ma swą porcję utrapienia. Potem

zerwał się i, patrząc w prawo i lewo, badał stan pogody, chociaż wiedzieć chyba musiał, że burza od jednej jeno strony nadciągać zwykła.

— Przyniosłam jedną jeszcze flaszkę. Wuja waszego stać na zapłatę! — powiedziała gospodyni.

— Szklanka wystarczy! — odrzekł — To jakieś mocne wino. Już je czuję w głowie.

— Nie wzburza ono krwi. Możecie pić do woli. Nadchodzi właśnie mój mąż, z którym musicie pogwarzyć bodaj chwilę.

W istocie zbliżał się, schodząc ze skalnej wyży, padrone szynkowni, w czerwonej czapce na krętych włosach, z siecią przewieszoną przez ramię. Nosił do miasta ryby, zamówione przez ową dostojną damę, u której gościł właśnie mały proboszcz sorentyński. Ujrzawszy młodego żeglarza, przesłał mu ręką serdeczne powitanie, potem usiadł obok niego na ławie i zaczął pytać i rozpowiadać. Właśnie przyniosła gospodyni drugą flaszkę prawdziwego, niesfałszowanego wina kapryjskiego, gdy nagle zazgrzytał od lewej strony piasek wybrzeża i ukazała się Laurella, idąca z Anacapri. Skinęła lekko głową i zatrzymała się, niepewna co czynić.

Antonino wstał szybko i powiedział, że musi odjeżdżać, bo ma zawieźć do Sorento tę dziewczynę, która przybyła rano z padrem curato, a teraz wraca do chorej matki.

— Jeszcze bardzo daleko do wieczora! — zauważył gospodarz — Może się i ona śmiało napić wina. Hej, żono, przynieśno jeszcze jedną szklankę.

— Dziękuję, nie pijam nigdy! — odparła, trzymając się na uboczu Laurella.

— Nalejno, żono, nalej! Robi tylko ceregiele.

— Dajcie spokój! – rzekł Antonino. – To uparte stworzenie, gdy czegoś nie chce, święty sam z nią nie poradzi! — Powiedziawszy to, pożegnał pospiesznie gospodarzy, zbiegł na dół ku barce, odwiązał linę i stanął u brzegu, czekając na dziewczynę. Laurella pożegnała skinieniem głowy szynkarza i jego żonę, poczem zbliżyła się z wahaniem, rozglądając się na wszystkie strony, jakby miała nadzieję, że nadarzy się jeszcze jakiś trzeci uczestnik podróży. Ale przystań była niemal pusta, rybacy spali, albo wyruszali na połów z wędkami i siećmi, pod drzwiami domostw siedziały dzieci i kobiety, śpiąc, lub przędąc, zaś cudzoziemcy, którzy przybyli rankiem, czekali z powrotem na chłodniejszą porę dnia. Dziewczyna niedługo mogła się rozglądać, bo Tonino chwycił ją w ramiona i zaniósł jak dziecko do łodzi. Potem wskoczył sam i po kilku ruchach wiosła znaleźli się na pełnem morzu.

Siadła na przodzie barki, obróciwszy się doń tak, że widział ją jeno z profilu. Rysy jej twarzy poważniejsze były jeszcze niż zazwyczaj, czarne

włosy spadały nisko na czoło, a delikatny nos i zaciśnięte usta wyrażały upór i zapamiętałość wielką. Jechali przez czas jakiś w milczeniu, a Laurella, uczuwszy, że słońce ją pali w głowę, wyjęła z zawinią'ka chleb i chustką okryła warkocze. Potem zaczęła jeść chleb. Był to jej cały obiad, a od rana nic nie miała w ustach.

Antonino nie mógł na to długo patrzeć. Wyjął z jednego z koszy, pełnych rano, dwie pomarańcze, podał jej i rzekł:

— Masz dodatek do chleba, Laurello! Nie sądź, żem je schował umyślnie dla ciebie. Stoczyły się z kosza do łodzi, a znalazłem je, wracając z targu.

— Zjedz tedy sam! — odparła. — Mnie dosyć chleba.

— Orzeźwią cię w tem gorącu, a zmęczyłaś się daleką drogą.

— Dostałam szklankę wody i orzeźwiłam się już.

— Jak chcesz! — powiedział i cisnął owoce do kosza.

Zapadło znowu milczenie. Morze było gładkie jak zwierciadło, a woda szumiała zlekka tylko u steru barki. Gnieżdżące się po graniach nadbrzeżnych ptaki drapieżne przemykały bezgłośnie za łupem.

— Mogłabyś te dwie pomarańcze zanieść matce, Laurello! — zaczął na nowo.

— Mamy jeszcze trochę w domu, a gdy ich nie stanie, kupię świeżych.

— Weźże, proszę cię i zanieś z pozdrowieniem ode mnie.

— Nie zna cię przecież.

— To powiedz jej, kto jestem.

— Ja cię również nie znam wcale.

Nie pierwszy to już raz zapierała się znajomości z nim. Zdarzyło się przed rokiem, właśnie wówczas, kiedy przybył do Sorento ów malarz neapolitański, że Antonino zabawiał się pewnej niedzieli z towarzyszami swymi grą zwaną boccia na placu tuż obok głównej ulicy miasta. Tam to ujrzał malarz po raz pierwszy Laurellę, idącą z dzbanem wody na głowie i nie zwracającą na nikogo uwagi. Uderzony tym widokiem, stanął, zapatrzył się w nią, nie bacząc, że znajduje się w samym środku placu gry, chociaż dwoma krokami mógł wyjść poza krąg grających. Nagle potrąciła go silnie w kostkę jedna z kul, przypominając, że nie jest to miejsce odpowiedne do medytacji. Młody żeglarz, który ją rzucił, stał milcząc w tak wyzywającej postawie pośród towarzyszy, że cudzoziemiec uznał za stosowne umknąć sprzeczki i odszedł. O zajściu tem mówiono jednak potrochu, a przyszło ono wszystkim ponownie na pamięć, gdy malarz zaczął się jawnie starać o rękę Laurelli. Gdy pytał, czy mu odmawia z powodu owego niedorzecznego

chłopaka, oświadczyła z niechęcią, że go wcale nie zna. O zajściu tem musiała jednak przecież słyszeć i, spotkawszy Antonina, poznać go chyba musiała z łatwością.

Siedzieli w barce jak dwoje wrogów, a obojgu biły serca gwałtownie. Dobrotliwe zazwyczaj oblicze Antonina pałało gorącym rumieńcem. Bił wiosłami w fale, tak, że piana oblewała go całego, a wargi mu drżały, jakby miotał klątwy. Ona udawała, że niczego nie dostrzega, przybrała obojętny wyraz, pochyliła się nad wodą i puszczała przez palce fale. Potem zdjęła chustkę i poprawiła włosy, jakby sama jeno znajdowała się w barce. Drżały jej jeno brwi i daremnie chłodziła mokremi dłońmi pałające policzki.

Znajdowali się na pełnem morzu, a wokół jak wzrok sięgał, nie było widać żagla. Wyspę zostawili daleko za sobą, wybrzeże skąpane w słońcu majaczyło w oddali, w pustce, jaka ich otaczała, nie jawiła się nawet mewa. Antonino obejrzał się wokoło. Myśl jakaś opanowała go widocznie, bo zbladł nagle i opuścił wiosła. Mimowoli spojrzała nań Laurella z zaciekawieniem, ale bez śladu trwogi,.

— Muszę z tem wszystkiem raz skończyć, — wybuchnął chłopak — Trwa to za długo i dziwię się, żem dotąd wytrwał i nie sczezł marnie. Powiadasz, że mnie nie znasz? Czyżeś mi się nie dość jeszcze napatrzyła, gdym krążył wkoło ciebie, pragnąc wypowiedzieć, co mam w sercu. Zawsześ jednak ro-

biła odpychające miny i obracałaś się do mnie plecami.

— Cóż miałam z tobą do gadania? — odparła — Widziałam wprawdzie, że chcesz się ze mną zapoznać, ale nie miałam nigdy ochoty dostać się na języki ludzkie i to bez żadnej podstawy. Nie chcę zostać żoną twoją i wogóle nie chcę wcale za mąż wychodzić.

— Nie chcesz? Tak sądzisz teraz może, ale to nie potrwa długo! Cóż stąd, żeś odesłała z kwitkiem malarza? Byłaś dzieckiem jeszcze. Samotność da ci się jeszcze we znaki, a że jesteś szalona, weźmiesz pierwszego lepszego.

— Nikt nie zna przyszłości swojej, — odparła — przeto, być może, zmienię zapatrywanie. Cóż to jednak może obchodzić ciebie?

— Co mnie to obchodzi? — krzyknął i zerwał się z ławki sterniczej tak, że łódź zachwiała się gwałtownie — Czyż możesz tak mówić, wiedząc co się ze mną dzieje? Zabiłbym każdego, ktoby uzyskał od ciebie więcej ode mnie!

— Skądże to prawo? Czym ci się przyobiecała? Czyżem winna, że ci się przewróciło w głowie?

— O, — zawołał — nie spisał tych praw coprawda po łacinie żaden adwokat i nie opatrzył ich pieczęcią, wiem jednak, że mam do ciebie tyle prawa co do nieba, gdzie się dostanę, jeśli będę wiódł żywot uczciwy. Czy sądzisz, że będę patrzał spokojnie, jak pójdziesz z innym do ołtarza, że pozwolę, by dziew-

częta, mijając mnie, wzruszały ramionami? Czy sądzisz, że zniosę tę hańbę?

— Czyń co chcesz! Nie dam się zatraszyć i uczynię również, co zechcę.

— Niedługo tak będziesz mówiła! — zawołał, drżąc całem ciele — Jestem na tyle mężczyzną, by nie pozwolić sobie psuć życia przez upartą jak ty dziewuchę. Czy wiesz, że jesteś tu w mojej mocy i uczynić musisz, co zechcę?

Drgnęła lekko i błysnęła ku niemu oczyma.

— Zabij mnie, jeśli śmiesz! — powiedziała zwolna.

— Nie należy niczego czynić połowicznie! — odparł chrapliwym głosem — Dość miejsca w morzu na nas oboje! Niema rady, dziecko — powiedział tonem litośnym niemal i jakby przez sen — musimy się tam znaleźć oboje razem i to natychmiast! — Krzyknął przeraźliwie i chwycił ją oburącz. Ale w tejże chwili cofnął prawą rękę, gdyż uczuł straszliwe ukąszenie.

— Pokaże się, czy muszę uczynić, co chcesz! — zawołała, odtrącając go od siebie — Pokaże się, czy jestem w mocy twojej! — To rzekłszy, skoczyła z łodzi i znikła momentalnie w głębinie.

Wypłynęła zaraz na powierzchnię. Spódnica owinęła się wkoło jej ciała, włosy rozplecione przez fale spływały po karku. Silnie pracowała ramionami, kierując się w stronę wybrzeża. Nagły strach obezwładnił go i odebrał zmysły. Stał w barce, pochylony

naprzod, z wzrokiem tępo w nią utkwionym, jakby patrzył na cud. Potem wstrząsnął się, pochwycił wiosła i pchnął łódź z całą siłą w jej kierunku, nie bacząc, że krew spływa ze skaleczonej ręki, barwiąc dno statku.

Mimo, że płynęła szparko, za chwilę znalazł się u jej boku.

— Na madonnę błagam cię, — zawołał — wróć do łodzi! Byłem szaleńcem. Bóg wie, co mi omroczyło zmysły. Piorun spadł z nieba, mózg mi poraził i nie wiedziałem, co czynię i mówię. Nie chcę nawet, byś mi przebaczyła, Laurello, pragnę jeno ocalić życie twoje. Wracaj do łodzi!

Płynęła jakby nie słyszała słów jego.

— Nie dopłyniesz, bo dwie jeszcze mile do brzegu! — zawołał znowu — Wspomnij matkę swoją. Umarłbym z przerażenia, gdyby ci się zdarzyło nieszczęście.

Zmierzyła spojrzeniem odległość wybrzeża, potem, nie odpowiadając wcale, skierowała się ku barce i chwyciła się jej rękami. Wstał, by jej pomóc. Kaftan jego, leżący na ławce, zesunął się w wodę w chwili, gdy łódź, obciążona jednostronnie ciężarem wsiadającej dziewczyny, pochyliła się na bok. Laurella wspięła się zręcznie i po chwili zajęła poprzednie swe miejsce. Widząc, że jest bezpieczna, chwycił za wiosła, ona zaś wyciskała wodę z odzieży i włosów. Spojrzenie jej padło na dno łodzi i zobaczyła krew.

Rzuciła szybko oczyma na jego rękę, władającą wiosłem, jakby wcale skaleczoną nie była.

— Masz! — rzekła, podając mu chustkę.

Potrząsnął jeno głową i wiosłował dalej. Wstała, przystąpiła doń i przewiązała mu rękę, w której była głęboka rana. Potem wzięła mimo oporu jedno wiosło, siadła naprzeciw i, nie patrząc nań, ale jeno na okrwawione wiosło, dopomagała silnemi pchnięciami pędzić barkę. Oboje byli bladzi i niemi. Gdy się zbliżyli do wybrzeża, napotkali rybaków, zakładających na noc sieci. Wołali Antonina i przekomarzali się z Laurellą. Żadne jednak nie odpowiadało słowem.

Słońce stało dość wysoko jeszcze nad Procidą, kiedy dotarli do przystani. Laurella wygładziła jak mogła sukienkę, która niemal całkiem wyschła na morzu, i wyskoczyła na brzeg. Stara babunia, która patrzyła rano na ich odjazd, stała znowu z wrzecionem na płaskim dachu.

— Cóż ci to w rękę, Tonino? — spytała — Jezus, Marja, w barce krew!

— To nic, commare, — odparł chłopak — skaleczyłem się o gwóźdź sterczący. Jutro będzie po wszystkiem. Ta przeklęta krew tryska z byle przyczyny i wszystko zaraz wygląda gorzej, niźli jest naprawdę.

— Przyłożę ci ziół, comparello! — powiedziała — Czekaj, idę już!

— Nie trudźcie się, commare! Rana przewiązana, a jutro śladu z niej nie będzie. Mam zdrowe ciało i wszystko goi się w oka mgnieniu.

— Addio! — powiedziała Laurella i zwróciła się ku ścieżce wiodącej w górę.

— Dobranoc! — odkrzyknął, nie patrząc na nią wcale. Potem wyniósł z barki przybory oraz puste kosze i poszedł kamiennemi schodami ku chacie swojej.

*

Nie było nikogo w dwu stancyjkach, po których się przechadzał. Przez otwarte okienka, na noc jeno okiennicami zawierane, płynął wiew rzeźwiejszy niźli na morzu. Czuł się dobrze w samotności. Przez chwilę wpatrywał się z nabożeństwem w obrazek Matki Boskiej, otoczonej glorją gwiazd z posrebrzanego papieru, ale mu nie przyszła do głowy żadna modlitwa. O cóż miał prosić i za co dziękować, utraciwszy całą nadzieję?

Dzień stanął, zda się. Tęsknił za ciemnością, bowiem czuł wielkie znużenie, a utrata krwi była dotkliwszą niż mu się zrazu wydawało. Ręka bolała go bardzo, to też usiadłszy na stołku, zdjął opatrunek. Zatamowana uciskiem krew popłynęła znowu, a wokół rany ukazała się puchlina. Obmył ją starannie i długo chłodził wodą. Wydobywszy rękę z wody, ujrzał ślady zębów Laurelli. Przyznał, że postąpiła dobrze, gdyż zachował się jak dzikie

zwierzę. Postanowił odesłać chustkę nazajutrz przez Giuseppa, sam zaś nie chciał jej się pokazywać na oczy. Wyprał chustkę starannie i rozłożył na słońcu, założywszy poprzód na ranę świeży opatrunek przy pomocy lewej ręki i zębów. Potem rzucił się na łóżko i zamknął oczy.

Promień księżyca zbudził go z pół snu, a jednocześnie uczuł ból w ręce. Zerwał się, chcąc uspokoić zimną wodą tętniące pulsowanie krwi, gdy nagle posłyszał szmer u drzwi. Spytał kto to i otwarłszy, zobaczył przed sobą Laurellę.

Weszła, nie pytając o nic. Zdjęła chustkę, którą osłoniła w drodze głowę, i postawiła na stole mały koszyczek. Potem odetchnęła głęboko.

— Przychodzisz pewnie po chustkę, — powiedział — ale mogłaś sobie oszczędzić trudu, bo postanowiłem zaraz jutro rano prosić Giuseppa, by ci ją odniósł.

— Nie przyszłam po chustkę! — odparła żywo. — Byłam w górach po zioła, tamujące krew! Przyniosłam je! — rzekłszy to, podniosła nakrywkę koszyczka.

— Zbyt wieleś sobie zadała trudu, — powiedział zgoła bez goryczy — Już mi lepiej, dużo lepiej! A gdyby nawet było gorzej, to słusznieby mi się to należało. Pocóżeś przyszła tutaj nocą? Może ktoś zobaczyć. Wiesz, jak ludzie plotkują, chociaż nie mają powodu.

— Nic sobie z nich nie robię! — wybuchnęła — Dajże rękę, muszę przyłożyć zioła, bo lewą nie zdołasz tego zrobić.

— Mówię ci, że to zbyteczne.

— Pokaż tedy, bym się przekonała.

Wzięła rękę, która nie mogła się bronić, i odwiązała opaskę. Ujrzawszy puchlinę, wstrząsnęła się i mimowoli krzyknęła: Jezus, Marja!

— Trochę napuchło! — powiedział — Ale w ciągu jednego dnia i nocy wszystko minie.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

— Przez tydzień nie będziesz mógł wiosłować.

Przyniosła miskę i na nowo przemyła ranę, czemu się poddał jak dziecko. Potem przyłożyła zioła, które natychmiast złagodziły palący ból i przewiązała ranę czystem płótnem, przyniesionem także.

Gdy wszystko było skończone, powiedział Antonino:

— Dziękuję ci. Uczyń mi łaskę, przebacz to szaleństwo, jakiego się dziś dopuściłem, i zapomnij o wszystkiem, com mówił i czynił. Sam nie wiem, jak się to stało. Nie dałaś nigdy powodu do tego, zaprawdę nigdy. Odtąd nie doznasz z mej strony niczego, coby ci być mogło przykre.

— To ja winnam cię przeprosić! — powiedziała żywo — Trzeba ci było wszystko wyjaśnić dokładnie i wyraźnie, nie zaś doprowadzać do wzburzenia milczeniem. W dodatku ta rana...

— Broniłaś się przed niebezpieczeństwem i przez to zresztą w ostatnim momencie odzyskałem zmysły. Jak wspomniałem, jest to drobnostka. Nie mów o przepraszaniu. Dobrze się stało. Idźże teraz spać... a zabierz sobie także swą chustkę.

Podał jej chustkę, ona jednak nie ruszała się z miejsca. Walczyła z sobą. Po chwili rzekła:

— Straciłeś także kaftan, a wiem, że były w nim pieniądze za sprzedane pomarańcze. Przyszło mi to na myśl, gdym wracała do domu. Nie mogę ci ich zwrócić, gdyż nie mamy nic, a gdyby nawet były pieniądze, to potrzebne są matce. Mam atoli srebrny krzyżyk, który malarz za ostatnią bytnością swoją położył mi na stole. Nie brałam go do ręki i nie chcę go dłużej chować w szkatułce. Sprzedaj to, a kilka piastrów, jakie dostaniesz, wyrówna po części szkodę. Resztę postaram się zarobić przędzeniem, gdy matka zaśnie.

— Nie wezmę niczego! — powiedział twardo, odsuwając błyszczący krzyżyk, który dobyła z kieszeni.

— Musisz go wziąć! — zawołała — Długo nie będziesz mógł może pracować chorą ręką. Masz, weź, ja nań patrzeć nie chcę.

— Rzuć go tedy w morze.

— To nie jest żaden podarek. Słusznie ci się należy wynagrodzenie poniesionej straty.

— Nic mi się od ciebie nie należy. Gdybyśmy się jeszcze mieli spotkać, proszę cię, nie patrz na mnie,

bo toby mi przypominało całą winę moją. No, a teraz dobranoc, idź już do domu.

Włożył do koszyka chustkę i krzyżyk i nakrył wieczkiem. Spojrzawszy potem w jej twarz, przeraził się. Wielkie, ciężkie łzy toczyły jej się po policzkach. Nie starała się ich nawet powstrzymać.

— Maria santissima! — zawołał. — Czyś chora? Drżysz całem ciałem.

— To nic! — odrzekła — Idę już!

Postąpiła chwiejnie ku drzwiom. Ale płacz ją obezwładnił, tak że oparła czoło o ścianę i łkała głośno i gwałtownie. Zanim zdołał przystąpić i podtrzymać ją, obróciła się nagle i zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Nie mogę znieść, byś do mnie tak mówił! — zawołała, przyciskając się doń i czepiając go się, jak konający czepia się życia. — Nie mogę odejść, mając taką winę na sumieniu. Bij mnie, kop, przeklinaj! Albo, jeśli, po tem wszystkiem, com ci zrobiła, kochasz mnie jeszcze, weź mnie, zrób, co ci się podoba, uczyń mnie swą kochanką, jeno mnie nie wypędzaj od siebie!

Wybuchnęła ponownie straszliwem łkaniem.

Trzymał ją przez chwilę bez słowa w ramionach, potem zaś zawołał:

— Czy cię jeszcze kocham? Sądzisz, że przez tę małą rankę spłynęła cała krew serca mego? Czyż nie czujesz jak tętni to serce moje, pożądając ciebie?

Jeśli tak mówisz, by mnie doświadczyć, lub jeśli to czynisz przez litość, to idź, a ja spróbuję i to jeszcze zapomnieć. Nie sądź, że jesteś mą dłużniczką dlatego, że cierpię przez ciebie.

— Nie! — powiedziała, podnosząc głowę z jego ramienia i spoglądając mu poważnie w oczy — Kocham cię oddawna, jeno bałam się tego uczucia i chciałam je przezwyciężyć. Teraz stanę się inną. Dotąd nie mogłam wytrzymać, by nie spojrzeć na ciebie, gdyśmy się spotkali na ulicy. Pocałuję cię teraz, byś mógł, czując wątpliwość, powiedzieć sobie: pocałowała mnie, a Laurella całuje tego jeno mężczyznę, którego chce mieć mężem.

Pocałowała go trzy razy, potem zaś wysunęła się z jego ramion i powiedziała:

— Bądź zdrów, ukochany mój. Połóż się teraz spać i lecz swą rękę. Nie odprowadzaj mnie, bo nie boję się nikogo prócz ciebie.

Powiedziawszy to, wymknęła się i znikła w cieniu muru, on zaś wyglądał długo jeszcze oknem na morze, ponad którem połyskiwały, drżąc jakby i chwiejąc się, gwiazdy.

*

Padre curato, wychodząc niedługo potem z konfesjonału, przy którym długo klęczała Laurella, uśmiechał się i mówił do siebie:

— Któżby pomyślał, że Bóg tak rychło ulituje się nad tem biednem i dziwnem sercem. Czyniłem sobie wyrzuty, żem nie zwalczał w niej silniej demona uporu. Ale oczy nasze nie są w stanie zbadać dróg boskich. Niechże ją Pan ma w swej opiece, a mnie pozwoli doczekać, by mnie najstarszy syn Laurelli, w zastępstwie ojca, wiózł jego barką po morzu. Aj... aj... aj l'arrabbiata!

NAD TYBRU BRZEGIEM

Styczeń dobiegał końca. Pierwszy śnieg okrył góry, a skryte za mgłą słońce stopiło ledwo wąski jego pas u samego podnóża, natomiast pustać Kampanji pokryła się świeżą, wiosenną niemal zielenią. Zimę widać było jeno na przerzedzonych gałęziach drzew oliwnych, stojących szeregami tu i owdzie w zapadłościach równi, lub otaczających samotną chatę, oraz po okrytych szronem krzakach, brzeżących drogi. W tej porze roku mieszczą się, rozproszone w lecie trzody, w kolebach, w pobliżu chat kompanjulów, osłonionych zazwyczaj wzgórzem, a bydło zabezpieczone bywa przed zimnem, jakotako słomą. W czasie tym wędrują pasterze do Rzymu, ci którzy umieją grać na flecie lub dudzie, przemieniają się w pifferarów, inni zaś pozują malarzom, lub w inny sposób zarabiają na nędzne życie i tak starają się przetrwać zimę. Panami Kampanji stają się jeno psy, włóczące się gromadami po opuszczonej pustce. Psy te dziczeją z głodu i z braku dozoru ze strony biednych pasterzy, którym stają się w tym czasie wielkim ciężarem.

Jednego wietrznego wieczoru przekroczył pewien człowiek Porta Pia i ruszył przed się drogą jezdną, pośród domostw biegnącą. Płaszcz zwisał mu niedbale z barczystych ramion, a skrzydlaty szary kapelusz tkwił głęboko na karku. Patrzał na góry, ledwo stąd dostrzegalne, gdyż domy i mury tamowały spojrzenie, wąski jeno pas nieba w dali ukazując. Podróżny z przykrością odczuwał ową ciasnotę. Zatopiony był w jakichś niewesołych myślach, przed któremi uciekał właśnie w dal. Wspaniała eminencja przeszła wraz z orszakiem obok niego, a nie zwrócił uwagi, ani nie przesłał ukłonu i dopiero kareta kardynalska przypomniała mu to uchybienie. Od strony Tivoli toczyły się pojazdy i bryczki pełne cudzoziemców, spragnionych zobaczyć góry i kaskady w śniegu. Wędrowiec objął spojrzeniem urocze twarzyczki młodych Angielek, których błękitne woale szarpał tramontana. Nagle zboczył z drogi w lewo i wstąpił na ścieżkę polną, która biegła zrazu wśród młynów i szynkowni, potem zaś wiodła w zupełną dzicz Kampanji.

Przystanął na chwilę, odetchnął głęboko i zapatrzył się z lubością w zimowy krajobraz i szeroko rozlane niebo. Zamglone słońce świeciło czerwonawo, barwiąc ruiny akweduktów i śnieg gór sabińskich. Wędrowiec miał miasto poza sobą. W pobliżu rozległo się dzwonienie, ale głos głuszony wiatrem dochodził zcicha. To go zaniepokoiło i jak-

by broniąc się przed ostatnim znakiem życia, który tu dochodził, ruszył raźno naprzód. Opuścił niebawem wąską ścieżynę, którą dotąd kroczył, przesadził drąg zagrodzenia dla bydła w lecie pasącego się i ruszył dalej, zagłębiając się coraz to bardziej w dzicz i pustkę objętą już mrokiem.

Otoczyła go cisza zupełna, znalazł się jakby pośród milczącego morza. Dosłyszeć można było niemal trzepot skrzydeł wron, skaczących po ziemi. Nie ozwał się konik polny, nie zabrzmiała od strony drogi ritornella wracającej do domu kobiety. Uczuł się zadowolonym, uderzył kilka razy laską w ziemię i uradował go ton, jaki zabrzmiał w odpowiedzi.

— Ziemia niewiele mówi, — rzekł sam do siebie w dialekcie pospólstwa rzymskiego — ale jest uczciwa i dba w cichości o swe gadatliwe dzieci, które po niej depcą. O, gdybyż to nie słyszeć tych paplających szubrawców! Uszy mam poranione od ich gładkich frazesów. Gadają bez końca o rzeczach, na których znam się stokroć lepiej, albowiem je tworzę. Mimo to muszę robić uprzejmą minę, gdy te małpy obwąchują me dzieła, bo żyję z nich! Accidenti!

Zaklął pod nosem, a echo mu odpowiedziało. Obejrzał się zmieszany wokoło. W odległości pół godziny drogi nie było chaty, ani nawet wzgórza, jakże mógł tedy przypuścić obecność człowieka. Poszedł dalej, pomyślawszy, że podmuch wiatru

naśladuje jego słowa. Po chwili głos zabrzmiał wyraźniej i bliżej. Stanął i wytężył słuch.

— Czyż jestem w pobliżu jakiejś kampany, albo koleby, w której ryczy bydło? — spytał sam siebie — Nie, to brzmiało inaczej, to brzmiało zgoła inaczej... o, teraz naprzykład... — Dreszcz go przeniknął — To psy! — powiedział głucho.

Głosy zbliżały się, podobne były wilczym, ale zwierzęta nie szczekały, ni wyły, wydawały jeno ochrypłe jęki, które wiatr zwiewał w jedną, okropną, nieustanną melodję. Miała siłę obezwładniania widocznie, bo wędrowiec otwarł usta i stanął ze spojrzeniem tępo w dal utkwionem i twarzą zwróconą w stronę, od której dolatywał okrzyk bojowy zwierząt. Po chwili wyprostował się, napiął mięśnie i powiedział do siebie.

— Już zapóźno! Zwietrzyły mnie dawno, a chcąc uciekać pośród tego mroku, upadłbym za dziesiątym krokiem. Ano więc tak, żyłem jak pies i zginę od zębów moich kompanów. Jest w tem przynajmniej jakiś sens. Gdybym miał nóż, pogadałbym z gośćmi, ale tak... — obejrzał żelazny kolec swej grubej laski i dodał — kto wie, czy mój apetyt przetrwa ich głód.

Zsunął płaszcz w ten sposób, że prawa ręka została wolną do ataku, a lewa, ochroniona materją, mogła odpierać napad. Chwycił mocno laskę. Z chłodną rozwagą zbadał miejsce, na którem stał

i zauważył, że niema tu trawy, jeno nagi, skalisty grunt.

— Ano spróbujemy się! — mruknął, stając twardo na nogach. Zobaczył teraz psy i liczył je w mroku: — Pięć! — powiedział po chwili — A, jest i szósty! Pędzą jak szalone te szatańskie, chude, wysokonogie bestje. Czekajcież! — zakończył, podnosząc duży kamień. — Trzeba obwieścić bitwę, jak to jest w zwyczaju!

Cisnął kamieniem w psa biegnącego na przedzie, na odległość pięćdziesięciu kroków. Odpowiedział wzmożony skowyt. Jeden pies legł, zaczął drgać i wić się po ziemi.

— Zawieszenie broni! — powiedział. Wargi mu drżały, serce waliło młotem tak, że musiał je przyciskać lewą ręką, owiniętą płaszczem. Ale nie spuszczał z oczu nieprzyjaciela, gotów walczyć. Zobaczył, że psy ruszają znowu do ataku, a oczy ich błyszczą w ciemności. Biegły parami, największy zaś na przedzie. Drugi kamień, posłany za pierwszym, odbił się od kościstych piersi zwierza, które, doprowadzone do wściekłości, rzuciło się na ciemną postać. Padł cios, pies legł na grzbiecie, a szpiczasty koniec laski wbił mu się w otwartą paszczę.

W odległości stu kroków od terenu walki pędził przez mrok zimowej nocy jeździec, zapóźniony pośród opustoszałej Kampanji. Skierował spojrzenie w stronę, skąd dolatywał raz po raz skowyt psów,

i zobaczył mężczyznę, który stał, chwiał się, cofał, rzucał ponownie naprzód, otoczony ze wszystkich stron psami, które zmieniały się ciągle w ataku. Dreszcz go przeniknął. Wbił ostrogi w brzuch konia i ruszył galopem. Walczący posłyszał tętent, ale wydało się, jakby nagły przestrach nadziei odebrał mu siły. Ramię jego opadło, zmysły się zmąciły, uczuł, że został szarpnięty z tyłu, zatoczył się i padł. Poprzez mgłę znikającej świadomości usłyszał jeszcze kilka strzałów, potem zaś zemdlał.

Gdy odzyskał przytomność, spostrzegł nad sobą twarz młodego człowieka, na kolanach którego spoczywała jego głowa. Wydzierał wokół mokrą trawę i nacierał mu nią skronie. Tuż obok stał koń, z którego szła para, a opodal wiły się w drgawkach śmiertelnych dwa psy.

— Czy pan ranny? — spytał młodzieniec.

— Nie wiem, doprawdy! — odrzekł.

— Mieszkasz pan w Rzymie?

— Tak! Koło Trytona.

Młody człowiek pomógł mu wstać, ale nie mógł się utrzymać na nogach, bo lewe udo zranione było dotkliwie. Kapelusz gdzieś przepadł, płaszcz podarty był w strzępy, surdut na ramieniu rozdarty i okrwawiony, a twarz miał bladą i jakby zakrzepłą. Nie mówiąc ni słowa, dał sobą powodować swemu zbawcy, który go zaprowadził powoli, a raczej zaniósł do konia. Po wielu trudach znalazł się na-

koniec w siodle, a młody człowiek wziął cugle i, prowadząc konia, skierował się ku miastu.

Zatrzymali się przy pierwszej austerji poza murami, a młodzieniec kazał gospodyni wynieść wina. Gdy ranny wychylił szklankę, ożywiły się rysy jego twarzy i powiedział:

— Wielką mi pan oddałeś przysługę. Być może, że ją kiedyś przeklnę, miast być wdzięcznym, ale dziś dziękuję. Człowiek przywiązany jest tak do życia, jak do wielu innych złych nawyczek. Wiemy wszyscy, że powietrze pełne jest zarazków febry, produktów rozkładu, oraz ohydnych wyziewów ludzkich, a mimo to każdy z nas oddycha z wielką lubością.

— Masz pan nieszczególne wyobrażenie o ludziach! — zauważył młodzieniec.

— Nie napotkałem dotąd żadnego, któryby mnie nie uważał za głupca, gdym się o nim dobrze wyrażał. Ale przebacz pan pytanie, nie jesteś pan chyba Rzymianinem?

— Nie, jestem Niemcem.

— Niech Bóg pana błogosławi!

Minęli w milczeniu bramę i skierowali ku Piazza Barberini. Ranny wskazał ręką na stojący w kącie mały, niski, walący się niemal domek. Gdy koń stanął pod niskiemi drzwiami, ranny zesunął się, zanim młodzieniec mógł mu pospieszyć z pomocą, ale padł na ziemię.

— To coś gorszego niż sądziłem! — powiedział. — Racz pan łaskawie dopomóc mi jeszcze trochę, tu jest klucz!

Młodzieniec, nie mówiąc nic, podniósł go, zawołał potem na wałęsających się chłopców, by jeden potrzymał konia, drugi zaś otworzył drzwi. Wedle wskazówek rannego zanieśli go na lewo do obszernej izby. Ciemność tu panowała zupełna, a wilgoć i zimno czyniły pobyt bardzo niemiłym.

— Gdzie jest pańskie łóżko? — spytał młodzieniec.

— Byle gdzie! — odparł ranny — ale połóżcie mnie lepiej tu pod ścianą, bo tam mur niebardzo pewny. To bardzo stare i czcigodne pallazzo, na wiosnę mają je zburzyć, ale zdaje się, nie ma ochoty czekać aż tak długo.

— Jakże pan tu możesz wytrzymać? — zdziwił się młodzieniec.

— Jest to najtańszy sposób pogrzebu, a przytem gram tu rolę gospodarza, nie opłacając czynszu.

Tymczasem chłopiec skrzesał ognia i zaświecił małą lampkę mosiężną, stojącą na oknie. Młodzieniec pomógł rannemu zawlec się na kołdrę, rozpostartą na warstwie słomy i przykrył go jako tako poszarpanym płaszczem. Z głębokiem westchnieniem legł silny, barczysty mężczyzna na barłogu i zamknął oczy. Niemiec wręczył chłopcu pieniądze

i wydał kilka poleceń, potem wyszedł, nie żegnając się, wsiadł na konia i odjechał spiesznie.

W kwadrans potem wrócił w towarzystwie lekarza. Podczas kiedy lekarz badał i opatrywał rany na nodze i ramieniu, co chory przyjmował bez słowa, ni jęku, Niemiec rozglądał się po izbie. Ściany nagie były i wyprawa poodpadała z nich kawałami. Przez dziurawą powałę widać było belki dachu, obnażone i sczerniałe. Od strony nieszczelnego okna wiał ostry, zimny podmuch. Mało było mebli i przyborów domowych. Chłopiec przyniósł naręcz drzewa i rozpalił ogień na kominie. Przy jego czerwonym blasku ukazało się w kątach kilka zakurzonych figur glinianych i odlewów gipsowych. Był tam wielki delfin, niosący na grzbiecie zwłoki chłopca i olbrzymia głowa meduzy w płaskorzeźbie. Włosy jej, jeszcze nie ożywione i nie zmienione w węże, wiły się kręto dokoła twarzy ściętej otępiałością bólu. Patrzący nie mógł sobie przypomnieć, by tak wyglądała któraś z meduz antycznych. Tu i owdzie leżały porozrzucane, lub wisiały odlewy rąk, nóg, piersi dziewczęcych, oraz pobieżne szkice w glinie. Na stole atoli zobaczył komplet narzędzi, jakiemi posługiwać się zwykł wycinacz kamei, oraz sporą kupkę napoły gotowych wytworów tego rodzaju, przedstawiających przeważnie głowę meduzy, o różnym jeno stopniu napięcia namiętności i dostojeństwa w wyrazie twarzy. Kawałki muszli,

odciski kamei w gipsie i najróżniejsze przybory w słoikach i pudełkach widniały obok stołu, w dużej szkatule.

— Wydaje mi się, że niebezpieczeństwa niema! — rzekł lekarz — Trzeba tylko, by chłopiec przyniósł sporo lodu i przez całą noc nieustannie chłodził opatrunek. Ładnie pana urządziły te bestje, signor Carlo. Cóż za djabeł podszepnął panu, byś się o tej porze roku włóczył po Kampanji.

— Kominy — odparł rzeźbiarz — to są uparte draby i nie chcą pełnić swych obowiązków, zanim się im nie wepcha w gardziel naręczy drzewa. Miałem pewne pretensje do mego starego, poczciwego pałacu i zbierało mi się na ochotę, by go zburzyć jednem kopnięciem. Chcąc tedy uniknąć bójki, poszedłem sobie precz.

— Nieszczególnie tu panu być musi w istocie! — powiedział mały, dobroduszny człeczek, przecierając szkła okularów, które zaszły parą. — Żona moja przyśle panu koc, a ja przyjdę jutro zobaczyć, jak się pan ma. Przedtem jednak zjawi się jeszcze sen, a ten lekarz kpi sobie z nas wszystkich. Dobranoc.

Młody człowiek wyprowadził lekarza przed dom i zamienili z sobą słów kilka.

— Znam go z nazwiska! — powiedział lekarz — Jest to odludek zupełny, nie wdaje się z nikim, przebywa najczęściej w knajpach i marnotrawi za-

robek swój z byle jakim facchinem. Ale niema w Rzymie artysty, któryby rzeźbił takie jak on kamee. Talent odziedziczył po ojcu Giovannim Bianchi.

— Czy rany jego nie są w istocie niebezpieczne? — spytał młody człowiek.

— Tak, o ile się będzie szanował i lodu nie zbraknie. Mięśnie ma wprost stalowe, inaczej zresztą nie mógłby się tak długo opierać bestjom. Było ich pięć, powiadasz pan? To śmiałek co się zowie. Nie pierwszy raz wydarzyła mu się zresztą podobna przygoda. Teraz zaśnie, nie troszcz się pan o niego zbytnio, signor Teodoro!

Spał rzeczywiście, gdy Teodor powrócił, mimo że twarzą zwrócony był w stronę jasno błyszczącego ognia. Teodor patrzał nań długo. Był niezwykle piękny, nos jeno jego był za szczupły i przypominał dziób orli, włosy miał wypełzłe miejscami i kudłatą, nie pielęgnowaną wcale brodę. W półotwartych w oddechu ustach bieliły się zdrowe, piękne zęby. Gdy Teodor odkrył płaszcz, by przyłożyć lodu, ujrzał, że jest wspaniale zbudowany i silny.

Kazawszy chłopcu przynieść sporo drzewa i lodu, odprawił go z poleceniem, by przyszedł wczas rano. Przysunął do kominka trzcinowy fotel, usiadł i okrył się płaszczem, sposobiąc się do czuwania Było około dziesiątej, pusty plac okryła zasłoną

ciemni pogodna noc, a w muszli trytona szeleścił zcicha snop wodotrysku. Z pobliskiego domu dolatywał głos śpiewającej dziewczyny:

Któż zgadnie, któż,
Czy wspomnisz kiedy o mnie...

Był to refren starej, smutnej piosenki. Niebawem i śpiew zagasł, ale tony brzmiały w młodym człowieku dalej bez słów.

Ujrzał się ponownie na skraju wąwozu Tivoli na ścieżce naprzeciw kaskad, pozbawionych zimową porą znacznej części wody i toczących się rozlicznemi smugami. Szli obok siebie, nie prowadząc się, on, piękna dziewczyna i jej mała, ruchliwa towarzyszka, wyrzekająca bez ustanku na uciążliwą, stromą drogę. Powtarzała ciągle w języku angielskim:

— Powinnybyśmy były wracać razem z rodzicami twemi, panno Mary. Jeszcze czas przyłączyć się do nich. Są jeszcze w górze ponad kaskadą, drogie dziecko. Za chwilę zasiądą sobie wygodnie w Sybilli, podczas gdy my odmrażamy sobie tutaj nosy. Pani nos już całkiem poczerwieniał, Mary dear me. O, jakże wyglądasz, dziecino! Wiatr lodowaty wieje od wody. Sir mówił to, sir ostrzegał, ale nasza dziecina uparła się i basta. Boże drogi, widziałyśmy ten krajobraz w jesieni, a także w lecie, jadąc wygodną drogą konno, teraz zaś musimy potykać się i ślizgać po tych wertepach.

— Już nie daleko, droga miss Betsy! — odparła dziewczyna z uśmiechem — Potem droga będzie znacznie lepsza. Przyjaciel nasz ofiarował pani przecież swe ramię, czemużeś odmówiła?

Mała osóbka zbliżyła się i szepnęła:

— Dziwię się, Mary, że pani to mówisz! Znasz przecie me zasady i wiesz pani dobrze, że nie wypada dać się prowadzić z góry przez mężczyznę nieżonatego. W razie pośliźnięcia, trzeba się go mocno chwytać, a on to może wziąć za objawy uczucia. Wprawiasz mnie w wielkie zakłopotanie, dziecino!

Marja uśmiechnęła się niedostrzegalnie, potem zaś kroczyła drogą z miną poważną, a kapelusz z czarnego aksamitu słonił przed młodzieńcem jej twarz, tak że dostrzec mógł jeno pasmo włosów.

— Ojciec mój nie wyraził jeno szablonowego zdania, mówiąc, iż przykrość mu sprawia to, że pan widocznie unika naszego domu! — powiedziała po chwili i spojrzała śmiało w oblicze swego towarzysza —Jeśli dobrze pamiętam, byłeś pan u nas od śmierci mego brata ledwo cztery razy.

— Tak jest, cztery razy! — odparł. — Jakże to pani dobrze policzyła.

— Liczbę tę słyszałam dość często z ust ojca. Od kiedy go straciłem, mawiał, radbym rozmawiać z kimś, kto go znał. Przytem wychwala pana zawsze i czuję, że za panem tęskni.

— Wyznaję, — odparł — zdumiała mnie i głęboko poruszyła serdeczność, z jaką powitali mnie rodzice pani w chwili spotkania tutaj. Tej zimy pożądam i ja ludzi więcej, niż zazwyczaj. Poprzedniej, to jest pierwszej, zajmowałem się wszystkiem, co obiecywało zyski i samo się nasuwało, ale widzę, że straciłem tylko, wszyscy stoją tu w sprzeczności ze środowiskiem, czują to, a nie chcąc się poddać, muszą popaść w zarozumiałość. Jest to widok niemiły i psuje cały korzystny nastrój ludziom jak ja, istotnie skupionym i poważnym. Żyję tedy sam z sobą, lub z tymi, których to samo spotkało. Czynię tak, mimo żem nawykł od młodości szukać radości życia w kole rodzinnem.

— Dawnoś pan nie widział rodziców?

— Pomarli! — rzekł cicho — Oboje osierocili mnie w ciągu tygodnia. Wówczas ruszyłem poza Alpy i niewiadomo czy wrócę.

Znaleźli się w łagodnym cieniu plantacji oliwek. Droga była sucha, ponad głowami ich tylko połyskał na liściach śnieg, topniejący szybko w słońcu, tak że drzewa wyglądały jakby je zrosił deszcz wiosenny. Mała dama honorowa wpadła w doskonały humor i zaczęła opowiadać o swych peregrynacjach po Rzymie. Pisała właśnie dzieło o wiecznem mieście i mimo swych niewzruszonych zasad tak dalece poświęcała się dla wiedzy, iż powiadano, że myszkowała z obcym zgoła, młodym Włochem przez go-

dzinę po termach Karokalli, chcąc odkryć rzeczy nieznane, a nawet pozwoliła mu się odprowadzić do domu.

— Czy sądzisz, droga panno Mary — zawołała — że byłabym obecnie w stanie wracać do mej starej Anglji, mimo że zrazu pewna byłam, jako nie wytrzymam tu miesiąca? Pochodzę mianowicie, sir — dodała, zwracając się do towarzysza — z bardzo starego rodu, a pierwszy mój przodek zginął pod Hastings, zdobywszy dla państwa i siebie kawał kraju. Anglja jest moją własnością równie dobrze jak największego właściciela dóbr, a każdy stara się trzymać to w ręku, co posiada. Mimoto jednak zakończyłabym tu pewnie życie, gdyby nie było rzeczą nieszlachetną zapominać ojczyzny, mimo, że ona zapomniała o nas i zasługach przodków naszych.

— Niema w tem nic nieszlachetnego, — powiedział ze śmiechem Teodor — gdyż pani wyświadcza przysługę starej Anglji, zdobywając kawał Rzymu i wstępując w ten sposób w ślady przodków swoich.

— Pan kpi sobie ze mnie! — odparła, uderzając go zlekka wachlarzem — Szkoda, że nie jestem w wieku, w którym inaczej baraszkuje się z kobietami, bo musiałby mi pan powiedzieć serjo, czy charakter angielski i włoski, a raczej specjalnie rzymski godzić się na czas dłuższy z sobą mogą. Mówię to oczywiście z zastrzeżeniem, że istniałby powód dla tej enuncjacji i ktoś starałby się właśnie o mnie.

— Wie pani, przyjaciółko droga, — powiedział — że miłość czyni cuda, zasypuje przepaście i łamie zapory. Nie widzę przeszkody w samej odmienności charakterów. Jeśli stopień kultury jest podobny, cóż może się nie powieść sercu? Więcej bywa nieszczęśliwych małżeństw z powodu różnic upodobań, niż namiętności. Któryż to bo naprzykład Rzymianin miał nie podzielać przywiązania pani do Rzymu?

— Masz pan rację! — przyznała — W gruncie rzeczy miłość jest to kwestja zamiłowania!

Nasunęła na twarz zielony woal na znak, że pragnie się oddać bez przeszkody poważnym rozważaniom.

Młodzi wysunęli się nieco naprzód, bo usłyszeli, że miss Betsy wiedzie z sobą samą półgłośny rozhowor, jak to często zwykła była czynić, a nie chcieli niedyskretnie podsłuchiwać jej marzeń.

— Poczciwa kobiecina! — ozwała się Marja łagodnie — Niestety, podróż ta wyprowadziła ją z równowagi. Zawsze miała w sobie popęd do awanturniczości, ale dopóki żyła w Anglji, wyładowywała go niewinnie w polityce. Z chwilą, gdy stanęła na kontynencie, zbudził się w niej dziwaczny zapał do przeżywania przygód i wywoływania ich, a ta cecha jej charakteru dużo nam przyczyniła kłopotów w drodze, a także wywołuje nieraz szczery śmiech.

— Do twarzy jej było w młodszych latach zapewne z tym popędem, — rzekł Teodor — atoli ludzie starsi powinniby już wiedzieć, że dość tego jeśli sprostać możemy tym losom, które jawią się same, zaś wywoływanie przygód to rzecz zgoła zbyteczna. Pewny jestem, że przestanie niedługo brać na serjo swego młodego przyjaciela rzymskiego, podobnie jak on potraktował rzecz od początku.

— Widziałam jak szli oboje do domu! — powiedziała Marja — Wyglądał na dużo młodszego, ale był przystojny, a rysy miał wykwintne, chociaż wyrażające pewną zuchwałość i rozpasanie.

— Co pani sądzi o poruszonej przed chwilą przez miss Betsy kwestji? — spytał Teodor po chwili.

— Jakiejże to?

— Czy mogą być z sobą szczęśliwi ludzie, należący do dwu odrębnych narodowości?

Marja milczała przez chwilę.

— Ludzie bliżsi są sobie zdaniem mojem — rzekła powoli — tem bardziej, im więcej chcą od siebie wziąć i dać sobie wzajemnie. Znałam Anglika, ożenionego z Kreolką. Brali oboje życie lekko i arcy powierzchownie. Jego cieszyło, że ma piękną żonę, ona zaś zadowolona była z dostatków, jakiemi ją otaczał. A jednak dzieliło ich coś, rzec można, klimatycznego, tak, że nie czuli się ze sobą dobrze.

— Byli to ludzie zgoła odmiennych stref! — zauważył. — Gdyby jednak miała północną krew w żyłach?

— To możliwe! — przyznała — Chociaż, sądząc po sobie, jestem innego zdania. Urodziłam się i wyrosłam wśród gór i dlatego pomału dopiero nawykać musiałam do łagodnego rzymskiego klimatu. Mamy zimę, góry okrywa piękny, biały, lśniący śnieg, powinnabym się tedy czuć zupełnie szczęśliwą, siedząc dziś z rodzicami przy kominku, słuchając jak woda syczy i śpiewa w saganku, oraz patrząc na wszystko, co stanowi środowisko normalnego życia. A jednak czuję, że w chwili tej właśnie zjawi się tęsknota, że zapragnę widoku naszego starego wiejskiego dworu z wysokiemi jaworami i zasypanem śniegiem polem poza drzewami parku. Zapragnę tego niezawodnie, chociaż nie jest tak piękne jak Kampanja, a okrytego mgłą i chmurnego nieba porównać nawet nie można z tym oto czystym horyzontem, co budzi wesele i rzeźwi myśli. Mimo wszystko jest to obczyzna. To uczucie obcości musi niezawodnie tkwić również w ludziach.

Rozmawiali dotąd po angielsku. Nagle zaczął mówić po niemiecku, którym to językiem władała biegle, zachowując jeno lekki akcent cudzoziemski.

— Proszę przebaczyć, że mówię po niemiecku! — powiedział — Mówiła mi pani o tęsknocie swej, przypomniało mi to owe zimy w ojczyźnie, owe ciche zimy, które są już poza mną i pewnie nie wrócą. Posłyszałem znowu cichy odgłos skrzydeł kruczych, kiedy przemykają pomiędzy nagie konary, a ze zła-

manych gałązek spada tuż przy oknie mała chmurka śniegu. Matka moja przez całe miesiące przykuta była do łóżka, nie mogąc i nie chcąc udawać się do niespokojnego miasta. Stara, wiejska siedziba widywała dawniej mieszkańców swych jeno porą letnią, kiedy odbywały się wesołe polowania i wycieczki, teraz atoli stała się przytułkiem matki, wypoczywającej tu po uciążliwych podróżach do miejscowości leczniczych.

— Przebywał pan tam z matką? — spytała.

— W pierwszych latach na krótko jeno, ale ostatniej zimy nie puściła mnie od siebie. Siadywałem przy niej po całych dniach, robiłem to i owo, rozmawiałem z nią, a czasem grywałem jej stare piosenki, dawno wyszłe z mody. Mała salka miała liczne, wysokie okna z widokiem na park. Widzę dotąd ojca mego, jak chodzi po terasie, w niedźwiedziej czapce na głowie, z krótką fajeczką w zębach. Nie mógł znieść przez czas dłuższy atmosfery opalanego pokoju, na terasie czuł się najlepiej i kto miał do niego interes, musiał się tam udać. Od czasu do czasu przychodził do nas na kwadrans. Nie zapomnę spojrzenia, jakie mu słała biedna matka moja. Miała prześliczne, jasne, modre oczy.

— Kiedyż zmarła?

— Na wiosnę, a ojciec niedługo potem. Zdarzył mu się wypadek na przejażdżce konnej. Od kiedy matka nas opuściła, dosiadał najdziksze wierzchowce

i uganiał pół dnia czasem, mimo że go błagałem, by się szanował. Znałem go, przeto nie mogłem się wyzbyć strachu i niestety przeczucia moje okazały się słusznemi.

Dotarli niemal do celu drogi i przystanęli, czekając na towarzyszkę. Marja zatrzymała się o kilka kroków od niego i gdy się obrócił, by objąć spojrzeniem okolicę, ujrzał przed sobą całą jej twarz. Piękne, czyste rysy omglone były smutkiem, pod rzęsami kryły się łzy, a oczy spozierały poważnie. Znał to spojrzenie i unikał go, wiedząc jaką posiada moc. Teraz atoli po raz pierwszy uległ, nie broniąc się.

— Marjo! — powiedział zcicha.

Nie poruszyła się i nie podniosła oczu. W tej chwili nadeszła niska, zadumana ciągle jeszcze towarzyszka. Zaczęto ponownie rozmawiać i we troje udali się w górę do Tivoli, ale Marja ust nie otwarła.

Opuścili Tivoli wraz ze zmierzchem nieco rozgrzani winem, a Teodor umieścił damy w powozie. W chwili odjazdu rzekł doń serdecznie stary ojciec Marji:

— Nie wsiądę, dopóki się nie dowiem, kiedy będziesz u nas, drogi sir. Mam małą sprawę do załatwienia i radbym się z panem naradzić, jest ona dla nas wszystkich ważną, bo dotyczy naszego biednego Edwarda. Wiem, przyjacielu drogi, że pan najprędzej jeszcze przybędziesz, gdy się dowiesz, że pomoc twa jest potrzebna.

— Przyjdźże pan zaraz dziś wieczorem! — zapraszała matka.

Przyrzekł. Ujrzał wyraz strachu na twarzy Marji w chwili, gdy mu przyprowadzono konia. Lekko wspiął się na siodło i towarzyszył przez czas jakiś powozowi, z łatwością i wprawą powodując wierzchowcem. Potem został w tyle, zwolnił tempa i jechał, nie bacząc na upływający czas. Zaskoczyła go noc. Dał koniowi ostrogi i, chcąc skrócić drogę, ruszył wpoprzek równi. W ten sposób znalazł się w pobliżu Bianchiego.

Wstrząsnął się, przyrzucił drew na ogień i wbił czarne swe oczy w płomienie.

— Cóż pomyślą wobec tego, że nie przybył? — dumał — Co ona pomyśli? Pora za późna, by słać z wieścią, zresztą kogóż posłać? Siedzi w domu Marja i czeka, nie wiedząc, co ma dzień dzisiejszy oznaczać. A może: któż powie, któż...?

Zajął się chorym, okładał mu rany lodem, chodził po stancji i patrzył na głowę meduzy, która oblana poświatą ogniska wydawała się żywą i wyrażała upiorną walkę ze strachem śmiertelnym. Wzburzył go widok ten, aż musiał się odwrócić. Zobaczył teraz stojące w ciemności na gzymsie komina zuchwałe i sprośne figurki. Były to sławetne bronzy pompejańskie i nowsze wytwory, idące z niemi o lepsze w zakresie wyuzdania. Obok nich leżał podarty i zakurzony egzemplarz Arjosta. Chwycił go i zaczął

czytać łapczywie. Była to jedyna książka, jaką mógł znaleźć w całem mieszkaniu rannego.

Godziny mijały niepostrzeżenie. Po północy jęknął chory głośno i zaczął przez sen bić wokoło siebie rękami. Gdy Teodor poprawiał mu rozrzucone posłanie i nakrywał go płaszczem, zbudził się i usiadł na pościeli. Zasłaniał się ramionami, jakby dla obrony zaciskał pięści, a nakoniec krzyknął stanowczym tonem.

— Ktoś pan jest?

— Przyjaciel! Wszakże mnie pan znasz?

— Nie mam przyjaciela! Kłamiesz pan! — wrzasnął i chciał stanąć na nogi. Ale ból przewiązanych ran uświadomił go dostatecznie. Padł z powrotem i leżał przez czas jakiś spokojnie, zbierając zmysły. Potem rzekł łagodnie:

— A, to pan! Poznałem pana... Ale cóż pan robisz u mnie o tej porze? Czemużeś pan nie poszedł do domu? Czyżbyś pan był inny jak ludzie, którzy poto jeno żyją uczciwie na jawie, by móc spać spokojnie? Odejdź pan, zasłużyłeś sobie na sen. Czemuż to czuwasz pan nade mną?

— Lekarz kazał okładać rany lodem przez noc. Nie mogłem pana zostawić obcemu.

— Wszakżeś mi pan również obcy!

— Nie, bo ja nie czynię tego za kilka paolów, ale wyłącznie dla pana.

Ranny leżał przez chwilę bez słowa, potem zaś zawołał dziko:

— Zrobiłbyś mi pan prawdziwą przysługę, gdybyś sobie poszedł precz! Wściekłość mnie ogarnia, gdy widzę, że się ktoś o mnie troszczy, i gdy muszę dziękować. Wówczas jestem niedołężny jak starzec, chcący dogodzić ulicznicy.

— Nie chcę podziękowań pańskich. Jestem tu, bo mnie pan potrzebujesz. Gdyby nie to, nie miałbyś pan powodu narzekać na moje natręctwo.

— Nie mogę spać, wiedząc, że pan tu siedzisz i marzniesz! — krzyknął ranny.

Teodor poprawił ogień i odparł:

— Wcale nie marznę, a żar dochodzi chyba aż do pana. Ciepło mi całkiem.

Chory leżał przez czas jakiś z zamkniętemi oczyma, potem zaś spytał:

— Pan jesteś luteraninem, wszak prawda?

— Tak.

— Aha! — powiedział do siebie ranny — On chce skraść kościołowi jedną duszę! Dlatego czyni to wszystko. Te kanalje nie są lepsze od nas!

— Majaczysz pan w gorączce! — powiedział Teodor — Mów pan, co chcesz!

Milczeli przez czas długi. Teodor okładał rany lodem, a Bianchi leżał bez ruchu, z twarzą obróconą do ściany, udając, że śpi. Nagle zerwał się i podparł łokciami w chwili, kiedy Teodor właśnie przykładał

lód. Chwycił zranioną ręką dłoń swego opiekuna, przytrzymał mocno i powiedział powoli i cicho:

— Jesteś pan dobry, jesteś dobry, jesteś człowiek!

Osłabienie go ogarnęło nagle, padł na słomę i wybuchnął straszliwym, niepowstrzymanym płaczem. Gdy łzy płynąć przestały, zasnął ponownie.

*

Gdy się zbudził, spostrzegł, że przez szpary wciska się jasne światło dnia, zalewając izbę słonecznym półmrokiem. Zobaczył, że u łoża jego siedzi chłopiec i lekarz i dowiedział się, że Teodor ruszył do miasta wczesnym rankiem po przybyciu chłopca, nie wspominając ni słowem, czy powróci.

Przez pół dnia leżał niespokojnie, dumając, nadsłuchując i poglądając na drzwi. Na środek pokoju wysunęła się para oswojonych myszy, któremi zajmował się zawsze, mimo wszystkich utrapień swoich. Mrugały nań, ruszały ogonami, piszczały, ale nie raczył na nie spojrzeć. Chłopiec spłoszył je, nie wiedząc, że posiadają tu prawo obywatelstwa. Potem zapukał pewien człowiek, przynoszący zamówienie od handlarza na parę kolczyków z czerwonej masy perłowej. Odprawił go bez odpowiedzi. Tak samo postąpił ze znajomym rzeźbiarzem, który, posłyszawszy o przygodzie, okazał się na tyle dobrotliwym, że odwiedził samotnika.

Teodor wstępował tymczasem o dość wczesnym jeszcze ranku na kamienne schody wielkiej willi, w której mieszkali rodzice Marji. Otworzył mu drzwi stary sługa. Powiedział, że państwo czekali długo wczoraj. Posłali go do jego mieszkania, ale powiedziano mu, że nie wrócił. Miss Mary wyraziła obawę, że może zaszedł jakiś wypadek z koniem, ale dzięki Bogu wszystko dobrze.

Teodor nie odpowiedział. Z wnętrza domu dolatywały dźwięki beethovenowskiej sonaty. Nagle akordy umilkły, zazgrzytało odsunięte krzesło i zaszeleściła suknia kobieca. Wszedłszy, znalazł się w obecności Marji, która zatrzymała się nagle pośrodku pokoju. Obrócona była ku drzwiom, nie mogła znaleźć słów, a policzki jej pałały. Oburącz chwycił jej dłoń i spojrzał w zapłakane oczy.

— Marjo! — rzekł — Dowiedziałem się, że mam prosić o przebaczenie! Byłaś pani niespokojną o mnie?

Spróbowała uśmiechnąć się.

— Dobrze, że to było niepotrzebne! — powiedziała — Musiało panu coś przeszkodzić, niemądrze postąpiłam, przypuszczając odrazu rzecz najgorszą. Poproszę zaraz rodziców.

Powstrzymał ją.

— Płakałaś pani? — spytał.

— O, to nic. Złą dziś miałam noc, a przytem muzyka mi rozstroiła nerwy.

Puścił jej rękę, ona zaś pozostała na tem samem miejscu, sparłszy się o fotel. Pochodził po pokoju, potem zaś stanął przed nią. Ujął obie jej dłonie, wyszeptał jedno słowo i objął ją ramieniem. Łzy jej popłynęły z oczu i spoczęła cicha, szczęśliwa w jego objęciu.

— Pójdziemy do rodziców! — powiedziała, uwolniwszy się z namiętnych splotów pierwszego uścisku — Chodźmy!

Ujęła go za rękę. Radby był pozostać z nią, miał uczucie, że obecność innych osób odbierze mu ją, ale szedł posłusznie. Znaleźli oboje rodziców w gabinecie matki. Wszedłszy, doznał chętki poprosić ukochanej, by zamilczała o tem, co się właśnie stało. Nie był w stanie mówić o tem i spotykać się w tym stanie oszołomienia z kimś, prócz niej samej. Ale wyrzekła ważkie słowo, a matka, wysoka uroczysta dama, objęła go serdecznie w ramiona. Będąc zwolenniczką form, nie mogła pominąć sposobności udzielenia w formie poprawnej swego błogosławieństwa, które jednak obco i zimno zabrzmiało w uszach Teodora. Ojciec nie powiedział nic, uścisnął tylko mocno kilka razy dłoń przyszłego zięcia i pocałował córkę w czoło.

Teodor opowiedział teraz, co zaszło zeszłego wieczora. Podczas gdy malował przebieg walki, Marja objęła go wpół z wyrazem trwogi, jakby się chciała przekonać, że wszystko minęło i posiada go

naprawdę. Matka dała jej znak, który nie uszedł baczności młodzieńca. Marja cofnęła rękę i siedziała teraz obok niego, nie dotykając go wcale. Przykro mu się zrobiło. Gdy odchodził po kilku godzinach i objął ją w progu do serdecznego uścisku, zauważył, że jest trwożna, oddaje lękliwie pocałunki i broni mu ust. Odszedł, unosząc dziwne uczucie, czując ucisk w sercu, oraz niemiłe tętnienie w skroniach. W ulicy przystanął, nie było ludzi, oparł czoło o kamienny filar bramy i wyciągnął ramiona, jakby chciał ściągnąć kawał nieba na ziemię i przycisnąć go do łona. Potem, uspokoiwszy się potrochu, ruszył prosto do Trytona.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Zapadłe policzki Bianchiego okryły się purpurą rumieńca, gdy usłyszał odgłos kroków Teodora. Podniósł się i spojrzał mu prosto w twarz, gdy wszedł, wyższy zda się i mężniejszy niźli wczoraj. Teodor zbliżył się do chorego i rzekł:

— Już panu lepiej, Bianchi, lekarz jest zadowolony. Proszę tylko zachowywać się spokojnie. Pozwoli pan, że trochę pochodzę po izbie. W myślach moich panuje takie wzburzenie, że nie wiem, co się ze mną dzieje.

Nie powiedział mu skąd wraca, nie dał poznać, że przed kilku godzinami związał los swój z kobietą. Ale taka glorja go otaczała w tej chwili, że Bianchi nie mógł odeń odwrócić oczu. Zdjął kapelusz z głowy i odwinął z ramion płaszcz. Głowa jego wznosiła

się nad szeroką piersią, a krótkie kędzierzawe włosy pokrywały szlachetnie zarysowane czoło. Zapatrzony w głąb siebie, założywszy ręce w tył, chodził po izbie, jakby zapomniał o celu wizyty, potrącał stopą tlejące bierwiona i patrzył w ogień. Nagle zwrócił się do rannego i powiedział:

— Mów mi pan o sobie, Bianchi!

— Czegożeś pan ciekaw?

Ton jego pytania niepewny, niemal podejrzliwy, a przytem pokorny i uległy, uderzył subtelne ucho Teodora. Przysunął do posłania krzesło, ujął dłoń Bianchiego i powiedział:

— Pragnę jeno wiedzieć, jak się pan czuje, a jeśli pan nie masz ochoty mówić, to nie. Ręka pańska świadczy, że gorączka znacznie spadła.

Uczuł uścisk tej dłoni, która się potem cofnęła z zakłopotaniem.

— Niedługo stan pański się tak poprawi, — powiedział Teodor — że się będziemy mogli rozstać na zawsze. Na razie zechciej pan jeszcze znosić mą obecność, bowiem wiedz pan, że nie zostawię na pastwę bylejakiego chłopca takiego jak pan artysty. Gotów pana przyprawić o śmierć.

— Takiego artysty? — zaśmiał się boleśnie — Czy pan wiesz, kim jestem? Nikt tego nie wie! Jestem wyrobnikiem dziennym, co rzeza z kobiecą cierpliwością muszle dla kobiet, którego ręce wstydzą się, dotykając marmuru. Szkoda, że wczoraj

sprawa nie dobiegła końca, bo te biedne ręce miałyby raz bodaj spokój.

— Dziwne pan mówisz rzeczy! Wszakże dwa cale materjału starczą równie dobrze dla ducha, jak dwa słowa!

— Dla ducha może, ale nie dla formy!

— Widzę, żeś się pan o tem przekonał! Ale dlaczegoż to robisz to, co cię odpycha?

Chory objął spokojnem spojrzeniem cztery nagie ściany i powiedział:

— Nawykłem już do tego luksusu, jaki mnie otacza. Miałem coprawda plan zabrać się do jakiejś wielkiej roboty pod gołem niebem, siedzieć na placu, jeść pod studnią karczochy, a noce spędzać pod dziełem swojem, ale człowiek jest słaby, boi się niepogody, a jeszcze bardziej ludzkiej gadaniny. Poza tem nie mogę się obejść bez wina i kobiet.

— A gdybyś pan znalazł sposobność wziąć się do marmuru bez troski o życie...?

Zerwał się gwałtownie.

— Czy pan wiesz, co poruszasz lekkomyślnem pytaniem swojem? — spytał, a oczy mu zabłysły — Spojrz pan w ten kąt. Tam rzucam jedno na drugie, wszystko co mi przypomina tego rodzaju myśli. Kurz pokrywa zwolna owych krzykaczy, a oczy moje wiedzą, że im tam zabłądzić nie wolno. Byłem głupcem, dając się porwać do szkicu na posąg zmarłego niedawno papieża. Przez parę ty-

godni dumałem, pracowałem i nie zajmowałem się niczem innem. Doprowadziłem rzecz do końca, wkładając w nią cały zapał, i byłem sam z niej zadowolony. Ale głupstwem okazała się zuchwałość moja. Działo się to właśnie wczoraj. Zawinąłem szkic w płótno i ruszył w długą drogę do kardynała, sekretarza Watykanu. Sam chciałem zanieść z obawy, że ktoś inny może upuścić i stłuc. Przy drzwiach musiałem lokajowi nagadać mnóstwo uprzejmych słów i oddać mu ostatnie skudy, by mnie puścił. W pałacu było czarno, czerwono i fioletowo od pończoch dostojników. Patrzyli na mnie i oglądali z wszystkich stron, dlatego pewnie, żem przyszedł wprost z pracowni, w zwykłej bluzie robotniczej. Myślę sobie, niech się gapią, biorę na odwagę i staję z niskim ukłonem przed eminencją. Widzę zaraz, że jest w złym humorze, a otoczeniu swemu dał się nieźle we znaki. Powiadam krótko, z czem przychodzę i proszę o pozwolenie pokazania mego szkicu. Staruszek kiwa głową, jak to zawsze czynią staruszkowie, spoziera pobieżnie na figury, które mi się w tem środowisku wydały dwa razy tak piękne i powiada: Nieźle, nieźle, mój synu, ale nie można tego wziąć, brak bowiem dostojeństwa i nie ujmujesz należycie wielkiej misji Kościoła. Zabierz to do domu i przerób! Glina jeszcze miękka! Wydało mi się, że jestem w szpitalu warjatów. Kazano mi przerabiać, tak jakby myśli moje były błotem.

Stałem ogłupiały i patrzyłem w milczeniu na monsignorów, którzy założyli na nosy okulary uczonych i jęli krytykować, obwąchując wszystko z przodu i z tyłu, tak że ani cal nie ocalał. Wydawało mi się, jakby wilk zagryzł napoły jagnię, a potem zostawił resztę swym młodym w tym celu, by sobie na niem ostrzyły swe pierwsze, mleczne zęby. Gdybym mógł mówić i wyjaśnić wszystko, co mi przeszło podczas roboty przez głowę, staruszek byłby może zmienił zdanie, bo ma on dość rozumu i wcale nie jest złym człowiekiem. Ale w tej właśnie chwili był zły i musiałem przetrzymać cały zalew jego żółci. Nakoniec uczułem, że mam dość paplaniny i tych dziecięcych zgoła, tępych pocisków, które nie trafiły nigdy w sedno, a kłuły jeno niby igły. Inny byłby się może przezwyciężył i odniósł zwycięstwo, ale ja nie mogłem. Ojciec mój nie gadał wiele o swych kameach, a wszyscy wiedzą w Rzymie, kim był. Zawsze unikałem uczonych, to też i teraz usunąłem im się z oczu, przysięgając, że nigdy nie znajdę się w ich pobliżu. Znalazłszy się pod Rippetą, zawrzałem gniewem i cisnąłem szkic do Tybru. Niech on go przerabia, wrzasnąłem, a potem doznawszy ulgi, ruszyłem na przechadzkę po Kampanji, gdzieś mnie pan spotkał.

— Nie unikniesz pan uczonych! — rzekł po chwili Teodor żartobliwie, przywołując do rzeczy rzeźbiarza, który tymczasem popadł w zadumę —

Miałeś pan rację, broniąc się mej obecności, albowiem przybyłem do Rzymu poto, by grzebać w starych pergaminach i odkopywać rzeczy dawno przebrzmiałe, o które się nikt dziś nie troszczy. Zbieram stare dzieje miast włoskich, dokumenty polityczne i prawne. Widzisz pan przeto, że nie mamy z sobą nic wspólnego.

— Mów pan co chcesz! — zawołał porywczo Bianchi — Jesteś człek dobry, piękny, a w dodatku cudzoziemiec, bo Niemiec.

— Nie znasz pan niemieckiej wiedzy! — odparł Teodor. — To rzecz dużo gorsza od uczoności włoskiej. Słabsze dusze kamienieją na sam jej widok jak biedacy, którzy spojrzeli w oblicze meduzy.

— Meduzy?

— Znasz ją pan chyba lepiej ode mnie. Wszakżeś ją pan cisnął tam do kąta, a także wielokrotnie rzeźbił, jak świadczą napoły wykończone kamee z muszli, leżące na stole.

— Niewiele wiem o tem wszystkiem! — powiedział Bianchi — Chłopcem jeszcze dostałem od ojca model, wedle którego rzeźbiłem. Polubiłem, nie mając przyjaciół, tę głowę pięknej kobiety, z której wyziera śmierć. Potem zobaczyłem rzeźbę w Villa Ludovici i nie odzyskałem spokoju, dopóki jej nie skopjowałem tak, jak mogłem. Jest ona tam bardziej ludzka i namiętniejsza niż u Greków, gdzie przybrała charakter larwy. Nie obchodziło mnie

nigdy, co ludzie na ten temat plotą, a czytać nie lubię.

— Jeśli pan chcesz, przeczytam panu historję starego poety, który o tem opowiada.

— Dobrze, uczyń pan to, byle rychło! — odparł — Kiedyż pan wróci? — spytał, widząc, że Teodor wstaje.

— Przyjdę na noc! — powiedział młodzieniec — Ale nie będę dziś czytał. Musisz się pan jeszcze leczyć. Wiem, co pan powiesz, ale nie chcę słuchać, chorzy nie mają własnej woli.

Gdy wrócił na noc, zastał na stole wino i wygodny, wyścielany fotel przy kominku. Bianchi spał, ale chłopiec powiedział Teodorowi, że nie uspokoił się, dopóki nie przyniósł wina z austerji i nie pożyczył od sąsiadki fotela. Dopiero po załatwieniu tych dwu spraw odnalazł spokój i zasnął.

*

Następnego wieczora, dopełniając obietnicy, czytał Teodor Bianchiemu italskiego Owidjusza i spozierał od czasu do czasu na swego słuchacza, który leżał z oczyma utkwionemi w popękany pułap izby, nie odzywając się słowem. Czarował go, zda się, spokojny głos Teodora, zaś baśń, której słuchał, przejmowała do głębi. Teodor czytał długo, a gdy wreszcie wstał, westchnął Bianchi i zawołał:

— Odchodzisz pan już? A nie wiesz nawet, czego doznałem. Historja ta wydała mi się podobną do starej figury, pozbawionej poszczególnych członków, której odłączona od tułowia głowa posiada jeno niewyraźne zwietrzałe zarysy. Podczas, gdyś pan czytał, rozpierzchłe członki zebrały się razem i całą figurę ujrzałem przed sobą. Ach, gdybym to był zdrów. Czuję łaskotanie w palcach i chęć wielką do gliny. Ale nic z tego nie będzie, a pan odchodzi ... pan się śmieje... Odgaduję, dokąd pan zdąża. Używaj pan życia póki czas. Ach! Iluż upojnych nocy pozbawiłem pana!

— Noce moje są bardziej samotne, niźli te, które tu spędziłem! Panie Bianchi, napoły jeno odgadujesz, dokąd teraz zmierzam. Przebywam w towarzystwie dwojga starych ludzi, a rzadko tylko odczuwam dotknięcie miękkiej dłoni ich córki. Wszystko, czego zaznaję, polega na patrzeniu i nadziei.

— I możesz pan to mówić tak spokojnie? — zdziwił się Bianchi — Nie zgrzytasz pan zębami z niecierpliwości i pożądania? Pewnego razu zakochałem się też w taki bezskuteczny sposób i wiłem się niby robak po ziemi, klnąc własne oczy, które mi ukazały ten majak.

— Ja ją błogosławię, a ile razy napada mnie szaleństwo, daję upust wzburzonym zmysłom, odbywając długie wędrówki po Forum lub robiąc wy-

cieczkę do Kapucynów na górę, gdzie śnieg osnuwa pnie palm. Palma musi także przetrwać zimę, mimo że radaby była co prędzej doczekać lata.

— Nie zaprzeczasz pan jednak, — zauważył rzeźbiarz — że cała rzecz niewarta pańskiej troski i tęsknoty. Takie sprawy czynią nas zniewieściałymi i skłaniają do próżniactwa, co jest najgorsze. Wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy nie byli naiwni i nie sięgali w niemożliwość. Wówczas zadowoleni bylibyśmy każdą ładną kobietą, którą można posiąść.

— Nie sądzę tak! Mnie potrzeba innej kobiety, niż każdemu innemu, o ile nie mam porzucić jej dla pierwszej lepszej.

— Któż o tem mówi?

— Obaj, zdaje mi się.

— Ja nie! — zawołał Bianchi — Nie wyobrażam sobie, byś się pan tak mało znał na praktycznej stronie życia, mając tyle urody i tak będąc młodym.

Potem umilkł zmieszany.

— Dajmy temu spokój! — rzekł Teodor pogodnie — Niech każdy myśli o sobie i raduje się, gdy inni urządzają sobie życie, jak im się wydaje najlepiej.

Później nie poruszali już tego tematu. Bianchi, zda się, zapomniał, Teodor zaś nie przypominał ni słowem. Przyrodzona szorstkość i porywczość chorego ujawniała się coraz to bardziej i w miarę jak

rany jego goiły się, nikły i zatracały się oznaki łagodności i tkliwości, okazywanej dotąd przyjacielowi czasem. Unikał nawet podawania mu ręki, nie mówił o sobie, ni swych nastrojach, a także nie pytał Teodora, co czyni i myśli, jakie wiódł przedtem życie, nie nazywał go nawet często po imieniu. Ale przyjmował ochotnie wszystko, rad był z jego częstych odwiedzin i z łakoci, jakie mu przynosił. Raz tylko, widząc w koszyczku owoce, nakryte bukiecikiem fjołków i tak ułożone, że świadczyły o udziale ręki kobiecej, odstawił podarek z miną obojętną na gzyms kominka, gdzie widniały sprośne figurki. Teodor nie rzekł nic, ale, odchodząc, zabrał z sobą koszyczek.

Pozatem czytywał mu stale starożytnych poetów, ustępy z Danta i Tassa, a wkońcu także z Macchiawella. Zauważył, potrąciwszy o politykę, że Bianchi przyznawał się w sposób porywczy do przekonań tyrańskich, jak to czynią ludzie niezadowoleni z siebie i gardzący innymi. Wiedli długie, bezprzedmiotowe spory. Natomiast w kwestjach, dotyczących sztuki, poglądy i uczucia ich godziły się lepiej z sobą. Bianchi mógł już o lasce zawlec się do stołu i podjąć na nowo robotę. Siedział, wycinał głowy, albo modelował drobne rzeczy w wosku, by je potem rzeźbić, a Teodor czytał mu Homera. Dla Bianchiego pięknemi ciałami byli dotąd jeno owi bogowie, których wizerunki widział w całym Rzymie,

byli mu jeno pojęciami niejasnemi i mętnemi, teraz dopiero zarysowały mu się kontury ich ducha. Wydawało mu się, że śnił dotąd, a teraz dopiero otwarły się oczy jego na jawę życia. To też wzrastała w nim coraz to bardziej ochota, aby wyjść i obejrzeć bezpośrednio to wszystko, co sobie poraz pierwszy przyswoił teraz w wyobraźni.

Kwitły różowo migdały w ogrodach Monte Pincio, w dniu kiedy stanął u parapetu brzeżącego drogę i objął spojrzeniem Rzym i góry, na skraju horyzontu widniejące. U stóp swych miał miasto pełne rozgwaru i słońcem oblane. Rzeka połyskiwała, na murach Zamku Anioła powiewały sztandary, muskane wiatrem wiejącym od morza, a wszystko okrywała subtelnie błękitna kopuła marcowego, rzymskiego nieba. Bianchi stał, ściskając laskę, a spojrzenie jego było tak ponure, jak zawsze, ilekroć walczył z własnem sercem. Teodor był również zatopiony w myślach. Po pewnym czasie przestał patrzeć w dal i, zwróciwszy się do Bianchiego, powiedział z powagą:

— Jużeś pan wyzdrowiał i za kilka dni przeniesiesz się do nowej pracowni, tu niedaleko w Rippecie. Sądzę, że będziemy się jeszcze widywali przez czas pewien, chociaż muszę jąć się żywiej moich badań i ograniczyć czas, który z taką przyjemnością spędzam u pana. Nadarza się atoli właśnie okazja do częstszych odwiedzin, niżby może

wypadało i o ile pan się na to zgodzi, a mógłbyś uświęcić nową pracownię dziełem, na którem mnie samemu dużo zależy. Rzecz się ma tak. Osiedliła się tu, może na stałe nawet, pewna rodzina, z którą jestem zaprzyjaźniony. Ojciec, z pochodzenia Niemiec, przebywał długo w Anglji, poślubił Angielkę i dochował się dwojga dzieci, syna i córki. Syn zapadł na suchoty, a rodzice, chcąc go ratować, przenieśli się tutaj. Polubiłem bardzo tego młodego człowieka, jak wszyscy, którzy się z nim zetknęli, i nie mogę dotąd odżałować, że tyle ponęt i szlachetności spoczęło w ziemi tam, niedaleko piramidy Cestjusza. Stało się to zeszłej zimy. Rodzice pragną położyć mu na grobie kamień z rzeźbą, wyrażającą czem był, utrwalając w ten sposób jego pamięć. Nie znam nikogo poza panem, któremubym chętniej powierzył tę sprawę.

— Licz pan na mnie, Teodoro! — powiedział rzeźbiarz — Spróbuję i przekonam się, czy coś potrafię.

— Może pan zechcesz zapoznać się z rodzicami i dowiedzieć od nich, w jakim guście chcieliby mieć wykonany pomnik?

Bianchi milczał przez chwilę, potem zaś odparł spokojnie:

— Nie. Nie lubię znajomości i łez. Kochałeś go pan, to dosyć, zrobię to dla pana. Nie bierz mi pan za złe, — dodał po chwili — ale nie nadaję

się do towarzystwa ludzkiego. Kto mnie chce mieć, musi mnie zaskoczyć jak niedźwiedzia w jamie. Dopiero nie mogąc uciec, siadam przykładnie na zadzie i mruczę czasem jakieś słowo własne. I to mi nawet zresztą z trudnością przychodzi. Wezmę się do roboty, ale nie powiem nic, ani nie pokażę, dopóki szkic nie zostanie doprowadzony do tego stopnia, by mógł zrobić wrażenie na widzu niefachowym. Potem mogą sobie przyjść i oglądać.

Zaczęli rozmawiać o innych rzeczach, Bianchi nabierał wesela, a nawet stawał się coraz bardziej rozbawionym, podczas gdy na czole Teodora legł cień. Spędzili razem dzień, a żegnając się, odczuli obaj tę rozłąkę, bo po raz pierwszy znaleźli się wśród powszedniego dnia, hałasu, wrzawy, natłoku pojazdów i śmiejących się ludzi.

Bianchi nie pozwolił się prowadzić Teodorowi, szedł obok niego powoli, spoglądając na kobiety i dziewczęta, których dużo zdał się znać, czasem pozdrawiał skinieniem rozmaite osoby, nie wdając się jednak w rozmowę. Gdy przeszedł, ludzie stawali, szeptali, pokazywali nań, a w minach ich przebijało współczucie, szacunek i coś w rodzaju trwogi. On sam zdawał się tego nie dostrzegać, patrzał przed siebie, często ponad głowy ludzi, na wille położone za bramami i ku Kampanji, roztaczającej się w dali, a oczy mu błyszczały.

— O czemże pan myślisz? — spytał Teodor.

— O tem, co poczną moje myszy, gdy im niedługo rozbiorą nad głowami palazzo i słońce zacznie świecić do dziury, odkrywając wszystkie tajemnice. Wiem, że mają właśnie młode. Biedne stworzonka! Tak długo żyć to może z człowiekiem, a niczego się nie nauczy. O, jakżem zadowolony, żem biedny, wolny i sam, tak iż mogę przesiedlić się, biorąc wszystkie manatki poprostu do taczek.

Wyciągnął ramiona w górę i chwiał niemi, jakby chciał wziąć na nie każdy nadarzający się ciężar. Wyglądał dziś młodziej i raźniej niż zazwyczaj.

Wieczorem poprosił Teodora, by się z nim udał do szynkowni, w której przed wypadkiem spędził niejedną noc.

— Musisz się pan przekonać — powiedział — co znaczy prawdziwe rzymskie społeczeństwo, oraz jak się przedstawiają resztki dawnych, lepszych pokoleń. Są oni nieco nieprzychylni cudzoziemcom, którzy wciskają się tu, niewiadomo poco, a raczej wiedząc to zbyt dobrze może. Dzieje się podobnie w wyższych sferach. To też pozwól im pan robić co chcą i pij swe wino, nie robiąc sobie nic z wszystkiego. Mnie wiele uchodzi, to też mogę wprowadzić Niemca, bo mam u nich pewne znaczenie.

Przeprowadził przyjaciela przez kilka uliczek w pobliżu Trytona, wspaniałego wodotrysku Berniniego, fontanny di Trevi. Naprzeciwko fasady, utworzonej z grot i nisz, pośród których stoi na sztucznej

skale bóg, władnący potokami wody, spadającemi zewsząd w głąb wielkiej konch, stał mały, niski domek z mdłą latarnią nad drzwiami. Weszli do obszernej sieni, zajmującej całą szerokość budynku i przerobionej na izbę gospodnią. W głębi, pod sczerniałą ścianą mieściło się ognisko, a po prawej widniały schody, wiodące na górę. Było tu dużo stołów i ław, a wszystkie niemal obsiadło towarzystwo mieszane i milczące. Posługacz podawał miski ze smażonemi rybami, sałatą i makaronem, a od czasu do czasu znikał w drzwiach, umieszczonych w podłodze i ukazywał się znowu, niosąc świeżo napełnione flaszki.

Gdy weszli, rozległy się z głębi sali wesołe okrzyki.

— Eccolo! — zawołała okazała kobieta i zaczęła się przeciskać ku drzwiom, ocierając ręce we fartuch — Eccolo! Witajże nam, witaj po tysiąc razy, drogi sor*) Carlo! — Podała mu dłoń z wielką serdecznością, potem zaś krzyknęła na posługacza: — Pół flaszki Frascati, checo, świeżego, które przyszło wczoraj! To pan, pan sor Carlo. Jak pan sądzi, o kim mówiłam z moim Domenico, przed chwilą, przed momentem zaledwo? Powiedziałam mu: Domenico, jesteś człek ordynarny i nicpoń, że nie dowiadujesz się co słychać z naszym sor Carlem. Ja, jak wiesz, mam pełne ręce roboty, dzieci, gości i cie-

*) Skrót — signore. Przyp. tłum.

bie samego obsłużyć muszę, ciemięgo. Ale wydaje mi się, żem nie widziała tysiąc lat tego dzielnego Carla! Lalla mia, powiedział, zaraz jutro rano pójdę do niego. A co powiesz, myślę, że nie wzgardziłby odrobiną wina, tego świeżego, możeby mu tak zanieść un bariletto? A ja na to powiadam: mój Cuccio, to najrozumniejszy pomysł, jaki ci wpadł do głowy w ciągu dziesięciu lat naszego małżeństwa. W tej chwili wszedł carrotiere Girolamo i powiedział, że pana widział na Monte Pincio. No, zawołałam, dzięki Bogu, niedługo zjawi się też pewnie u nas! W tej chwili otwierają się drzwi i widzę pana! Zaprawdę na dobre to panu wyszło, wyładniałeś nawet! Sor Carlo, Girolamo nie chciał wierzyć, ale zaręczam, że madonna uczyniła cud i nie na darmo, widzę, odmawiałam za pana różaniec.

— Więc wam to, Sora Lalla, mam podziękować, że mnie ominęła wścieklizna, a skończyło się na okulawieniu. Macie, Domenico, za żonę najdzielniejszą kobietę Rzymu, istną świętą, będącą źródłem łask niebiańskich. Ha, ha, nareszcie wróciłem! — dodał, ściskając serdecznie dłoń gospodarza, człeka niezgrabnego i rubasznego nieco — Ten pan, to mój przyjaciel, musicie wiedzieć, który mnie wyrwał z paszczy dzikich bestyj! Ale hola, co widzę, tam siedzi mój czcigodny Gigi, je i pije, a nie może z gardła wykrztusić prostego bodaj pozdrowienia. Wstydź się, Gigi, jesteśmy wszakże starzy przyja-

ciele, a tak mnie zimno witasz. Przecież wstałem, jak Łazarz z grobu.

— Pytał ciągle o pana, sor Carlo! — szepnęła gospodyni — a przez cały tydzień nie mógł przełknąć szklanki wina, gdy ktoś o panu wspomniał. Bał się jeno iść do pana.

Człowiek, o którym mówiła, siedział przy niewielkim stoliku, oparty mocno plecami o ścianę, i wtykał w usta duże kawałki jadła. Był spaśny, gołą głowę jego nakrywała mała czapeczka, czarny surdut miał zapięty aż pod samą brodę, a odznaczał się uroczystemi ruchami, co go wyróżniało pośród innych, chociaż nie był pyszałkiem.

Bianchi przystąpił i pozdrowił go przez stół gestem dłoni.

— Drogi sor Gigi — rzekł — nie przeszkadzaj pan sobie, znamy się dobrze! — zauważył, że oczy siedzącego są wilgotne i dlatego tylko jeść nie przestaje, by nie ujawnić radości swej i zakłopotania — To śpiewak! — objaśnił Bianchi swego towarzysza — Śpiewa po kościołach podczas uroczystości. Chciano go postrzyc i zrobić klechą, bo posiada wykształcenie, ale pokazał figę. Wszyscy, których tu pan widzi, to ludzie wolni. Proszę, chodź pan, przyjaciel Gigi zrobi nam miejsce koło siebie!

Zjawił się posługacz, starł stół niezbyt czystą ścierką i postawił przed przybyłymi otwartą butelkę

Teodor usiadł, a Bianchi chodził pomiędzy stolikami, ściskając niektórym ręce, lub odpowiadając na pytania. Stół oświetlony był kopcącą lampą mosiężną, a trzy jej płomyczki błyszczały czerwonawo. Teodor zwolna oswajał się z dymem tytuniowym, wyziewami i odorem wrzącego oleju. Rychło jednak zapomniał o wszystkiem na widok przedziwnej pary, siedzącej przy przeciwległym stole. Była to młoda dziewczyna w stroju używanym przez mieszkanki Albano. Czerwony kaftanik obciskał rozwinięty dopiero co biust, na głowie zaś widniała duża koronkowa chustka, nie zakrywająca rysów twarzy, a spięta długiemi, srebrnemi szpilkami. Twarz jej świadczyła o wielkiej młodości, piękna była, zdrowa, (bo te trzy Gracje chętnie przebywają razem), tylko wyraz ust był dziwnie miękki i lękliwy, niemal bezwolny i bolesny, a długie rzęsy pokrywały do tego stopnia oczy, że jeno wąski, połyskliwy pas czarny u dołu dowodził, że czuwa.

Brała ze stojącego przed nią talerza kęsy jedzenia, ale czyniła to obojętnie, popijała też wino, ale ciemne policzki jej nie nabierały silniejszych rumieńców. Obok niej siedziała starsza kobieta w stroju rzymskim, o żywych ruchach i połyskliwych oczach, ale milczała zajęta jedzeniem, chciwie je połykając. Obie nie były do siebie zgoła podobne, a jednak najwidoczniej stanowiły jedno towarzystwo.

Bianchi zdążył tymczasem usiąść i wypić pierwszą szklankę. Nagle zerwał się z komicznem niemal zdumieniem i zawołał:

— Madonna santa! Cóż to za piękność! Skądżeś wytrząsnął taką sąsiadkę, sor Gigi? Czy to może twoja siostrzenica, albo może jakieś zapomniane dziecko, które ci się pewnego pięknego dnia zjawiło przed oczyma? Błogosławioną niech będzie zaiste jej matka!

— Che! Che! — powiedział z poważną miną śpiewak — Radbym bardzo, by tak było. Spytajcież jej samej, sor Carlo, skąd pochodzi, bo mnie nie raczyła odpowiedzieć.

Bianchi rzucił bystre spojrzenie na starą kobietę i mruknął do siebie:

— Tak, tak, znamy się, widzę!

Kobieta zauważyła to i rzekła, wlawszy resztę wina do szklanki:

— To głupiutkie stworzenie, moi panowie, to biedna sierota. Była u złych ludzi w górach i żal mi się zrobiło i zabrałam ją do siebie. Przywiozłam ją z sobą do Rzymu przez litość i staram się jak mogę, by jej było dobrze i by biedaczka nie zeszła na marne. Otwórzże oczy, Katarzyno, bo panowie chcą z tobą rozmawiać.

Dziewczyna usłuchała i wielkie jej oczy spoczęły przez chwilę na Bianchim, poczem opadły w dół. Rzeźbiarz uniósł się na krześle i pochylił ku niej.

— Masz na imię Katarzyna? — spytał.

— Tak, panie! — odparła głębokim, ale miękkim tonem.

— Ileż masz lat?

— Ośmnaście.

— Pewnie zostawiłaś w Albano kochanka, albo kilku nawet?

Zaprzeczyła głową.

— Cóż to za gadanie! — wmieszała się stara żywo — Jest dziewicą! Powiadam, jest niewinną jak jagnię! — potwierdziła gwałtownemi gestami głowy. — Inaczej nie opiekowałabym się nią wcale!

— No, no, wierzę, wierzę, patrząc na jej twarz i waszą, matko! — powiedział Bianchi — A czy umie tańczyć? Ten pan jest cudzoziemcem i dobrzeby było, gdyby zobaczył saltarello co się zowie.

Teodor poprosił o to w kilku słowach, a stara skinęła na gospodynię. Katarzyna wstała w milczeniu. Odsunięto za chwilę pobliskie stoły, tak że zrobiło się trochę wolnego miejsca, a Lalla przyniosła tamburyn. Stara siadła z nim w kącie, goście szynkowni schodzili się jeden po drugim, by patrzeć, posługacz, roznoszący jadło i wino, gotował się do tańca, a Bianchi szeptał przyjacielowi:

— Spojrz pan, jaką ma postawę, jakie ruchy, jak drobne ręce i nogi. Jest to roślinka, jakiej nie widziałem dotąd, bez zarzutu aż do końca śliczniutkich uszek. Szkoda, że muszę pozwolić, by z nią tańczył

checo, umiałem dawniej sam niezgorzej. Zaklinam pana, otwórz wszystko, co w panu jest okiem. Cud się tutaj ziści.

Teodor nie potrzebował tego zlecenia. Oparty o stół, nie spuszczał Katarzyny z oka. Zaczęła tańczyć przy pierwszych zaraz gwałtownych uderzeniach tamburyna. Lalla stała obok starej, klaskając i klekocąc kastanietami. Sor Luigi, śpiewak, nie ruszył się od stołu i od pierwszych taktów zaczął nucić melodję, którą potem zaśpiewał pełną piersią wraz ze słowami. Niezrozumiałe słowa, gorączkowy niepokój monotonnych uderzeń instrumentu, a ponad wszystko wielki czar wiejący od dziewczyny, wyprowadziły z równowagi Teodora, któremu wydało się, że go przeniesiono w inny świat. To, co znane, własne i drogie, cofnęło się w omrocz nicości i utraciło wszelką barwę. Ludzie, myśli, pożądania i nadzieje toczyły się w tym półśnie wedle taktu głuchych uderzeń tamburyna, płynąc mu poprzez duszę, jakby na jakiejś rewji. Odrzucał jedno po drugiem i wydało mu się, że ktoś woła, iż wszystko jest bez wartości i nie posiada życia naprawdę. — Tu jest jeno życie i szczęście! — mówił ten głos.

Zbudził się, gdy taniec ustał, i rozejrzał się zmieszany. Potem sięgnął po kapelusz.

— Odchodzisz pan tak wcześnie? — zdziwił się Bianchi — Nie podobają się panu, widzę, przyjaciele moi?

— Zapoznajesz mnie całkiem, drogi przyjacielu! — odparł ponuro — Zostałbym bardzo chętnie, ale dałem przyrzeczenie i muszę iść z wizytą. Jutro się zobaczymy.

— O, szkoda, — mruknął Bianchi — Będziesz się pan zabawiał w innem towarzystwie! Szkoda wielka!

Uśmiechnął się ostro i gorzko, gdy Teodor zwrócił się ku drzwiom, ale było mu nawet na rękę, że odszedł.

Młodzieniec stanął przed wodotryskiem, wciągnął głęboko w piersi chłodny, wilgotny wiew, bijący od wody i wsłuchał się w pełen życia jej poszum. Światło księżyca oblewało głowę i część piersi boga, u dołu błyskały jeno krople pośród ciemności. Zbliżył się i pociągnął haust wody, jakby chciał pozbyć się oszołomienia duszy i zaraz przyszła mu na myśl legenda mówiąca, że, kto napije się tu wody, wiecznie tęsknił będzie za Rzymem. Popadł w przykrą zadumę. Dopiero gdy z austerji doleciały ponowne dźwięki tamburyna, porwał się przerażony niemal i ruszył przed się. Z trudem przezwyciężył się, by minąć drzwi gospody i wejść w jedną z bocznych ulic. Słysząc zdala stłumione dźwięki, stanął i znowu musiał stoczyć z sobą walkę. Po chwili jednak poszedł zdecydowanym krokiem w miasto ku mieszkaniu Marji.

*

W chwili, gdy wszedł, umilkła rozmowa, a narzeczona wstała, podeszła doń i podała mu serdecznie rękę. Popatrzył krótko, przenikliwie w szlachetne jej oblicze, ona zaś odpowiedziała szczerem, spokojnem spojrzeniem. Potem zbliżył się do fotelu matki, która go witała głośno i pochylona wyciągała ku niemu dłoń. Podobnie jak córka nosiła dotąd czarne szaty, tylko włosy jej przykryte były popielatym welonem, a brunatne loki dziewczyny otaczała czarna, aksamitna wstążka. Ojciec powitał go również serdecznie i przedstawił kilku panom, siedzącym u stołu oświetlonego jasno. Byli to dwaj bracia, Anglicy, przybyli niedawno z Anglji, zażyli przyjaciele domu. Ze względu na gości rozmowa toczyła się po angielsku.

— Przybywasz późno, drogi panie Teodorze!— ozwała się matka — Brakło nam ciebie, gdyśmy opowiadali zacnym przyjaciołom naszym o ostatnich chwilach biednego Edwarda. Oczy moje licho pełniły wówczas swe powinności, a ojciec i Mary, jak wiadomo, chorowali. Myśmy większą ponieśli stratę od pana, któryś go znał od niedawna zaledwo, to też zachowałeś najwięcej równowagi i możesz uzupełnić to, co nam żyje w pamięci niby niepojęty, straszliwy, bezładny i chaotyczny sen.

Teodor nie był w stanie wyrzec słowa. Cisza, panująca w pokoju, gdzie się znalazł, obce twarze i cudzoziemska mowa przygnębiły go niesłychanie. Nie

mógł w żaden sposób opowiadać o ostatnich chwilach Edwarda tym nieznanym ludziom, gdy przed chwilą patrzył prosto w oblicze pełnemu upojnego czaru życiu. Uczuł dreszcz i doznał wrażenia, że zapada w stan jasnowidzącego stępienia, jakie nim zawładnęło w szynkowni. Serce jego wychyliło się znowu z owych codziennych szranków, stworzonych wolą i dających zadowolenie. Przeżywał marzenie, bezwolnie unoszony w dal, a obraz tego, który miał przed sobą czasu jawy, zgasł, od kiedy butwiały w stanie snu więzy, łączące go z nim.

Zebrani przypisali smutkowi brak odpowiedzi Teodora, który siadł przy Marji i zapatrzył się w blade jej czoło. Niepokoiło go, że jest tak ciche i białe. Modre jej oczy, tak czyste, tak szczęśliwe i poważne, utraciły już władzę swą nad nim. Odczuł jako swą własną niemoc, że nie radowała go dziś jak zazwyczaj szlachetna jej postać, że nie chwytał chciwie każdego słowa z jej ust ponętnych i że uśmiech jej każdy nie przenikał mu do serca. Walczył przez chwilę z ową oziębłością, która go bolała, ale okazało się to daremnem.

Ona spostrzegła, że się z czemś boryka, ale obecność ludzi nie pozwalała jej odzyskać przy pomocy poufnego, namiętnego zbliżenia owego serca, które się od niej odwracać zdawało.

Jeden z gości zapytał o pomnik, jaki miano postawić zmarłemu. Teodor opamiętał się potrochu

i powiedział, że zgodnie z życzeniem rodziców powierzył robotę pewnemu przyjacielowi, dodając kilka słów o jego osobie i losach. Rodzice Marji wiedzieli więcej o artyście, gościom atoli niebardzo przypadł do gustu ten pobieżny szkic.

— Byłoby dobrze — zauważył jeden z nich — by twórca przejął się tem, co stanowiło wnętrzną istotę zmarłego, i wchłonął w siebie miłośnie postać jego i krótkie błogosławione życie. Z opisu — powiedział — widzę, że jest to człek gwałtowny i uparty, a jeśli tak jest, to nie zdoła nigdy pojąć duszy Edwarda, który żył dla swych bliskich jeno i do ostatniego tchnienia otaczał ich gorącą, pełną wylania miłością.

— Jest on szorstki i energiczny, — odparł Teodor — ale piękno porusza go do głębi, a rzeczy szlachetne przyjmuje z nieśmiałością i czcią ogromną. Czytając mu Homera, zauważyłem jak głęboko odczuwa właśnie ustępy idyliczne i rzec można kobiece utworu.

— Może stało się to dlatego — upierał się gość — że odpowiadały one jego chwilowemu nastrojowi artystycznemu lepiej od dzikiej monotonji walki i niebezpieczeństwa. Inną jest rzeczą być wrażliwym na pewne ogólno-ludzkie, naturalne, pogańskie problemy, a co innego odczuwać sprawy, jakie nam ukazała religja nasza. Edward był nawskroś chrześcijaninem, przyjaciel zaś pański to zdaje się jeno powierzchowny katolik.

— Nie ukrywam tego — ozwała się matka — że mnie to potrochu niepokoi. Przed oddaniem człowiekowi nieznanemu tej roboty, na której nam wszystkim tak bardzo zależy, byłoby wskazanem dostać bodaj mały szkic na kawałku papieru, by można rzecz omówić i rozstrzygnąć.

— Znam go dobrze, droga matko — powiedział Teodor z naciskiem — Gdyby możliwem było uzyskać szkic na papierze, to oczywiście możnaby nawiązać z nim wprost układy. Ale on szkicuje odrazu w glinie i to w znacznych rozmiarach i wyraźnie prosił, by mógł pracować przez czas pewien bez świadków. Wie zresztą dobrze, że decyzja zależy od rodziny.

Nastała cisza, w której niemile tętniło echo nieco za gwałtownie wypowiedzianych słów Teodora. Marja zbliżyła się do fortepianu, starając się muzyką zatrzeć ten nastrój. Ale Teodor nie wrócił do równowagi. Prosta pieśń nie wywarła wrażenia na nim, któremu w uszach dudniły niespokojne, porywcze uderzenia tamburyna, a głos narzeczonej przytłumiły dziwne dźwięki szynkownianego śpiewaka. Uczuł na sobie spokojny wzrok Bianchiego i posłyszał jego słowa: cud się tu ziści. Wokół zaś niego było wszystko obce, trzeźwe i powszednie.

Skończywszy śpiewać, Marja usiadła obok niego i wypytywała po niemiecku, jak mu dzień

upłynął, co robił i czy widział się z Bianchim. Odpowiadał z roztargnieniem i w tym nastroju, jakby mówił sam do siebie, zawiadomił ją, co się stało w austerji i opisał taniec dziewczyny. Spojrzawszy przypadkiem na narzeczoną, dostrzegł w jej oczach i na delikatnem czole smutne jakieś napięcie. Przestali rozmawiać. Ojciec wypytywał gości o różne rodziny angielskie, a oni opowiadali ochoczo i szczegółowo. Teodor nie znał tych ludzi, zatopił się tedy ponownie w myślach, jakie go nurtowały. Niebawem poszedł do domu sam, gdyż przybyli przyjęli gościnę u rodziców Marji. Wydało mu się, że nagle został w fatalny sposób usunięty z koła ludzi bliskich sobie dotąd i to dwukrotnie, bo przez siebie samego i nich jednocześnie.

*

Nigdzie tak jak w Rzymie nie dają się tak dotkliwie we znaki nieczyste nastroje, niejasne stosunki, skrywane pragnienia i nigdzie nie oburzają więcej niż tam właśnie. Imponujący krajobraz, rzucające się w oczy dowody wielkiej siły człowieczej i świadomej celu woli wówczas jeno odczuwać można bez zawiści i bólu, jeśli w najbliższem otoczeniu naszem panuje zdrowie i uczciwość. Ten, komu się w Rzymie nie uda odepchnąć siłą od siebie wszystkiego co połowiczne, kręte i niejasne, zapada niesłychanie szybko w chaos, zaczyna chorować

i traci wszelki spokój. Niema mowy o ukrywaniu przed sobą samym i samorzutnie tu, gdzie co chwila ukazuje się w całej pełni i zawstydza świadectwo szczere i bezwzględnie jawne genjalnych pokoleń ludzkości.

Nie możemy jednak niestety niczego odrzucić od siebie, co ma do nas prawo, nie popadając na nowo w spór z sumieniem swojem. Dla ratunku, koniecznem jest silne przekonanie, a Teodor nie posiadał przekonania, był jeno zwątpiały i wzburzony do głębi. W światlejszych momentach powtarzał sobie zasadę starej wiedzy, opiewającej, że jedno nie wszystkim odpowiada zarówno. Wówczas wydawał mu się wprost niskim sposób życia Bianchiego, dawniej uważany przezeń za najbardziej ludzki, najkonieczniejszy i najczystszy. Uczuwał wstyd, że mógł mu zazdrościć, a subtelny blask owiewał znowu drogie postacie ludzi bliskich mu i pokrewnych. Wówczas zrywał się i spieszył do nich z przepełnionem sercem. Znalazłszy się atoli w spokojnem, pełnem powagi i namaszczenia środowisku, zmuszony obniżyć namiętne podniecenie do obojętnej rozmowy o nie obchodzących go rzeczach, nie mogąc wywnętrzyć się wcale i jeno przelotnie na odchodnem, mogąc przycisnąć do piersi narzeczoną, popadał za powrotem do domu we wzburzenie i złorzeczył powszechności, przymusowi i nienaturalności sposobu swego życia.

W chwilach takich spacerował po całych godzinach po brzegu Tybru — tuż pod drzwiami Bianchiego, zapatrzony w szeroką fasadę Watykanu, śledził bieg rzeki mknącej pośród krzewów, a wreszcie chronił się do mieszkania przyjaciela. Tam opuszczała go męka, ale podniecenie, jakie przejawiał i nienaturalne uniesienie, gdy chodząc po pracowni mówił o sztuce, dalekie były od normalnych znamion wesołości i zdrowia.

Bianchi zauważył dziwny ferment, przejawiający się w przyjacielu, ale unikał rozmowy na tematy osobiste i przeżycia indywidualne, a właśnie to dziwne, niespokojne zachowanie przywiązywało go co dzień bardziej do Teodora. Bianchi stał się od czasu choroby łagodniejszy i pogodniejszy w czynach swych i myślach. Posłyszawszy pukanie Teodora do drzwi, nakrywał płótnem szkic pomnika i otwierał co prędzej. Był ciągle jeszcze skąpy w objawach miłości, ale twarz jego świadczyła, że obecność przyjaciela była mu nad wszystko droga. Siadywał przy otwartem oknie nad muszlami swemi, zrzadka jeno zwracając się do Teodora, i pracował wśród rozmowy, lub słuchając czytania. Za pośrednictwem Teodora znalazł nabywców, którzy mu płacili teraz dwa razy tyle co handlarze, mimo to jednak pracownia nie odznaczała się wcale większym niż poprzednio komfortem. Słońce jeno złociło nagą ścianę, na której wisiała

głowa meduzy, a za oknem widniała urocza dal...

Pewnego parnego majowego wieczora, gdy opustoszały już brzegi Tybru, a jeno komary unosiły się nad zaroślami, zastukała żywiej niż zazwyczaj kołatka u drzwi Bianchiego. Wstał od roboty, u której siedział pogrążony w myślach i nie przykrył jak zawsze szkicu płótnem.

— Jeśli to on tak się dobija, to niechże sobie wreszcie dziś zobaczy! — pomyślał i poszedł otworzyć.

Teodor wbiegł porywczo, twarz miał ożywioną i rozbłysłe oczy.

— Bianchi! — zawołał — Bianchi! Wracam od niej, widziałem ją, rozmawiałem z nią, cud ziścił się znów dla mnie i przeniknął. Czemużeś to drogi, a niedobry człowieku, powiedział mi swego czasu, że wróciła w góry, uciekła od swej staruchy i wogóle nagadał bajek? Czy ci tak opowiadano? Mówię ci, nie wydaliła się krokiem z Rzymu przez te dwa miesiące. Mówże, Bianchi, cóż pan na to? Czyż nie wielbisz mego losu, który mnie z nią zetknął, tak że dotąd nie mogę zebrać zmysłów!

Biegał, nie patrząc na nic po pokoju, nie widział też, że pobladły śmiertelnie Bianchi stoi u drzwi i śledzi badawczo jego bieganinę.

— Spotkałeś Katarzynę? — padło nakoniec z ust jego.

— Tak jest! Oczywiście ją, jak zawsze piękną, cichą, z niebem i piekłem w spojrzeniu, jak onego niezapomnianego wieczoru, tylko zgorzkniałą, smutną i ubraną po rzymsku. Wyobraźcie sobie, Bianchi, jak to było. Siedziałem w domu niezadowolony, spotniały nad książkami i wreszcie uczułem potrzebę wyjścia. O kilka ulic dalej wpadłem w tłum strojnych ludzi. Spieszyli się i powiedziano mi, że na Monte Pincio odbywają się wyścigi. Trzeba to zobaczyć. Nie miałem celu, przeto dałem się porwać i zgoła bez myśli znalazłem się na górze. Widziałeś pan barjery i belkowanie, które wczoraj ustawiano, dziś było wszystko pełne, głowa przy głowie, siedzieli tam ludzie tak, że z trudem jeno znalazłem miejsce, nader, jak w pierwszej chwili sądziłem, niewygodne, gdyż słońce ślepiło mnie, świecąc wprost w oczy. Stałem, namyślając się czy odejść, czy jakąś znaleźć zasłonę i naraz, spojrzawszy na dół, ujrzałem jedwabną parasolkę, poniżej zaś część przepysznych ramion i karku kobiecego. W oka mgnieniu zorjentowałem się i pochylony spytałem, czy mogę skorzystać z dobrodziejstwa cienia parasolki. Ona obejrzała się, a ja uczułem, że serce me przeszywa strzała, poznałem ją bowiem. Ona również poznała mnie i nie rzekła nic. Ale opiekunka jej, starucha, pojawiła się tuż obok, bardzo rozmowna, grzeczna i kazała Katarzynie osłonić mnie parasolką. Bianchi, nie umiem ci przyjacielu wyrazić słowami, jak trzy-

mała parasolkę, jak odpowiadała na me pytania skromnie, a jasno, tym słodkim, głębokim głosem swoim! Siedziałem oczarowany, ślepy na wszystko wokół, pod małym daszkiem, sam na sam z nią, budując z tych elementów coś nakształt domu dla nas obojga, gdzie godziny i dni w lata płynąć mogą sobie, obojętne, bez znaczenia, jakby były wiecznością. Nie miałem naturalnie oczu dla całego widowiska, śledziłem jednak wrażenie, jakie dziki pościg czyni na niej. Podskakiwała z radości za każdym śmiałym zwrotem, albo gdy jeden z wozów, wyprzedzając inne, znikł na zakręcie, klaskała w dłonie, gdy przeprowadzano obok trybuny spotniałego, spienionego, zwycięskiego rumaka. Zawołałem w duszy: prosta, szczera, niesfałszowana natura śmieje się oczyma temi. Jakże niepodzielnie musi oddać się z ciałem i duszą ten, do którego się zaśmieją. Przemilczę o innych powodach podniecenia i radości. Widowisko skończyło się, publiczność opuściła szranki, a sąsiadki me wstały z miejsc. Gdym zaproponował, że je przez ciżbę odprowadzę do domu, młodsza odmówiła spokojnie, ale stanowczo. Stara dawała mi za jej plecami jakieś znaki i robiła miny, których nie rozumiałem. Szedłem za niemi w pewnem oddaleniu w stronę miasta. Wydało mi się, że Katarzyna przyspieszyła kroku, kiedy starucha obejrzała się na mnie. Doszedłszy do via Margutta, weszły do jednego z domów. Nie miałem

śmiałości zapukać, stałem jeno jak wryty przez dobre pół godziny, nie dostrzegając w oknie jej twarzy, patrząc jeno na poruszające się firanki. Raz ukazała się w oknie stara, ale mnie nie dostrzegła, gdyż stałem w cieniu domu. Po długim zaledwo czasie zdołałem się oderwać i oto jestem tu, ziemia płonie mi pod stopami, a zmysły moje nie są w stanie odczuć nawet obecności drugiego człowieka.

Padł na krzesło, nie zwracając zgoła uwagi na to, że Bianchi stoi dotąd u drzwi i nie odzywa się słowem. Patrzył przed siebie. Dziś dopiero, po tylu strasznych tygodniach przygnębienia i smutku wchłonął haust życia i przeżył godzinę kędyś na wyżach ponad sobą samym.

— O, gdybyż to można płynąć tak zawsze z rozpostartemi żaglami po pełnem morzu. Straszna to i marna rzecz włóczyć się po wybrzeżach, dusić w łatanem czółnie i nakoniec utknąć na mieliźnie!

Wyrzuciwszy te słowa, otworzył oczy i ujrzał przed sobą rzeźbę nagrobną. Wieczorne, czerwone światło padało oknem, zarysowując wyraźnie postacie. Widać było młodzieńca nad brzegiem rzeki, obok niego przód czółna i dziką sylwetę starego przewoźnika. Odjeżdżający postawił już nogę na brzegu łodzi, całą atoli postacią zwrócony był w stronę przeciwną ku pięknej, dojrzałej kobiecie, trzymającej róg obfitości i siedzącej pod drzewem z opuszczoną na piersi głową i smutnym wyrazem

szlachetnej twarzy. Obok niej stał genjusz miłości z obróconą w dół pochodnią, na znak gaszenia życia. Zapatrzony w odjeżdżającego zdawał się badać, czy nie da się go zatrzymać. Niestety, pomiędzy nimi stała przeraźliwa postać Parki z gestem sprzeciwu.

Teodor wpatrzył się w głowę młodzieńca i na widok jego rysów doznał uczucia wstydu. Dał Bianchiemu portret zmarłego, zrobiony przez Marję, na kilka dni przed śmiercią. Subtelne rysy miały w sobie ton już zaświatów, zwłaszcza oczy wielkie były i przepastne. Ponieważ nie było tu żadnych przypadkowych, drugorzędnych szczegółów, przeto podobieństwo rodzinne wystąpiło tak jasno, że aż wywołało zaniepokojenie o tę, która żyła dotąd. Po raz pierwszy odczuł to dzisiaj. Widział Marję w godzinach bólu i wielkiego wzruszenia, z oczyma pociemniałemi, z półotwartemi ustami, o tak poważnym wyrazie, jak u brata. Nie mógł wytrzymać na krześle, przystąpił do rzeźby i wnętrzna walka nagle ustała, odrazu zrozumiał, że wszystko rozstrzygnięte i że znikło w obliczu tego dostojeństwa i uroku raz na zawsze całe niebezpieczeństwo. Stał tak długo, aż zbladła purpura zachodu, a cień okrył przed nim te rysy. Potem, bez słowa zwrócił się ku drzwiom, gdzie Bianchi stał dotąd, chwycił dłoń jego, uścisnął serdecznie, nie odczuwając jednak wcale, jak jest wiotka i zimna, i wyszedł.

Bianchi drgnął, gdy drzwi zapadły i rozejrzał się dokoła, nie mogąc zebrać zmysłów. Stał pod ścianą, niezdolny do poruszenia się, mimo że oddawna powziął już decyzję, co ma czynić. Tylko członki opierały się woli. Nadeszła noc i teraz dopiero szarpnął się i, zwalczając drżenie, przycisnął do oczu zaciśnięte pięści. Wydał okrzyk głuchy i to mu przywróciło władanie sobą. Spokojnym krokiem opuścił dom, a zachowywał się tak normalnie, że nie zwrócił nań uwagi żaden z przechodniów, zażywających wieczornego chłodu. Doszedłszy do via Margutta, zastukał bez wahania do niewielkiego domku. Stanął w sieni i spojrzał w górę, gdzie u szczytu kamiennych schodów stała z lampą w ręku Katarzyna.

Objął z lubością spojrzeniem przepiękne kształty młodej kobiety, która, oparta o poręcz, starała się zgrabnym ruchem oświetlić dół i rozpoznać w cieniu znane sobie oblicze. Skinęła głową, uśmiechnęła się i przesłała mu pozdrowienie.

— Chodźże, chodź! — zawołała, gdy marudził na dole. Zwolna wstąpił na schody. Gdy ujrzała przy świetle twarz jego, zamarły na jej wargach uśmiech i wyraz radości. — Carlo! — zawołała — Na miłość boską, ty jesteś chory! — Odsunął ją z boku, potrząsając podniesionym palcem.

— Daj pokój! — powiedział— Wejdźmyż, Katarzyno!

Poszła za nim przerażona i bez tchu. Pokoik był niski, ale czysty i dostatnio urządzony. Kwiaty stały na oknach, a ptak, w klatce wiszący, zaczął w tejże chwili pod wpływem światła ćwierkać i śpiewać. Na stole leżała gitara, przy stole zaś siedziała zajęta robotą stara kobieta. Wstała zaraz, pozdrawiając przybyłego pokornie, a zarazem zuchwale.

— Dobry wieczór, sor Carlo! — zawołała — Co słychać? Dobrze, że pan przybywasz. Biedaczka nasza nie mogła grać, struny brzmiały fałszywie, a ptak, któregoś jej podarował, śpiewał jakoś zbyt głośno. Dziecino, mówiłam jej, córko moja, przyjdzie, napewne przyjdzie ten, który ci jest milszy od własnych oczu twoich! Nenna, powiedziała mi, serce mi bije i boję się sama, nie wiem czego! Cicho, cicho, uspakajałam ją, jesteś dziecko! Czyż nie masz umiłowanego, który cię nosi na rękach, kocha i strzeże...

— A ciebie wtrąci do piekła, przeklęta czarownico! — wrzasnął, przystępując do niej — Ty nikczemna, jadowita żmijo! Tylko siwe twe włosy bronią cię przed memi pięściami! — Potrząsnął nią mocno, a żyły na czole mu nabrzmiały. Starucha skuliła się i łyskała ku niemu oczyma.

— Nie żartujcież w tak straszny sposób ze starej kobiety! — powiedziała, jąkając się — Dostanę ze strachu reumatyzmu. Sor Carlo, racz pan mówić łagodniej i nie używaj słów takich, że chrze-

ścijanka musi się za każdem z nich żegnać i odmawiać modlitwy. Cóż pan masz do zarzucenia biednej Nennie?

— Co mam? — wybuchnął i pchnął ją tak, że padła na kolana — Pytasz jeszcze, nikczemnico? W oczy udajesz niewinną gołąbkę, a za plecami oszukujesz mnie? Wszakże pod grozą śmierci nakazałem ci pełnić to, co każę, i nie podawać ucha podszeptom szatana. Ale ty masz popędy kuplerskie i, chcąc mi dziewczynę przywieść do zguby, wiedziesz ją pomiędzy ludzi, by ją pokazać i przehandlować komuś bogatszemu, niż biedny rzeźbiarz Bianchi, który żyje z pracy rąk własnych i was obie utrzymuje. Precz mi zaraz z tego domu i to bez oporu i lamentów! Znam cię i powinienem był wiedzieć, że nie żadna z ciebie opiekunka, ale zdrajczyni, a w sercu twem roi się od piekielnych zakusów.

Stara wstała i stanęła z gestem fałszywej pokory przy oknie, kilka kroków od niego.

— Słusznie mówisz, sor Carlo! — powiedziała — Zawiniłam bardzo. Ale żal mi się zrobiło biednej, samotnej dziewczyny, która przez cały tydzień i w święto nie widzi niczego prócz przeciwległych dachów, albo co najwyżej gwiazd na niebie, gdy ją pan czasem weźmiesz na przechadzkę wieczorem. Dziecko, rzekłam jej, on jest dobry, przeto nie weźmie ci za złe, jeśli mu dziś wieczór opowiesz

o wyścigach, jakie widziałaś. Wzbraniała się biedaczka, ale widziałam, że myśl ta ją pociąga i namówiłam ją wkońcu. Cóż się złego stało? Pocóż robić piekło? Czyż nie należy jej się czasem rozrywka? Czyż nie stoi tu przed panem taka, jaką była, a włos jej z głowy nie spadł nawet! Powinienbyś się pan, sor Carlo, wstydzić, żeby rzucać takie zarzuty w twarz starej kobiecie, która czyni wszystko, by być użyteczną panu i Katarzynie!

— Wynoś mi się precz! — odparł z nieubłaganą stanowczością — Ni słowa z tobą zamienić nie chcę!

Starucha spojrzała przenikliwie i spostrzegła, że stoi z pięścią opartą o stół, jakby myślał już o czemś innem. Przysunęła się do dziewczyny, siedzącej na niskim stołeczku i patrzącej w ziemię.

— Córko, — szepnęła — wstaw się za mną! — a gdy Katarzyna, spojrzawszy w twarz Bianchiego, potrząsnęła głową i powiedziała, że to nic nie pomoże, stara zbliżyła się do rzeźbiarza i zaczęła błagalnie: — Pozwól mi zostać na tę noc przynajmniej! Gdzież położę głowę? Muszę zebrać też tę odrobinę, jaką posiadam. Uczyń to w imię Najświętszej Panienki! Sor Carlo, nie odtrącaj mnie pan jak...

— Wynoś mi się! — krzyknął — Cóż posiadasz, czegobyś nie miała ode mnie? Wynoś się, albo...

Podniósł pięść, a kobieta zadrżała ze strachu i, mrucząc pod nosem klątwy, prośby i pogróżki naprzemian, wyszła chyłkiem z pokoju.

— Z nami koniec, Katarzyno! — powiedział spokojnie, nie patrząc na nią.— Od dziś dnia nie ujrzysz mnie już. Nie pytaj o przyczynę i nie trap się myślą, żeś mnie rozgniewała. Mam urazę jeno do tej djablicy, którą wygnałem precz. Ty jesteś dobra i będzie ci się dobrze działo, mimo że mnie widzieć nie będziesz. Zjawi się tu inny i zapuka do twego domu, a mianowicie ten, który siedział dziś przy tobie podczas widowiska. Otwórz mu i bądź dlań taką, jak dla mnie, kochaj go i bądź mu wierną. Nie wolno ci wspominać, że mnie znasz, nie wolno ci wymówić nawet nazwiska mego. Przesiaduj jak dotąd w domu, a gdybyś wyszła, unikaj tej części miasta, która przylega do Tybru. Przyrzeknij mi to wszystko, Katarzyno!

Czekał odpowiedzi. Miast niej, posłyszał z rogu pokoju łkanie, które przejęło bólem duszę jego.

— Nie płacz! — powiedział jak mógł najspokojniej — Widzisz przecież, że nie odchodzę od ciebie w gniewie. Będziesz szczęśliwa i rola twa poprawi się nawet znacznie. Pokochasz drugiego silniej jeszcze ode mnie.

— Nigdy! — jękły usta biednej dziewczyny. Porwał ją gwałtowny płacz, ale ten jeden ton, wyrzucony z piersi, dał wymowny wyraz bezgranicznego przywiązania. Ponura twarz Bianchiego rozjaśniła się, spojrzał na nią i zbliżył się. Dziewczyna wstała, padła mu na piersi, tak, że ją niemal bezprzytomną przyjął w ramiona. Pocałował ją w czoło.

— Cicho! — powiedział — I ja i ty musimy się opanować. Tak będzie dobrze, lepiej nawet jeszcze. Kto wie, czybym zdołał przeżyć wszystko w inne formie. Nie może to trwać dłużej, inaczej bowiem zginę. Katarzyno, zbierz to co masz najcenniejszego i najmilszego, i przygotuj się do drogi. Spiesz się. Może się jeszcze zobaczymy, tylko nie tutaj. Bądź cierpliwa.

Patrzyła nań zdumiona, nie rozumiejąc o co idzie, nie domyślając się niczego. Mechanicznie uczyniła co kazał i, skończywszy, spytała trwożnie: dokąd idę?

— Chodź! — powiedział i zgasił światło. Ptak w klatce bił gwałtownie skrzydłami o druty, gitara, potrącona w ciemku, wydała tętniący dźwięk. Biły im obojgu mocno serca. Poszli.

*

W bardzo dziwnym nastroju opuścił Teodor dom Bianchiego. Gdy go owiało spokojne powietrze, ustąpiło przygnębienie, jakie odczuwał, patrząc na rzeźbę. Uczuł jeno osłabienie, wolne od bólu, jakiego doznaje ozdrowieniec po ataku gorączki. Utajona na dnie myśli jego skrucha przyczyniła się jeszcze do rozjaśnienia duszy, podobnie jak ciemń podkreśla światłość. Poznał, że nic nie jest jeszcze stracone, a wszystko, co odepchnął w momencie zaślepienia jest, jak było, jego własnością i starczy mu wyciągnąć

rękę, by je posiąść na nowo. Został ukarany przez samego siebie za to, że czas pewien dał się porwać bezsensownym pragnieniom, psując sobie użycie tego, co najlepsze, po to jeno, by ścigać uroczy majak.

Miał przed sobą postacie obu dziewcząt, a serce jego ani na chwilę nie zawahało się, mimo że nie popełnił niesprawiedliwości wobec Katarzyny. Odczuwał ciągle jeszcze zdumienie, wspominając poszczególne rysy przedziwnego oblicza Marji, a serce skakało mu w piersiach radośnie, odżyło na nowo i było tak upojone, jak w czasie pierwszej znajomości z narzeczoną. Cóż się bowiem zmieniło? Wszakże została tą, jaką była! Wobec ludzi nie przestała zachowywać się lękliwie i krępować wymogami obyczaju, ale żar miłości, jaki od niej bił, oczy nie mogące się odeń oderwać, gdy wchodził, ręce niezdolne puścić go, gdy się oddalał, słowem wszystko świadczyło, że bez zastrzeżeń uważa się za własność jego. Czyż mógł jej brać za złe, że ulega wpływowi matki purytanki i że, pokochawszy go, nie zerwała wszystkich poprzednich więzów? Czy mógł pragnąć, by mu się odrazu rzuciła na szyję, jak rozpasana minenta zatybrzańska, nie licząca się z niczem poza namiętnością.

Pędziło go teraz do jej mieszkania, jakby miał przeprosić za wszystko, czem od całych tygodni już zatruwał jej życie. Wiedział, że wyjechali dnia po-

przedniego z Rzymu goście, którzy mu tak byli nie na rękę. Miał wrażenie, że wszystko zacznie się teraz na nowo i wbiegł na schody z tem rozbudzonem szczęsnem uczuciem.

W pokoju Marji w tym właśnie czasie znajdowała się miss Betsy. Wstała, by odejść, a dziewczyna siedziała przy fortepianie po ciemku. Trzymała się poręczy fotelu, bo miała wrażenie, że inaczej osunie się na ziemię.

— Usłuchaj mej rady, dziecko! — zakończyła mała dama długą rozmowę, którą, zda się, wiodła zresztą sama jeno — Gdy tylko przyjdzie, każ mu się wytłumaczyć, by nie miał czasu na wykręty. Tak postąp, droga panno Marjo! Jest młody i może się jeszcze poprawić, byle rozumnie wziąć się do rzeczy. Coprawda postąpił szkaradnie i choćbym rada, nie mogę cofnąć, drogie dziecko, nic z tego, com powiedziała w pierwszym przystępie złości. Ale Stwórca oświecił już niejednego grzesznika. Gdybyż był chociaż religijny! Pamiętasz, droga Mary, żem mu to nieraz zarzucała, a teraz okazuje się, jak wielką miałam słuszność. To wstyd, że tak mało ceni sobie panią, to wstyd prawdziwy! Obejrzałam się i zobaczyłam go. Na szczęście nie siedział w pobliżu nikt ze znajomych, bo nikt z dobrego towarzystwa, o ile nie zamierza jak ja studjować ludu, nie bierze tych miejsc, jeno oddzielne loże. Zepsuł mi całe widowisko i tego mu nie daruję. Dear me, gdybyś to wi-

działa, umarłabyś natychmiast. Ani oka z niej nie spuścił. Było widoczne, że się znają. A może to dawna namiętnostka? Ha, w takim razie możnaby usprawiedliwić poniekąd, bo spotkał dosyć pięknych dziewcząt, zanim poznał panią, droga Mary. Ale trzeba zachować przynajmniej pozory i udawać przy ludziach zupełną nieznajomość. Tak, drogie dziecko, musisz z nim pomówić serjo, by miał raz na zawsze nauczkę i to pomoże napewne. Jeśli tak się nie stanie, to mimo, iż radabym pani tego oszczędzić, muszę, z uwagi na moje zasady moralne, prosić rodziców, by się z nim rozmówili. Jakże można dopuścić, by taka jak wasza rodzina okryta została hańbą i nieszczęściem przez przyjęcie do swego grona tego lekkomyślnego człowieka. Czyś pani nie słyszała o jego stosunku miłosnym tu w Rzymie przed waszemi zaręczynami?

— Nie! — odrzekła Mary zcicha. Nie była w stanie wyznać, że pod wrażeniem opisu usłużnej donosicielki odżył w niej obraz, który ją dręczył już ongiś przez cały jeden dzień. Nazajutrz po wieczorze, kiedy to jej opowiadał Teodor o tancerce szynkownianej, szli razem ulicą. Z niskiego domku wyjrzała piękna dziewczyna, a gdy Mary zwróciła na nią uwagę narzeczonego, nie mógł on pohamować się i uczynił gest gwałtowny. Dziewczyna poznała go również widocznie. Powiedział, że jest to właśnie Albanka, o której wspominał, poczem zaczął szybko

mówić o czemś innem. Ale Mary utkwiły dobrze w pamięci rysy dziewczyny.

— Wszystko będzie jeszcze dobrze! — zawyrokowała miss Betsy i pogładziła Mary po włosach — Nie martw się, droga moja! Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni aniołami nie są. Mój Boże, któż z nas tego nie przeszedł? Pomów pani z nim na serjo, a uczuje skruchę! Dobranoc, drogie dziecko moje, niech Bóg nad tobą czuwa!

Wyszła szybko i spotkała w ulicy Teodora, który jej omal nie przewrócił.

— Przepraszam, łaskawa miss Betsy! — zawołał — Ale pojmie pani chyba pośpiech narzeczonego, który biegnie do swej bogdanki.

Nie zauważył lodowatej miny, z jaką odrzekła:

— Mary w samej rzeczy oczekuje pana!

Pospiesznie wbiegł do pokoju i zastał ją po raz pierwszy samą wśród zmierzchu, stojącą przy oknie z lokami rozsypanemi w okół głowy, i w duchu podziękował losowi, który zdawał się sprzyjać naprawie wszystkiego. Zbliżył się po cichu, ona zaś pozostała bez ruchu. Objął ją ramieniem i szepnął jej imię. Drgnęła i obróciła się, a on zobaczył, że oczy jej są wilgotne.

— Płaczesz, Mary, droga moja, jedyna? — spytał, starając się przytulić ją do siebie mocniej. Nie dopuściła tego, wyśliznęła się, otarła oczy i zaprzeczyła ruchem głowy.

— Nie! — powiedziała wreszcie — Nie płaczę, daj spokój. Przeszło już wszystko!

Zaczął chodzić tu i tam, nie wiedząc, co się stało, czując atoli, że odrazu znikła cała radość jego.

— Cóż ci to? — spytał po chwili — Czemuż mi nie powiesz? O, gdybyś wiedziała z jaką radością przekraczałem próg tego pokoju, jak się cieszyłem, że jesteś sama! I nagle widzę cię bardziej obcą i dalszą niźli pośród przymusu licznego towarzystwa. Sama nie wiesz, jaką przez to oboje ponosimy stratę.

Milczała i miała spuszczone powieki. Porównywała wymawiane przezeń słowa z wyrazami zasłyszanemi z takim bólem przed chwilą, a spojrzenia jego z temi, jakie wedle opowiadania przyjaciółki posyłał innej. Czuła, że budzi się w niej coś na jego obronę, ale więcej głosów oświadczało się przeciw. Nie uważała go za niegodnego kłamcę i nie potępiała. Opowieści miss Betsy wysłuchała, jakby czegoś nie obchodzącego ich obojga, jak czegoś, czego pojąć nie jest w stanie. Był to jednak ostatni ciężar, dorzucony do brzemienia dźwiganego już od tygodnia. Teodor mylił się, sądząc, że nieszczęsnym nastrojem swoim samemu jeno sobie zadał cierpienie. Nie uszło uwagi Marji, że się zmienił, że pierwszy blask miłości zagasł w nim, że nie jest pewny własnego serca. Gdy był obecny, panowała nad sobą ze względu na niego i nie wyznałaby za nic, że ma wątpliwości, gdy była sama, czyniła sobie wyrzuty, wmawiała w siebie, że źle ob-

serwuje i przesadza, a mężczyzna nosi w sobie myśli, które go tak absorbują, że nawet obok ukochanej pozbyć ich się nie jest w stanie. Wiedziała też, że dolega mu coraz to bardziej przymus, narzucany przez matkę. Chwilami jednak wyrywało się na wierzch uczucie rozgoryczenia i troski i właśnie teraz, gdy słowa były konieczne, usta jej i serce były zamknięte. Nie spodziewała się niczego dowiedzieć z pytań, a wyrzutom niczego zawdzięczać nie chciała. Nie doznając wielkiego cierpienia, była jakby obumarła, tak, że nie odczuwała jego bliskości, gdyby jednak odszedł, doznałaby wrażenia śmiertelnego ciosu.

Stali tak przed sobą, w fatalne nieporozumienie uwikłani i Teodor wyciągnął już rękę po kapelusz, gdy weszła matka, i musiał zostać. Wniesiono światło, panie usiadły, on zaś stał niemy, klnąc samego siebie i los własny. W takich momentach gromadzi się naraz wszystko, co najnieznośniejsze, to też matka zaczęła oczywiście mówić raz jeszcze o pomniku Edwarda. Nie mógł zaprzeczyć, że dziś widział po raz pierwszy projekt i musiał opisać, co przedstawia i jak jest wykonany. To go nieco ożywiło.

— Jest wprost niezrównany! — zawołał — Nie umiem wyrazić jak mnie to porwało. Edward jest tu żywy, a jednocześnie przeduchowiony, a największy cud to, że rzeźbiarz objawieniem chyba jakiemś dowiedział się, jakie miał ruchy i jak we wła-

ściwy sobie sposób pochylał głowę, o czem z nim nigdy nie mówiłem.

— Nie przeczę niczemu, co mówisz, drogi Teodorze, — powiedziała matka po namyśle — a mimo to nie ukrywam, że rażą mnie opisywane przez ciebie postaci poboczne. Nie będę chyba mogła modlić się na grobie syna, jeśli pomnik mieścić będzie te figury, które mnie przerażają, miast podnosić.

— Są to, droga matko, — odrzekł — symbole spraw wielkich, które każdy zna dobrze. Czyż nie tak samo rzeczby się miała, gdyby poeta włoski napisał w swoim, a więc obcym nam języku poemat o Edwardzie.

— To co innego, — powiedziała — w tym wypadku obcąby mi była jeno forma, tu zaś treść wyobrażeń sprzeciwia się moim najświętszym uczuciom, tak, że odwracam się, nie chcąc z tem mieć nic wspólnego!

— Ostre to słowa.

— Dziwi mnie, że ci się takiemi wydają, drogi Teodorze! — zauważyła — Wszakże musisz wziąć pod rozwagę zapatrywania kobiety i chrześcijanki.

— Oglądamy w Rzymie codziennie liczne dzieła minionych pokoleń i uczestniczymy w myślach i czynach odmiennych od naszych, nie pojmuję przeto, droga matko, tej odrazy w wypadku, gdy człowiek szlachetny dał z siebie wszystko, co jeno mógł.

— Nie zaprzeczam, że miał najlepszą wolę. Ale właśnie dlatego, że mnie to dotyczy, jestem wrażliwa na to, co dał. Najszczersze chęci rażą, jeśli nie liczą się z tym, do kogo się odnoszą.

Teodor zbliżył się do Marji, pochylonej w milczeniu nad krosnami, i spytał:

— Czy i ciebie, droga Marjo, razi projekt Bianchiego?

— Nie, — odparła — ale przyznaję słuszność matce. Nie można kochać tego, co nam jest obce. Ja tego nie potrafię przynajmniej, chyba mężczyzna zdolny byłby to uczynić.

Napoły jeno zrozumiał jej słowa, ale poznał, że się odeń odwraca i uczuł gwałtowny ból. Skłonił się i wyszedł nie przez chęć oporu, lub powodowany rozgoryczeniem, tylko chciał się opanować, skupić i namyśleć. Zostawszy, byłby mówił zgoła nieprzytomnie.

— Z tego nie będzie nic! — powiedział sam do siebie, krocząc ulicą — Ona ma rację, bylibyśmy sobie zawsze obcymi. Wziąłem za pociąg i przeznaczenie swe własne daremne wysiłki narzucania się jej ustawicznie. Cóż dziwnego, że ją to wkońcu znużyło? Tylko okrutne jest to, że musiało zdarzyć się wszystko dziś właśnie, kiedy się tak pięknie myliłem, tak rozkosznie okłamywałem i żywiłem stokroć więcej, niż zazwyczaj, nadziei. A jednak dobrze się stało i zbawiennie, bo oto wolny jestem raz na zawsze od

owego dobrodusznego i zuchwałego zarazem łudzenia się.

Przyszedł mu na myśl Bianchi i dodał:

— Szkoda! Powinienem był mu tego oszczędzić. Znowu będzie miał co rzucać do Tybru. Nie, nie stanie się tak, zachowam dla siebie tę rzeźbę, jako ostrzeżenie, bym bacznie uważał w przyszłości, darząc kogoś zaufaniem.

Przyszedł do domu, zaświecił i siadł pisać. Zaczął do Marji list łagodny i spokojny, ale po pierwszych zaraz wierszach uświadomił sobie całe kłamstwo. Zawrzał gniewem i uczuł taką tęsknotę, że zerwał się i złamał pióro. Nie wiedział, gdzie ma iść, a wydostawszy się na świat, ruszył ku pracowni Bianchiego. Nie wiedział, co uczyni, czy mu wszystko powie, czy zamilczy, czuł jeno, że w obecności jego będzie się starał odzyskać równowagę i powziąć postanowienie. Nie mógł wytrzymać w samotności.

Wąski jeno sierp księżyca błyszczał na niebie, ale domy były oświetlone, w oknach i na balkonach widniało mnóstwo ludzi, po korsie płynęła fala wesołych, beztroskich tłumów. Rzeźwili się chłodem wieczoru, śmiały się powabnie dziewczęta, przybyłe zdala i rzymskie, a suknie miały na sobie tak lekkie, jakby wprost wyszły z pokojów. Ulica przypominała długi kurytarz wzdłuż balowej sali, do którego chronią się dla ochłody rozgrzani tancerze. Z jednego z domów dolatywała muzyka i tryl słowika w klatce.

Teodor musiał przebrnąć w poprzek tłumu i, dokonawszy tego, wydał się sobie człowiekiem wytrąconym, nie mającym z życiem nic wspólnego. Zdążał jeszcze jeno do przyjaciela, by mu wyznać, że nie dopełnił obowiązku, a potem mógł spocząć na zawsze. Zapuścił się w wąskie, puste uliczki, wiodące ku Tybrowi, i szedł niezdolny do snucia konsekwentnie ni jednej bodaj myśli. Wkońcu znużony daremnym wysiłkiem, zostawił ducha swego na pustych dalach bólu, niby bezkreśnem morzu, obezwładnionem ciszą.

Znalazł się na części wybrzeża zwanem Ripa grande, gdzie stoją łodzie, płynące do Ostji, małe parowce i ciężarowe barki. Niema stąd bezpośredniej łączności brzegiem z Ripettą, leżącą w odległości stu kroków, to też zwrócił się w jedną z szerszych uliczek, gdy nagle od strony schodów, wiodących do wody, posłyszał głośną kłótnię. Doleciał go dźwięk, który mu zatamował kroki. Zbliżył się do kupki ludzi, ledwo widzialnych pojedyńczo w lichem świetle latarni. Szło o jakąś dziewczynę, którą jeden z przewoźników trzymał za ramię i ciągnął gwałtownie na dół ku łodzi. Drugi krzyczał:

— Puść ją, Pietro! Daj jej spokój! Od kiedyż to ładujesz żywy towar? Patrz, płacze biedactwo! Nie chce wchodzić z powrotem do twej kajuty i musi mieć po temu dostateczne powody.

— Niech ją djabeł porwie! — krzyczał tamten, ciągnąc dziewczynę — Może i ma powody, ale sil-

niejsze powody musiał mieć i opłacił je dobrze ten, który mi ją powierzył, każąc zawieźć do Ostji i oddać w pewne ręce, tak, by nie uciekła. A to ladacznica! Musiała coś dobrze przeskrobać. Gdyby była niewiniątkiem, za jakie się teraz podaje, mogła to była powiedzieć człowiekowi, który mi ją przyprowadził. I cóż powiecie? Wtedy milczała i tylko płakała, wzdychała i tak go całowała, że drżał ze strachu i bólu i wreszcie przyrzekł, że do niej przyjedzie do Ostji. No, a cóż się teraz stało? Ta fałszywa szelma porwała się, gdy tylko znikł, i chciała uciekać, gdy zaś chcę dopełnić swego obowiązku, wrzeszczy tak, że się zlatuje cała ulica. Czy kto w to uwierzy? Nie, nie, dawajcie mi tę djablicę, a biada temu, ktoby mi chciał stanąć wbrew!

— Nie mogę wracać, nie chcę wracać na łódź! — zawołała dziewczyna — Ten człowiek kłamie, wystąpił z najgorszemi żądaniami i złamał umowę! Ratujcie mnie!

— Któż uwierzy tej nikczemnej kłamczyni, tej ladacznicy? Ona chce się wyrwać poto, by mnie oczernić. Precz z rękami! Dawać ją tu!

— Stać! — krzyknął donośnie ktoś. Ludzie obrócili się i ujrzeli ze zdumieniem Teodora, przepychającego się przez ciżbę. Niebawem dotknął ramienia dziewczyny — Ona jest moja i ja ją zabieram!

Nastała cisza. Katarzyna obejrzała się i poznała młodzieńca. Stała ze spuszczonemi oczyma, miotana gwałtowną radością i zwątpieniem.

— Czy masz mnie pan za dziecko, — spytał przewoźnik — czy sądzisz, że dam się otumanić pierwszemu lepszemu błaznowi? Jeśli panu trzeba dziewczyny, dość ich na korsie do wzięcia za pieniądze i gładkie słówka. Cóż pan się tu mieszasz w cudze sprawy? Jakiem prawem?

— Mam prawo, — zawołał Teodor głośno i stanowczo — albowiem to jest moja żona!

— Jego żona? — poszedł szmer po tłumie, a pobliscy cofnęli się o krok.

— Pańska żona? — spytał przewoźnik — Musisz pan to udowodnić! Powiedz pan więc jak jej na imię, bo to wiedzieć musi chyba mąż, mimo że nie wie, co robi w nocy na ulicy.

— Katarzyno, — rzekł Teodor — czy mnie poznajesz?

— Tak! — odparła dziewczyna.

— To prawda! — wybąknął przewoźnik. — Tamten ją tak zwał.

— Pójdziesz ze mną, Katarzyno! — rozkazał Teodor. — Musisz mi powiedzieć, jak się nazywa człowiek, dla któregoś mnie opuściła, tak że pełen trwogi i wściekłości biegałem po ulicach, szukając cię! Do Ostji kazał cię zawieźć i przyrzekł przybyć? Tak? Dość tego! Chodź!

Wypowiedział te słowa tak stanowczo, a twarz jego miała taki wyraz bólu i powagi, że nie było wątpliwości. Wszyscy zaczęli szeptać: — To jej mąż! Uciekła z drugim! Niech Bóg broni kochanka, gdy mu wpadnie w ręce, jak ona!

Katarzyna nie przeczyła słowem ni gestem. Posłusznie wyszła na ostatni stopień schodów, prowadzona przez Teodora, a zdumienie, jakie ją ogarnęło na widok, że ratuje ją ten, przed którym właśnie uciekała, narażając się na niebezpieczeństwo, wybiło się na jej twarzy wyrazem, przypominającym ponure przygnębienie schwytanej na uczynku winowajczyni. Sam jeno przewoźnik nie był przekonany. Obejrzał otrzymany od Teodora pieniądz i mruknął:

— To nieprawda! Czemuż mi zapłacił? Ale mniejsza z tem, dostałem dwa razy, cóż mnie zresztą to wszystko obchodzi?

*

Teodor przebył kilka ulic, nie puszczając ręki Katarzyny. Nie patrzyli na siebie i nie rzekli słowa. Nagle usunął dłoń swoją i spytał:

— Dokądże cię mam zaprowadzić, Katarzyno?

— Nie wiem! — odparła.

— Może na via Margutta?

— Nie! — krzyknęła, cofając się — Tam odnalazłaby mnie stara, albo on.

— Któż to?

— Nie wolno mi powiedzieć, zwłaszcza panu! Zabronił mi.

— To Bianchi! — rzekł głucho Teodor, a ona nie miała śmiałości zaprzeczać.

Podczas dalszej drogi utwierdzał się coraz bardziej w domysłach, które objaśniały, dlaczego Bianchi milczał tak dziwnie uporczywie podczas opowiadania o wyścigach. Pożałował teraz bardzo, że wraz z przyjacielem przemilczali zawsze wobec siebie sprawy najbliższe i najdroższe sobie. Ale nie wiedział jeszcze wszystkiego.

Znaleźli się pod mieszkaniem Teodora, który otworzył drzwi. Katarzyna cofnęła się.

— Nie wejdę! — powiedziała — Wolę spać raczej na stopniach S-ta Maria Maggiore niż z panem.

— Dziecko! — odparł ze smutkiem — Nie jestem tym, za jakiego wziąć mnie mogłaś przed kilku jeszcze godzinami. U mnie będziesz bezpieczna jak u brata!

Patrzyła nań, starając się dostrzec w ciemności, nagle zstąpiło na nią coś jak objawienie.

— Wiem! — powiedziała — On to wszystko z panem umówił. Przyszedł i wyjaśnił mi, że mnie panu odstąpił, czy podarował. Przykazał mi, bym pana kochała jak jego. Odrzekłam, że tego uczynić nie mogę, i zaprzysięgłam to sobie w duszy, a on

spostrzegł, że nie ustąpię. Tedy postanowił podejść mnie chytrością, sprowadził mnie do łodzi, sam zaś pobiegł do pana z zawiadomieniem, byś po mnie przyszedł. Ale nie będę twoją, choćbyś pan tysiąc razy był jego przyjacielem, a on tysiąc razy mnie zabić miał za niespełnienie jego woli. Żegnam pana. Znajdę drogę w góry i wrócę, pan zaś powiedz mu... co chcesz... dobranoc!

Zwróciła się w bok i odeszła, a Teodor tak był zdumiony, że po chwili dopiero rzucił się za nią. Chwycił jej ramię.

— Katarzyno! — zawołał — Przysięgam ci, że będę się z tobą obchodził jak z siostrą, a ponadto oddam cię z powrotem Carlowi. Proszę cię, wejdź do mego mieszkania!

— Czyż możliwe? Oddasz mnie pan? — spytała niepewna i drżąca—O, nie,—dodała po chwili— Niepodobna! Nikt go przekonać i zmienić postanowień jego nie zdoła!

— Zawierz mi! — powiedział, jej zaś nadzieja uśmiechnęła się tak ponętnie, że, zaniechawszy oporu, weszła wraz z nim do mieszkania. Znalazłszy się w pokoju, nim jeszcze zaświecił lampę, usiadła na krześle tuż przy drzwiach z tobołkiem rzeczy swych na kolanach. Gdy światło zabłysło, nie zwrócił się do niej, nie zaczął rozmowy, ale grzebał w papierach bez celu i zgoła mechanicznie. Czyn Bianchiego rozpłomienił mu duszę. Nawet myśl o stracie

Marji nie doprowadzała go już do rozpaczy wobec świadomości posiadania takiego przyjaciela.

Siedział, rozmyślając o przyszłości i sposobach pogodzenia się z losem, aż nagle posłyszał od strony drzwi miarowy oddech. Spojrzał i zobaczył, że Katarzyna zasnęła wyczerpana płaczem. Zbliżył się cicho. Siedziała z rękami opuszczonemi, a pierś jej falowała gwałtownie pod wrażeniem niespokojnych marzeń sennych. Wziął ją ostrożnie w silne ramiona, podniósł i złożył lekko na stojącej pod ścianą kanapie. Potem zbliżył twarz do jej oblicza, odczuł zdrowy oddech ust, zapach włosów, żar płynący od tego młodego, rozkwitłego ciała. Ale pożądanie nie zbudziło się w nim. Przykrył leżącą ciepłym płaszczem i wyszedł do sąsiedniego pokoju, gdzie sypiał. Dopiero nad samym rankiem zasnął na chwilę, ale myśl o Katarzynie nie zaniepokoiła marzeń jego.

*

Dzień był jasny, gdy wszedł do pracowni Bianchiego. Przeraził się, spojrzawszy w blade, otępiałe oblicze przyjaciela, świadczące o bólu i bezsennej nocy. Włosy wydały się bardziej siwe, a oczy ciemniejsze. Ale zaciśnięte usta jego miały wyraz łagodny, gdy patrzył na Teodora.

— Przyjacielu! — powiedział Teodor — Spędziłeś złą noc, a jam winien temu!

— Pracowałem w nocy, — odrzekł spoko jnie — ale czemuż winisz się pan? Wszakże nieraz fanaberje snu mnie pozbawiają. Mówmy o weselszych rzeczach. Proszę, opowiadaj pan, czytaj, a przedewszystkiem nie odchodź, o ile to możliwe! Dziś jest mi obecność pańska prawdziwem dobrodziejstwem.

— Drogi mój! — zawołał Teodor — Daremnie byłoby skrywać dłużej to, co się ujawniło! Wiem wszystko...

— Wiesz pan? — zawołał Bianchi porywczo — Tedy milcz pan, lub mów z kim chcesz, ja tylko słowa słyszeć nie chcę. Wszystko to już daleko poza mną! Sądź pan o tem, co ci się podoba, niech tylko stosunki nasze pozostaną te same. Przyrzecz mi pan!

Teodorem miotał ból. Przyszło mu na myśl, że, znalazłszy się w ciągu dni kilku daleko stąd, uważać będzie przeżycia swe również za bardzo odległe. Nie mógł atoli wyznać swych spraw osobistych, nie dopełniwszy poprzód obowiązku.

— Muszę mimo wszystko mówić! — rzekł po chwili — Dużo cierpień uniknąłbyś pan, gdybym nie był wyrzekł wczoraj owych lekkomyślnych słów, które naprawić dziś należy. Nie odrzuciłbyś pan wówczas tej perły, po którą ja, szaleniec, na moment wyciągnąłem rękę.

Bianchi milczał, żar go ogarniał, szukał słów.

— Czy uwierzyłbyś mi, Carlo, — zawołał Teodor — gdybym ci powiedział, że oto przynoszę ci

ją z powrotem, bez żalu, ni zazdrości, bo serce moje kryje w sobie skarb inny i nie potrzeba żadnej ofiary dla utrzymania przyjaźni naszej?...

Spostrzegł na twarzy przyjaciela walkę sprzecznych, potężnych uczuć. Rzeźbiarz stał oparty o stół z głową opuszczoną na gwałtownie falujące piersi. Wargi mu drżały, nie wydając dźwięków. Teodor podszedł ku drzwiom i zawołał Katarzyny, która czekała w ulicy, zawieszona pomiędzy życiem i śmiercią. Gdy stanęła w progu, drżąc i chwiejąc się na nogach, zobaczyła, że Carlo wyciąga do niej ramiona, a kolana uginają się pod nim. Wydała okrzyk i padła mu na piersi.

Drzwi na ulicę zostały zamknięte, a Teodor stał obrócony do nich tyłem, zapatrzony w płaskorzeźbę grobową Edwarda, stojącą na sztaludze. Posłyszawszy szmer u progu, skierował tam spojrzenie. W tej chwili Katarzyna przerażona oderwała się od Carla. Ujrzeli przed sobą trzy postaci mocno zakłopotanych gości, parę starszych osób i młodą, piękną damę. Teodor poznał przybyłych.

— Widzę, że jawimy się nie w porę! — powiedział mężczyzna — Proszę przebaczyć, przyjdziemy kiedyindziej, signore Bianchi...

— Proszę państwa, raczcie wejść, nie przeszkadzacie nam wcale. Oto mój przyjaciel Teodor i żona, signora Bianchi!

Ostatnie wyrazy powiedział z naciskiem, a Katarzyna objęła go spojrzeniem zachwytu. Teodor odstąpił od rzeźby, a ojciec przywitał go z wielką serdecznością i zwrócił się do utworu rzeźbiarza. Z paniami nie zamienił Teodor pozdrowienia. Starsza dama zbliżyła się do sztalug i oniemiała. Oczy Marji przelotnie musnęły jeno wizerunek brata, potem zaś zawisły na Katarzynie. Poznała ją dobrze. Rodzice stali przed rzeźbą, oparci o siebie i zadumani. Marja zaś przystąpiła do Teodora i ujęła dłoń jego. Oczy miała pełne łez. Zaczęli rozmawiać, wywnętrzać się zcicha wzajem, obwiniali się na wyścigi, uprzedzając jedno drugie i starając przewyższyć w oznakach miłości i wylania. Nikt im nie przeszkadzał, bo Bianchi, również zapomniawszy o wszystkiem, zatonął w oczach żony swojej.

Wkońcu zbliżył się doń ojciec Marji, uścisnął mocno dłoń jego, a oczy miał pełne łez. Matka płakała zcicha z chustką przy oczach.

— Wiesz pan dość! — rzekł ojciec — Słów tu żadnych nie trzeba! Zapytuję tylko, kiedy myśli pan zacząć wykonanie projektu? Zmieniłem plan, na grobie syna położę jeno zwykły kamień z napisem, ta zaś rzeźba znajdzie pomieszczenie w pokoju, gdzie mieszkał i zmarł. Trudno o piękniejsze upamiętnienie jego życia. Pragnę, aby jak najprędzej nastał dzień, kiedy wejdziemy w posiadanie

rzeźby. Racz pan sam postarać się o marmur, nie odkładając sprawy do jutra nawet.

Matka przyszła tymczasem do siebie. Zwróciła się do Teodora, uścisnęła mu dłoń, przyciągnęła do siebie i pocałowała w usta, co uczyniła dotąd raz jeden tylko, w dniu zaręczyn z Marją. Potem opuścili wszyscy pracownię. Powietrze było czyste, brzegi Tybru zalewała poświata słoneczna.

BARBAROSSA

Jeden jeno dzień spędzić zamierzałem w górach, a z dnia tego zrobiły się dwa tygodnie, które mi szybciej minęły, w wysoko położonej, zapadłej miejscowości (nazwy nie wymienię), na granicy gór Albańskich i Sabińskich, niźli często mija czas w ruchliwem środowisku wielkiego miasta. Co czyniłem tam przez cały boży dzień, nie mógłbym zaprawdę powiedzieć. W Rzymie opadła mnie żądza samotności i tutaj mogłem ją wedle upodobania nasycić. Nastała właśnie wiosna, a liście kasztanów błyszczały soczysto i świeżo, po wąwozach śpiewały ptaki i szumiały potoki, że zaś niedawno rozbito i cofnięto w Abruzy wielką bandę rozbójników, niepokojącą okolicę, mógł samotny wędrowiec spinać się bez obawy po najniedostępniejszych perciach i ścieżkach skalnych, oraz oddawać się swobodnie rozmyślaniom swoim.

Od początku unikałem zetknięcia z malarzami Niemcami, którzy w znacznej liczbie mieszkali w dwu nędznych gospodach miasteczka, a potrzebę usłyszenia własnego głosu, jaka skłania samego na-

wet pustelnika do gadania ze zwierzętami domowemi, zaspakajałem w pełni u siebie. Mieszkałem mianowicie u miejscowego aptekarza, który z wielką pobłażliwością traktował moją niedostateczną znajomość języka włoskiego. Wynagradzał sobie coprawda swą cierpliwość w ten sposób, że kaleczył niemiłosiernie mój język ojczysty, gdy zaś minęło pierwsze wrażenie wzajemnej obcości, wysypał mi na głowę jak z rogu obfitości mnóstwo wierszy własnego wyrobu i wyznał, że mimo pięćdziesięciu pięciu lat życia wyzbyć się nie może tej choroby młodzieńczej.

— Jakże pan chcesz, — mówił — bym nie pisał wierszy, gdy tak stanę wieczorem przy oknie, księżyc wyjdzie nad szczyty, a świetliki uniosą się chmurą ponad drzewa ogrodu? Musiałbym być chyba potworem!

Nie był zaiste potworem zacny pan Angelo, o łysinie, otoczonej wąskim pasem czarnych włosów, podobnej do ogromnej tonsury, którego z tego powodu przyjaciele zwali *Fra Angelico*. Dwa razy jeno wydalił się dotąd z miejsca rodzinnego i to tylko do Rzymu. Ale Rzym, to świat, zwykł był mawiać, i kto go widział, zna wszystko. Rozprawiał też o wszystkiem, czerpiąc materjał z kilku pochwyconych przypadkiem książek, oraz nieprzebranych źródeł swej fantazji poetyckiej. W aptece, jak nakazuje czysto włoski obyczaj, gromadzili się

każdego wieczora dygnitarze miejscowi, a więc proboszcz, nauczyciel, chirurg, poborca podatków, oraz kilku nie posiadających urzędów *benestanti*, z których oblicza wyraźnie wyczytać było można, że ostatnie plony winnic i sadów oliwnych były nad wyraz obfite. Żaden z nich nie sprzeciwiał się aptekarzowi, zwłaszcza, jeśli zaczynając wykład, przetarł rękawem surduta swe wielkie, srebrne okulary i powiedział: — *Ecco signori mei*, sprawa ma się w ten sposób! — Pozatem był to człowiek najzacniejszy w świecie i najlepszy gospodarz, który zaspakajał każde życzenie gościa, o ile nie przekraczało twardego łóżka i dwu chwiejących się, trzcinowych foteli. Mnie lubił bardzo, mimo, a może dlatego właśnie, że nie wiedział, jako ma w swym domu brata swego po Apollu. Miałem tyle sprytu, by odgrywać jeno rolę wdzięcznego słuchacza, atoli po dwudziestym czwartym sonecie położyłem mu lekko rękę na ramieniu i powiedziałem:

— Bravo sor Angelo! Boję się tylko, bym się nie przesycił. Poezja pańska jest mocna i uderza do głowy. Jutro napełni mi pan nowe fiasco ze swej Hyppokreny.

Za każdym razem zamykał dobrodusznie zeszyt i mawiał:

— Przez cały rok mógłbym panu czytać po całych nocach, drogi panie, a byłby to trud daremny, gdybym chciał skończyć. Tu mieszczą się skarby

Peru! — Uderzał się po lśniącem czole, wzdychał, podawał mi tabakierkę i życzył dobrej nocy.

Większa część jego wierszy były to poezje miłosne i gdy je recytował z rozbłysłemi oczyma, zapominało się łatwo o jego pięćdziesięciu pięciu latach. Żył jednak w stanie kawalerskim, mając w domu jeno starą służącą i młodego ucznia, który mu pomagał w fabrykacji różnych maści i mikstur. Musiało to dziwić mocno każdego, kto znał jego skłonność do rzeczy pięknych, oraz znaczną zamożność. Jak mi mówiono, nie był dotąd żonaty, a i teraz, w jesieni życia nie zamierzał wcale się poprawić. Pewnego dnia siedzieliśmy przy flaszce dobrego wina krajowego i puszczaliśmy kłęby dymu, a ja spytałem go żartem o przyczynę, dlaczego tak serjo bierze swój zakonny przydomek i nie da się wziąć za serce żadnej z pięknych dziewcząt, których codziennie tyle bywa w jego sklepie. Spojrzał na mnie z właściwą sobie miną i rzekł:

— Piękne dziewczęta? Hm, to wcale ponętna rzecz. Stan małżeński może też być lepszy od swej reputacji. Ale dla młodej jestem za stary, a dla starej za młody, to znaczy zbyt we mnie jest poety. Im starszy ptak, tem mniej ma ochoty, by go skubano. Przytem musisz wiedzieć, drogi przyjacielu, kochałem się swego czasu na umór w jednej, która mnie nie chciała, a była taka, jak żadna na świecie. Teraz jestem tedy za dumny, czyli raczej zbyt wymagający,

by zadowolić się dziewczyną, których dwanaście idzie na tuzin. Wolę już sobie marzyć w wierszach o szczęściu i fantazjować na temat piękności doskonałej, złożonej z tysiąca wadliwych, podobnie jak to czynił malarz grecki... Apelles zwał się... który do swej Wenus brał od różnych kobiet to oczy, to nos, to co innego i składał razem co najlepsze kawałki. Owa doskonałość moja, łącząca w sobie wszystko i tak piękna, żebyś pan nie uwierzył, gdybym ją opisał, drogo jednak musiała okupić swe wdzięki. Niewielu zna tę historję równie dobrze jak ja, chociaż każdy ze starszych ludzi w mieście potwierdzi słowa moje i, gdy pan spytasz o Erminję, przyzna, że był to cud świata. Od lat dwudziestu nie zdarzyło się tu nic, coby uczyniło takie wrażenie, jak jej los i towarzyszące mu okoliczności. Opowiem to panu tem chętniej, że znasz już sonety, jakie do niej pisałem. Pamięta pan te siedmdziesiąt pięć utworów, które chowam w błękitnym papierze. Mówiłeś sam, że godne są Petrarki, otóż pochodzą one z czasu, kiedy rana serca świeżą była jeszcze. Po wysłuchaniu historji, odczytasz je pan raz jeszcze i wówczas zrozumiesz dopiero należycie.

Obciął knot świecy i westchnął, a mnie się to wydało raczej komicznem niż tragicznem, potem rozparł się w fotelu, za ladą sklepową stojącym, przymknął oczy i zagrzebał ręce w głębokie kieszenie wyszarzanego szarafana. Było około dziewiątej wieczór,

na placu przed domem panowała cisza, przerywana jeno szumem wody w kamiennej cysternie, oraz chrapaniem ucznia w komorze. Po długiej pauzie zaczął znanem dobrze exordium:

— Ecco amico mio, sprawa ma się tak: W początku lat trzydziestych, ... pan jesteś za młody, by tak daleko wstecz sięgnąć myślą... żyła w tej miejscowości owa Erminja wraz z matką i siostrą, które również zmarły dawno i legły w grobie. Wyszedłszy z bram i idąc w górę ulicą na lewo w kierunku starych ruin na szczycie naszej góry, napotkasz pan mały domek a raczej chałupkę, dziś napoły rozwaloną i bez dachu, ale i wówczas nie była ona lepiej zabezpieczoną od deszczu i słońca. Dawało mieszkańcom wówczas jeno cień wielkie drzewo figowe, dziś uschłe, i w tej to kupie kamieni, czy jaskini, dzikim zwierzętom przystojnej, mieszkała Erminja. Ojciec zmarł dawno, matka nie była gospodarną, to też rodzina podupadła i kobiety zadowolone były, że im wolno umieścić się w rozwalisku. Byli tacy, co przez pamięć męża pomagali wdowie, ale pan wiesz, co przysłowie powiada: secco retto non tien miglio, pover uomo non va a consiglio *). Dziewczęta pracowały dzielnie, przędły i robiły pasmanterje, a sąsiedzi czynili co mogli, ale matka przepijała wszystko i o ile nie szalała, jak furja, leżała przy ognisku i spała, nie

*) Nie uchowasz zboża w dziurawym worze, z człekiem biednym nie dasz sobie rady.

troszcząc się, czy córki będą miały co włożyć do ust, czy wdziać na siebie. Pewny jestem, że gdyby nie drzewo figowe, pełniące jak należy swą powinność, Erminja i siostra jej Magdalena byłyby pomarły z głodu, bo duma nie pozwalała im żebrać. Tylko sukni nie dostarczało im drzewo, gdyż nie żyjemy w raju. Tem więcej dziwiono się, że biedaczki zawsze szły przyzwoicie ubrane do kościoła, choć nie krążyły o nich żadne złe pogłoski. Coprawda młodsza, Magdalena, była zabezpieczona od pokusy, albowiem szpetność jej odstraszała każdego. Jak djabeł brzydka, mała, dzika, pokraczna, o długich rękach, a krótkich nogach, przypominała w ruchach i skokach ropuchę, tak, że dzieci uciekały, spotkawszy ją przypadkiem na ulicy. Wiedziała dobrze o tem, przesiadywała w domu i nie czyniła nikomu nic złego, chociaż często czują do tego pociąg istoty podupadłe z zazdrości i złośliwości, mszcząc się w ten sposób za niedolę swą. Magdalena uważała za rzecz zgoła słuszną, że matka jej, wydawszy na świat dziecko, tak skończonej piękności, nie mogła jej dać już niczego, jak jeno samą ohydę. Miast czuć nienawiść do starszej siostry i wlać jej trucizny do szklanki, ubóstwiała ją, a żaden chłopak nie mógł być bardziej zakochany w pięknej Erminji, niż Magdalena. Coprawda, kto ją ujrzał, tego zaraz ogarniała miłość. Mamy w Rzymie dość posągów, Muzy, Wenery, Minerwy i inne niepoślednie dzieła sztuki, a jednak są

to, mówiąc między nami, partactwa wobec tego, co tu natura sama dała. Spójrz, przyjacielu! — krzyknął, zrywając się i stając na palcach — Taka była śmigła, o całą głowę wyższa ode mnie, przytem prześlicznie zbudowana, a mała główka wznosiła się nad pełnym biustem uroczo. Twarz jej jakby wykuta dłutem mistrza, oczy wielkie i cudnie zakreślone, zuchwałe i łagodne zarazem, usta niby poziomki czy młodziuchne figi, zaś nad bladem czołem wiły się kędzierzawe, stalowo czarne włosy, splecione w gruby węzeł na karku, jedynym, zaprawdę, godnym dźwigać ciężar taki. Trudno wysłowić, w jaki sposób chodziła, poruszała ramionami, unosiła kosz na głowę, jak toczone cudnie miała palce, jakie stopy, mimo grubych trzewików! *Amico mio*, zaręczam panu, że uczyniłaby mnie poetą, gdybym nim nie był już poprzód. Innych, nie mających krwi poetyckiej w żyłach, doprowadzała przynajmniej do szału, a to jest tyle, co połowa drogi do świątyni Apolla. Nie było też jednego młodzika w mieście, któryby się nie był zgodził na obcięcie ręki lewej, byleby na prawej mieć jej pierścionek. Ale ona odrzucała wszystkich, mimo, że żyła w nędzy, a najskromniejsza z małżeńskich ofert, jakie jej składano, wyrwałaby ją samą, matkę i siostrę z biedy. Nie wspomnę o sobie. Mimo, że zakochany do szaleństwa miałem tyle rozsądku, by zmiarkować, że nie jestem jej godny i, przebolawszy odmowę, zaofiarowałem jej pewnego dnia przyjaźń.

Podała mi dłoń na zgodę i uśmiechnęła się tak, żem oszalał ponownie i to dużo gorzej jeszcze.

Był jednak w mieście młodzieniec, o którym wszyscy sądziliśmy, że nas niezawodnie pokona i nawet nie wzięlibyśmy mu tego za złe. Syn właściciela gospody *Croce d'oro*, piękny, bogaty, dwudziestodwuletni chłopak, nosił przezwisko Barbarossy, lub krócej *il Rosso*, albowiem miał piękne, jasne włosy i również piękną rudą brodę. Domenico Serone zwał się i czynił takie zabiegi o Erminję, że o niczem innem przez czas jakiś nie mówiono. Odrzucony popadł we wściekłość, mimo, że mu nie dała uczuć wzgardy, jak zresztą nam wszystkim, jeno powiedziała, by się daremnie nie trudził, gdyż zań nie wyjdzie. Była dobrą dziewczyną i nie łudziła nikogo nadzieją daremną.

Sądziliśmy tedy, że uważa mężczyzn miejscowych za nieodpowiednich dla siebie, a marzy o jakimś milordzie, czy Rosjaninie, o dalekich podróżach i przygodach. Ach, nie! Myliliśmy się zupełnie! Sam znałem bogatego hrabiego, marchese, czy coś w tym rodzaju, który mi opowiadał, że jej rzucił do fartucha kilka tysięcy funtów tak od niechcenia, a potem błagał na kolanach, by z nim jechała do Anglji. Wysypała pieniądze na ziemię, niby suche liście, i oświadczyła, że mu da w twarz i to publicznie wobec ludzi, jeśli raz jeszcze się do niej odezwie.

Zachodziliśmy w głowę, co to znaczy, przypuszczając wkońcu, że uczyniła ślub dziewictwa, ja zaś

pewnego razu, zebrawszy w garść całą odwagę, powołując się na nasz przyjacielski stosunek, spytałem, czy może nienawidzi mężczyzn wogóle. Odparła najspokojniej w świecie, że nie, tylko nie natrafiła dotąd na kogoś, kogoby mogła pokochać.

Trwało to parę lat, ona była jak zawsze spokojna i obojętna, zaś twarz rudobrodego stawała się coraz bardziej ponura. Ogień wewnętrzny palił coraz to mocniej biednego chłopca, tak, że wyglądał jak widmo i słaniał się na nogach. Pewnego dnia przybył do miasta pewien szwedzki kapitan, który wystąpił z armji, ponieważ został niesłusznie pominięty w awansie. Mając znaczny majątek, odbywał dalekie podróże lądem i morzem, zabił tyle tygrysów i słoni, co krokodyli i wężów morskich, i przywiózł z pół tuzina najpiękniejszych w świecie strzelb i karabinów, oraz psa rasy nowofunlandzkiej, który mu kilka razy uratował życie. O ile pamiętam, zwał się Sure, czy jakoś podobnie, ja mówiłem mu *sor Gustavo*, a miejscowi ludzie nazywali go poprostu kapitanem. Zakwaterował się do mnie, do tego samego pokoju, który pan zajmujesz właśnie i niebawem zaprzyjaźniliśmy się z sobą jak chleb z serem. Był małomówny i nie chciał słuchać mych wierszy, bo lubił jednego tylko poetę, to jest lorda Byrona, którego przygody wziął sobie za wzór życia. Mógł się na to ważyć, albowiem odważny był jak sam djabeł, pieniędzy miał więcej niż trzeba, a kobiety latały za

nim, bo postawą swą i dobrotliwą miną tak je czarował, że każda byłaby chętnie została Omfalą takiego Herkulesa. Ten i ów wspominał o rozlicznych jego stosuneczkach w Rzymie, on sam jednak nie mówił nigdy o swych przygodach miłosnych i tu, u nas będąc, nie zwracał zgoła uwagi na płeć piękną, jakby sami tylko mężczyźni żyli na świecie. Ścisłe z wszystkimi utrzymywał stosunki i o ile nie włóczył się po wertepach i przepaściach ze strzelbą na ramieniu, przesiadywał po całych dniach w kawiarni. Grał w bilard jak sam djabeł, a ograwszy wszystkich, stawiał baryłkę najlepszego wina, którego każdy pociągnąć musiał. To też wszyscy wielbili go jednogłośnie i cieszono się ogólnie, że tego podróżnika coś jakby przykuło do naszej mieściny tak, że mówił nieraz, iż kupi tu sobie dom i winnicę i co rok przyjeżdżać będzie na kilka bodaj miesięcy.

Jeden tylko Domenico Serone upornie unikał kapitana i, widząc, że wchodzi do kawiarni, wstawał i wychodził na ulicę, jak złodziej, umykający przed stryczkiem. Nikt się temu wielce nie dziwił, bo Domenico grał pierwsze skrzypce przed przybyciem kapitana, to też musiało go gryźć, że został prześcigniony. Nie postało mi w głowie, by Erminja miała być powodem. Byłem świadkiem pierwszego spotkania Gustava z piękną dziewczyną: — Spójrzno, *amico mio*, — zawołałem — czyż spotkałeś coś podobnego w Indjach, Turcji, czy Golkon-

dzie? Mów prawdę! — On zwrócił napoły twarz i, nie drgnąwszy, mruknął: — Hm, wcale sobie ładna! — przytem zagryzł tak mocno wargi, że zatrzeszczały w zębach jasne wąsy jego. — *Poffaredio*, — powiedziałem sobie — pierwszy to człek, co może patrzeć w słońce bez zmrużenia powiek. Chciałem wmieszać w rozmowę Erminję tak, by się jej mógł lepiej przyjrzeć i poparzył sobie skrzydła za karę tego wzgardliwego powiedzenia, ale dziewczyna, spokojna zawsze i pewna siebie, zaczerwieniła się i przyspieszyła kroku. — Holla! — rzekłem do siebie — Nakoniec wybiła jej godzina! — Ale nie pisnąłem słowa i niedługo zapomniałem o wszystkiem.

W jakiś tydzień potem stałem o zmierzchu we drzwiach apteki i czytałem list, dopiero co otrzymany. Pewien przyjaciel rzymski donosił mi, że odczytał mój sonet w Związku poetów „Arkadji" i wiersz znalazł takie uznanie, iż zostałem przyjęty na członka honorowego. Takie mną owładnęło zdumienie i radość, że przez chwilę nie wiedziałem, co się wokoło dzieje. Nagle usłyszałem głos rudobrodego, a brzmiał on tak donośnie i groźnie, że mnie wyrwał z zadumy. Spojrzałem i zobaczyłem stojącego u studni o dziesięć kroków od mego domu młodzieńca, bladego jak śmierć i zmienionego do niepoznania. Przy nim stała Erminja. Oparła o cembrowinę studni dzban, który chciała właśnie napełnić i rękami ujęła się pod boki. Nie było jakoś nikogo w pobliżu. Zdziwiłem się bar-

dzo, widząc ich razem, bo unikali się wzajem od szeregu miesięcy ostatnich. Ale rudobrody nie zostawił mnie długo w niepewności.

— Erminjo! — powiedział takim głosem, jakim odczytują na placu kaźni wyrok śmierci, by cały lud słyszał — Erminjo, dobrze, żem cię spotkał. Wprawdzie nie mamy z sobą nic wspólnego, ale chcę cię ostrzec, albowiem kochałem cię mimo, żeś miłość mą zdeptała. Strzeż się, Erminjo, i bacz na to, co czynisz! Znam człowieka, który poprzysiągł ci śmierć, jeśli cudzoziemcowi użyczysz tego, czego odmówiłaś rodakom. Jeśliśmy ci zbyt marni na to, by jeden z nas uczynił cię uczciwą kobietą, to jednak stać nas na to, by pozbawić życia wszetecznicę. Powiedz też swemu signore, by się strzegł niebezpieczeństwa. Kule nasze są lane z równie dobrego ołowiu, jak szwedzki i trafiają do celu. Na tem koniec, Erminjo! Niech cię Bóg strzeże!

Nasadził kapelusz na ucho, rzucił jej jedno jeszcze spojrzenie i odszedł. Dziewczyna nie wyrzekła słowa, a mnie również tak oszołomiły te słowa, żem się ocknął dopiero, gdy Erminja, napełniwszy dzban i wziąwszy go na głowę, zabierała się do powrotu.

— Erminjo! — powiedziałem, zbliżając się — O cóż mu szło? Cóż to mówił o kapitanie?

— Głupiec! — odparła, nie patrząc na mnie, ale zalała się rumieńcem.

— Ufam, że tak jest naprawdę, Erminjo! — powiedziałem. — Inaczej bardzoby mi cię było żal, dziewczyno!

— Nie potrzebuję litości niczyjej! — odburknęła i poszła, nie rzekłszy słowa pożegnania, a z zuchwałego zachowania poznałem, że się czuje winną. Miałem dla niej dużo życzliwości, to też udałem się jej śladem i, zrównawszy się z nią, przemówiłem:

— Wiesz, Erminjo, że jestem twym przyjacielem, to też jeśli nie zważasz na słowa Domenica, weź pod rozwagę moje. Popadniesz w nieszczęście, zadając się z kapitanem. Jest on galantuomo, to prawda, ale nie weźmie cię za żonę, nie będzie tego mógł uczynić, Erminjo, albowiem jest protestantem, a także napewno nie zechce tego uczynić. Wierz mi, że nawet gdyby rudobrody nie wykonał swej pogróżki, nic dobrego stąd wyniknąć nie może! — Mówiłem jeszcze długo w tym sensie, powodowany przyjaźnią, ale ona kroczyła prosto przed siebie bez słowa, pozwalając mi mówić i nie podnosząc oczu od ziemi. Opuściłem ją tedy z bardzo słabą nadzieją, by słowa moje wywarły jakieś wrażenie na jej rozsądek. Pod domem zastałem wielkiego psa, co świadczyło, że pan jego wrócił z polowania. Poszedłem zaraz doń na górę i zastałem go ze strzelbą w ręku. Rozłożył ją właśnie celem wyczyszczenia, a na stole leżało kilka ubitych ptaków. — Źle jest sor Gustavo! — powiedziałem — Tajemnice pańskie roztrząsane są tu na rynku tak

głośno, że słyszeć je mogą wszystkie kumoszki! — Potem opowiedziałem mu o pogróżce rudobrodego, dodając, że nie zna tutejszych ludzi, jeśli sądzi, iż są to jeno żarty, a jeśli dokonał trudnej sztuki zdobycia tak opornego serca, to winien się mieć na baczności i chronić ją. Najlepiej byłoby zerwać i wycofać się jakoś z całej sprawy. Rozgadawszy się, stanąłem po stronie Domenica i oświadczyłem, że musiałbym ja również zerwać z nim stosunki, gdyby uczynił dziewczynę nieszczęśliwą. Jest wszakże dość innych, których niewielka szkoda, zauważyłem, nie wolno atoli ściągać do błota perły całej Sabiny. Rozgorączkowany zakończyłem pogróżką, że jeśli będzie dalej nastawał na cześć Erminji, to nie zniosę go dłużej w domu i będzie sobie musiał szukać innego pomieszczenia.

Na to wszystko nie odrzekł więcej niż poprzód Erminja.

— Jesteś pan nierozsądny, Fra Angelico!

Potem rozkręcał dalej z całym spokojem śruby zamka strzelby i czyścił broń, puszczając kłęby dymu przez jasne wąsy. Opuściłem go rozgniewany więcej jeszcze uporną oziębłością jego, niźli samą sprawą i ujrzałem dopiero nazajutrz w południe. Wszedł do apteki z listem w ręku, który, jak mówił, zmusza go do niezwłocznego odjazdu, że zaś poczta już odeszła, prosi, bym mu pożyczył mojej bryczki. Uradowało mnie to bardzo i nie dałem poznać po

sobie, że niebardzo wierzę w list, przeciwnie uczułem się dumnym z mej elokwencji, która go skłoniła do przerwania nieszczęsnej awantury miłosnej w sam czas jeszcze. Nie mogąc go sam zawieźć do Rzymu, kazałem wsiąść uczniowi i rozstaliśmy się w najlepszej przyjaźni.

Na samem wsiadaniu powiedział jeszcze, że jedzie do Grecji zobaczyć grób lorda Byrona i że stamtąd do mnie napisze. Szelma jedna! Nie myślał wcale o Grecji, jak ja nie myślę teraz o jeździe na księżyc. Wyobraź sobie, drogi panie, czar nim owładnął i zamknął w sieci złego o tysiącach oczek, tak że najhaniebniejsze kłamstwa śmiał rzucić w oczy mnie, swemu najlepszemu przyjacielowi.

Położyłem się tego dnia spać z miłem uczuciem dopełnionego ratunku życia dwu istot ludzkich i ułożyłem nawet na ten temat kanzonę wcale dobrą, która atoli dowodzi, że poeci nie są prorokami. Pomyśl pan tylko, co się stało. Oto uczeń mój wrócił dnia następnego i, umieściwszy konia w stajni, przyszedł i spytał, czy signore Gustavo wspominał mi, że jechać ma jeszcze drugi pasażer. W odległości dwu godzin drogi od miasta, tam, gdzie stoi grupa dębów przy starym grobowcu, wystąpił ktoś z cienia, dał znak ręką, a potem, odwróciwszy twarz, wsiadł tak szybko, że on, Carlino, nie mógł w żaden sposób poznać, kto to taki. Chłopak dodał, że mimo męskiej odzieży, która przypominała znane części garderoby

sor Gustava, gotów przysiąc, iż tylko Erminja mogła być owym tajemniczym podróżnym.

Nie będę się rozwodził nad kreśleniem mych wrażeń, przykazałem jeno uczniowi, by milczał, ale cóż to mogło pomóc? Nazajutrz przyszła do apteki stara kobieta kupić coś za pół bajoka, potem zaś nadeszły inne, a wszystkie opowiadały zgodnie, że Erminja wyjechała do Rzymu z kapitanem i przysłała matce list, że nie wróci nigdy, atoli nie zapomni, że jest jej córką. Siostrze Magdalenie, którą już dawniej przypuściła do tajemnicy, zostawiła wszystkie swe rzeczy i suknie, oraz worek pieniędzy, pewnie dar kapitana, aby obu na niczem nie zbywało.

Pojmiesz łatwo, drogi przyjacielu, że wieść ta podziałała na mieszkańców miasteczka, jak napar walerjany na kota. Gdybyśmy żyli w czasach starych Greków i Trojan, Domenico zebrałby natychmiast z łatwością całe wojsko, celem ścigania zbiegłej Heleny. Krzyczano i gadano dużo, miotano się i pomstowano, ale nie stało się nic i niebawem krzykacze uciekli, wstydząc się jakby nawet wymówić imienia dziewczyny, która ich wszystkich odrzuciła po to, by uciec z kacerzem i barbarzyńcą. Dwaj tylko nie mogli jej zapomnieć, dwaj, którzy zachowywali się najciszej, pierwszym byłem ja, szukający odtąd pociechy w poezji, drugim zaś Domenico rudobrody, co do którego każdy znawca ludzi mógł być pewny, że nosi się z desperackiemi zamysłami.

Minęły niespełna cztery tygodnie od ucieczki Erminji, a wszystko się sprawdziło. Pamiętam ten dzień, jakby to było wczoraj. Pewnego czwartku w południe taki panował upał, że muchy na ścianach popadały w szaleństwo, a nikt nie miał odwagi wychodzić na świat. Zamknąłem szczelnie drzwi apteki, zapuściłem żaluzje i w tem oto samem krześle siedziałem rozparty, na poły śpiąc. Nie było słychać nic prócz leniwego szmeru wody w cysternie na rynku i szelestu ziół na stole, po których skakał mój oswojony kanarek. Nagle wydało mi się, że ktoś puka do drzwi, woła mnie po imieniu. Mocno niezadowolony, przetarłem oczy i zabierałem się właśnie do wstawania w przypuszczeniu, że ktoś nagle zachorował, gdy zapukano ponownie, mocniej, jakby w przestrachu wielkim. Położyłem rękę na klamce, a w tejże chwili rozległ się krzyk przeraźliwy — Jezusie, Marjo, zlitujcie się nade mną! — Otworzyłem co żywo i ujrzałem padającą tuż pod progiem kobietę. Z piersi jej tryskała strumieniem krew, którą się powalałem, dźwigając ją z ziemi. O trzy kroki stał Domenico z twarzą barwy popiołu, oczyma tak szeroko otwartemi, jakby go zabił czyn własny.

— Domenico! — zawołałem — Cóżeś ty uczynił. Niech przeklętą będzie ręka twa, która dopuściła się tej zbrodni!

— Amen! — powiedział — Poprzysiągłem jej śmierć. Teraz kolej na niego!

Rzekłszy to, obrócił się i, nie bacząc na przerażone twarze, jawiące się w oknach, przeszedł wolnym krokiem plac, zalany słońcem, i znikną w bramie jak widziadło.

Trzymałem ciężko ranną w ramionach, sam w pierwszej chwili obezwładniony bólem i przerażeniem. Przywołałem służącą, zbiegli się sąsiedzi, wnieśliśmy ją do domu i położyli na łóżku. Spostrzegłem atoli teraz, że niema ratunku, posłałem tedy ucznia co prędzej po proboszcza. Nie mając nadziei, by doczekała jego przybycia, pochyliłem się nad nieszczęsną, pytając, czy mi ma co powiedzieć. Zebrała ostatki sił i spytała, jak się ma matka. — Tak samo jak przed miesiącem! — odparłem. Westchnęła głucho i jęknęła: — A więc mnie oszukał! — Kto? — spytałem. Drżącą ręką sięgnęła do stanika i dobyła list, w którym wyczytałem wezwanie, by wracała, jeśli chce jeszcze matkę zastać przy życiu. Podpisany był proboszcz, ale nie on list pisał. Z trudem niezmiernym, przerywając co chwila, opowiedziała, że list ten wetknął jej potajemnie w rękę jeden z chłopców miejscowych, umyślnie do Rzymu wysłany. Nie mogła odgadnąć, w jaki sposób odszukał jej mieszkanie, gdyż żyła w ukryciu, nawet nie w jednym domu z kochankiem. Gdy przyszedł wieczorem, pokazała mu list, a on zabronił jej jechać, twierdząc, że jest to podstęp celem zwabienia w zasadzkę. Sama w to uwierzyła i przyrzekła nie wy-

jeżdżać. Znalazłszy się jednak rano samą, uczuła trwogę, wydało jej się, że to może być prawdą, a matka umrze, przeklinając córkę na łożu śmierci. Najęła wózek i przyrzekła podwójną zapłatę za jak najszybszą jazdę. U stóp góry wysiadła, by pieszo dostać się niepostrzeżenie do domu. W pierwszej zaraz chwili, pomiędzy domami, zauważyła, że ktoś ją śledzi, to też, biegnąc niemal, zwróciła się do mnie po ratunek. Nagle stanął za nią Domenico i zawołał: — Erminjo, wracasz nakoniec! — mówiąc to, nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy — Dobrze, czas już, byś nabrała rozumu! — Cóż cię obchodzi mój rozum? — odparła — Nie masz do mnie prawa, czym zła czy dobra! — Hm, — powiedział, przystępując bliżej — jest to w każdym razie hańbą dla miasta naszego, że niema mężczyzn godnych takiego klejnotu. Przekonałaś się już zapewne, że twój cudzoziemiec to pyszałek jak wszyscy i że mądrzej uczynisz, zostając wśród swoich! — Moja to rzecz, co o nim sądzę! — krzyknęła — Po cóż to śledzisz mnie i włóczysz się za mną? Wiesz chyba zdawna co myślę o tobie! — Chwycił ją mocno za ramię i rzekł ochrypłym głosem: — Ostrzegam cię poraz ostatni, Erminjo! Porzuć go, albo oboje odpokutujecie to ciężko! Nie mogę przeszkodzić temu, że go kochasz, ale, jak mi Bóg miły, przeszkodzę i to niezwłocznie temu, by cię hańbił i unieszczęśliwiał. Czy rozumiesz? — Przystanęła i, patrząc nań ostro,

powiedziała: — To tyś pisał ten list! — On zaś, nie odpowiadając, spytał: — Mów czy go porzucisz i czy tu zostaniesz? — Zaprzeczyła głową, a on powtórzył kilka razy pytanie. Nie odpowiadała, przyspieszając jeno kroku, coraz większą ogarnięta trwogą, że może się na opustoszałej ulicy dopuścić czynu strasznego. Nagle uczuła, że chwyta jej ramię, niby w żelazną obręcz i posłyszała słowa — Idź tedy do piekła wraz ze swoim lutrem! Uczuła cios śmiertelny i padła tuż pod moim progiem.

Wyraziła jeszcze pragnienie, by kochanek przebaczył jej, że przekroczyła jego zakaz, odpokutowała to ciężko. On chciał ją uczynić żoną swą i zabrać do ojczyzny, a oto legnie w grobie, nie będąc pewną, czy Madonna wstawi się za nią i czy, unikając mąk czyścowych, wejdzie do raju.

To były ostatnie słowa, po których głowa jej opadła wstecz i nieszczęsna wyzionęła ducha.

W tem miejscu mały człeczek wyciągnął się w fotelu, przymknął oczy i westchnął głęboko. Leżał tak chwilę, poczem porwał się i począł biegać po ciemnym sklepie, jakby nie mogąc się opanować. Wreszcie zatrzymał się i rzekł, kładąc mi rękę na ramieniu:

— I czemże jest życie, amico mio? Oto rzeczą marną, źdźbłem trawy, które dziś zielenieje na polu, a jutro przemienia się w suche siano, pożerane chciwie przez potworną bestję-śmierć. Basta! Nie

sposób wskrzesić umarłych. Póki żyła, była cudem boskim, a cudownie oddziaływać nie przestała i wówczas jeszcze, kiedy pięknego jej, cichego ciała nie grzała ni jedna kropla krwi, a dusza odczuwać nie mogła radości ni cierpienia. Zwłoki złożono w pokoju, ja przez cały czas nie odstępowałem jej ni na chwilę. Gdy mnie sen morzył, ujmowałem rąbek jej sukni i czułem się szczęśliwym z tego zbliżenia bodaj po śmierci, którego sam dostąpiłem jeno. Ale drugiego dnia o północy zjawił się drugi. Kapitan wszedł niespodzianie, stąpając na palcach, jakby się bał zbudzić Erminję. Nie zamieniliśmy słowa, ja jeno, widząc go stojącego u katafalku z przygasłem spojrzeniem, rozpłakałem się na głos. Usiadł na krześle i patrzył na nią, ja zaś wyszedłem. Nie mogłem znieść jego obecności, jakbym sam był mordercą.

Następnego dnia pogrzebaliśmy ją. W chwili kiedy proboszcz błogosławił trumnę, powstało zamieszanie i pomruk przebiegł po gęstym tłumie. Nie wiedziano, że kapitan znajduje się w mieście, a oto kroczył środkiem ludzi z takim wyrazem twarzy, że wzbudzał trwogę. Rzucił kilka garści ziemi na trumnę, potem ukląkł i trwał tu długo. Wszyscy rozeszli się już, a on jeszcze leżał na poły na świeżej mogile, jakby chciał rozkopać ziemię i lecz sam w grobie. Musiałem go zabrać przemocą do domu, gdzie zapadł w kilkudniową otępiałość, nie biorąc

nic w usta, tak że ledwo mogłem weń wmusić kilka kropel wina i parę łyżek zupy. Wkońcu czwartego dnia ocknął się, ale milczał dalej. Dopiero, wsiadając na mą bryczkę, poprosił, bym mu uczynił przysługę i kupił dlań dom z winnicą, na który poprzód zwrócił uwagę. Dodał, że wróci za tydzień poto, by na zawsze z nami pozostać.

Nie śmiałem stawiać zarzutów, mimo, że miałem poważne obawy. Domenico uciekł w góry, połączył się z rozbójnikami i nie przestał być groźny, przytem lubiłem kapitana i nie chciałem, by bliskość grobu ukochanej raniła ciągle jego serce. Zauważyłem jednak, że uparł się i nie ustąpi, choćby się sprzysięgło niebo i piekło. Zgodziłem się tedy tem więcej, że była to również zagrobowa przysługa dla Erminji, jeślim czynił coś, czego pragnął jej ukochany.

Wrócił istotnie po tygodniu i zamieszkał w domu, leżącym pośród obszernej winnicy o kwadrans drogi od miasta, opodal wąwozu, zarosłego kasztanami. Była to piękna siedziba, samotna, odpowiednia dla człowieka, który nie zna trwogi, posiada dobrą broń w szafie i wiernego psa dla ochrony i towarzystwa. Nie była to jedyna zresztą żywa istota, bo siostra Erminji, Magdalena, uparła się iść do niego gotować, prać i pilnować domu, gdy wyruszy na zwykłą myśliwską wędrówkę. Przystał ochotnie, chociaż wszyscy unikali Magdaleny, wiedząc, że zmarła przeniosła na siostrę miłość i wier-

ność, jakie sama dlań żywiła. Dziwna ta para osiadła w samotni, nie troszcząc się o cały świat.

Odwiedziłem kapitana w parę dni potem. Dom, dawniej własność jakiegoś rzymskiego szlachcica, był w niezłym jeszcze stanie, meble jeno pokrywał kurz i pajęczyna, ale Magdalena nie tykała ich, nawykła do stokroć gorszych rzeczy w domu matki pod cieniem figowca. W zdziczałym ogrodzie odkopała jeno kilka grzęd i zasiała jarzyny. Również wystarała się o nowe zamki do drzwi i silne rygle.

— Boi się ustawicznie napadu, śni o nim nawet! — powiedział kapitan.

— Sen nie zawsze łudzi! — zauważyłem, ale on, nic sobie z tego nie robiąc, zaprowadził mnie po schodach do obszernego, znanego mi zresztą salonu z balkonem na ogród. W tym jednym mieszkał pokoju, urządziwszy sobie legowisko na starej kanapie i, wygarnąwszy własnoręcznie z kątów śmieci i gruz. Nie mógł jeno pozatykać dziur w ścianach, przez które wchodziły i wychodziły myszy polne i jaszczurki. Spojrzenie me padło w pierwszej zaraz chwili na szafkę przy ścianie, skąd połyskała prześliczna broń, której jestem wielkim zwolennikiem. Obejrzałem jedną sztukę po drugiej troskliwie.

— Obróć się pan, Angelo! — powiedział kapitan. — Jest tu jeszcze coś, co pana zainteresuje!

Był to portret Erminji naturalnej wielkości, obejmujący postać jej aż po kolana, a tak niezmier-

nie podobny, iż uczułem, że serce mi bić przestaje. Zaraz w pierwszych dniach zaczął go pewien znakomity malarz, przyjaciel kapitana i doprowadził niemal do wykończenia, brakło szczegółów ubioru, ale głowa była gotowa, promieniowała szczęściem, z ócz sypały się iskry radości, a całość była tak żywa, że słychać było niemal oddech Erminji. Bez słowa wpatrywałem się w obraz dobre pół godziny, ocierając jeno łzy, gdy mi go zasłaniały. Kapitan powiedział, że właśnie w dniu, kiedy go opuściła, otrzymał list z przyzwoleniem na małżeństwo od jedynego ze swych żyjących krewnych, od stryja, na którym mu zależało. Potem chciał nadmienić coś o szczęsnych dniach w Rzymie, ale głosu mu nagle zbrakło, urwał i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Nie śmiałem iść za nim, gdy jednak wrócił, uczułem, żem tu dziś niepotrzebny i wyśliznąłem się na schody, w towarzystwie psa, z którego miny widać było, że zna powód troski swego pana. Postanowiłem zaczekać, aż się sam u mnie zjawi, ale czekałem bardzo długo. Od Magdaleny jeno dowiadywałem się podczas targu, że się ma stale dobrze, że albo poluje, albo czyta, a nie przyjmuje nikogo, nawet samego proboszcza, który uznał za swój obowiązek odwiedzać zbolałego człowieka. W mieście, które było zrazu oburzone, powiał inny wiatr. Wspominano sobie teraz wesołe wieczory przy baryłce wina, okraszone jego uprzejmem i we-

sołem zachowaniem i żartami, a kobiety, które go zrazu wyklinały, uczuły teraz wielkie współczucie i żałowały go serdecznie. Niejedna byłaby się pewnie zdecydowała dotrzymywać mu towarzystwa w samotnej willi, gdyby jeno kiwnął na nią palcem. Przez kilka miesięcy nie zaszło nic nowego.

Pewnej nocy pod koniec sierpnia nie mogłem zasnąć, rozgrzany winem, którego jakoś więcej wypiłem niż zazwyczaj, a także z powodu zuchwałości niecodziennej komarów i rozmyślałem właśnie, czyby nie wstać celem napisania kilku wierszy, gdy naraz usłyszałem wśród ciszy kilka strzałów. Powtórzyły się po chwili, a dolatywały od strony willi kapitana. — *Corpo della Madonna!* — pomyślałem — cóż mu przyszło do głowy? Czyż po nocy poluje na sowy i nietoperze? — Ale nie był to suchy trzask karabinów angielskich kapitana i jego strzelb szwedzkich. Strzelać tak nie mógł też jeden człowiek, bo strzały padały nieregularnie, a gęsto. Zrozumiawszy co to jest, zerwałem się co prędzej, odziałem, zerwałem ze ściany parę pistoletów, zbudziłem ucznia i kazałem mu biegać po ulicach, wołając co sił: — Ratunku! Mordercy! — To, czego się obawiałem długo, nastąpiło właśnie. Sam wyrwałem z łóżek kilku sąsiadów, znanych z odwagi i gotowych mi towarzyszyć, i niebawem ruszyliśmy gromadką w dziesięciu, czy dwunastu, a każdy miał fuzję i pistolety. Strzały padały od strony winnicy, że zaś księżyc nam ła-

skawie przyświecał, tedy ruszyliśmy pędem na przełaj przez płoty i ogrody ku domowi, z którego okien łyskało odstrzeliwanie się kapitana. Uspokoiło mnie trochę, że sor Gustavo oszańcował się wewnątrz, gdyż opryszki mogli mu jeno na los szczęścia palić w okna. Wyjaśniłem ochotnikom plan kampanji, mieliśmy się podzielić na cztery części i z wszystkich stron spaść napastnikom na tyły. Zanim jednak do tego przyszło, rozległo się donośne gwizdnięcie, zapewne posterunku bezpieczeństwa, walka ustała odrazu i ujrzeliśmy w księżycowem świetle jak banda cofa się w rozsypce, zmierzając przez skały ku lasowi. Wielu kulało tak, że nie trudnoby było wszystkich schwytać, gdyby szło nie tylko o obronę kapitana, ale o pojmanie obywatela naszego, rudobrodego Domenica. Nie uczyniliśmy tego jednak, nie chcąc ranić serca ojca jego, to też podziękowaliśmy jeno Bogu że pozwolił na czas zdążyć na obronę sor Gustava, który z balkonu powiewał ku nam teraz białą chustką. Przy świetle okazało się, coprawda, że chustka ta pokryta jest plamami krwi. Kula musnęła jego skroń, ale rana nie była niebezpieczna, to też po rozejściu się innych przesiedzieliśmy we dwójkę do białego rana. Popędliwa jak zawsze i zadurzona w swym panu, Magdalena znosiła co chwila nowe zioła gojące i kapitan musiał je przykładać, nie chcąc doprowadzać dziewczyny do wściekłości. Poczciwe stworzenie spało czujniej niż kot i, posłyszawszy pełzanie

i ciche kroki napastników, wcześniej jeszcze od psa zbudziła sor Gustava. Prócz tego uderzyła kolbą karabinu w głowę pierwszego rabusia, spinającego się po drabinie na balkon tak silnie, że spadł, pociągając drabinę za sobą. Nabijała też ciągle i podawała broń, a i sama również palnęła z okna, jak twierdziła, do rudobrodego, który drgnął trafiony w kaftan na piersiach, ale po chwili złożył się ponownie do strzału. Pokój wyglądał okropnie. Wszystkie szyby roztrzaskane, wyprawa odpadła kawałami z pułapu, a w samym portrecie Erminji, na szczęście tylko w sukni i ramach, tkwiły kule. O świcie zasnął kapitan i pies na kilka godzin, ale Magdalena nie dała się nakłonić do spoczynku mimo, że łotrzyki, napełnieni strachem, nie zagrażali chwilowo. Zostałem w willi przez cały dzień, nakłaniając przyjaciela, by wyjechał niezwłocznie, a ciekawi widoku pobojowiska mieszkańcy miasteczka, którzy się zeszli, doradzali to samo. Upierał się zostać i ustąpił dopiero, gdy nazajutrz przybył dla ratowania pozorów prefekt policji z Rzymu i spisał protokół zajścia. Pan ów, monsignore N. powiedział:

— Radzę panu szczerze opuścić tę okolicę, a nawet kraj i to jak najspieszniej. Podobno jeden człowiek, możliwie biorący nawet udział w napadzie, zeznał, że niejedna kula jest dla pana przeznaczona, a rudobrody poprzysiągł na hostję, że pana zgładzi. Sam nie mógłbym pana ochronić, chyba, że nie roz-

stawalibyśmy się ni na chwilę. Z za każdego krzaka może być wysłana w pana kula podczas pańskich dalekich wycieczek łowieckich i nic łatwiejszego jak wyprawić pana na drugi świat.

Zgodził się jechać i to zaraz, powozem prefekta policji. Na odjezdnem padałem mu rękę i powiedziałem:

— Sor Gustavo! Po raz ostatni zapewne spotykamy się w życiu!

— Któż to wie! — odparł — Stałem się waszym współobywatelem, gdy dotąd byłem jeno włóczęgą po świecie.

Potem wydał polecenie, by Magdalena, która nie chciała opuścić domu, żyła jak u siebie i czerpała zeń dochody, gdyby zaś nie wrócił po pewnej liczbie lat, by została jego właścicielką. Proboszczowi wręczył z podzięką za pomoc obywateli miasta znaczną sumę dla biednych, mnie zaś podarował mały portrecik lorda Byrona, który zawsze nosił przy sobie. Obraz, wyobrażający Erminję, zwinął i wsunął do blaszanej puszki. Prócz broni, to jedno zabrał z sobą.

Rozstaliśmy się, jak sądziłem, na zawsze, a Magdalenę, która, nagle zmieniwszy plan, czepiała się powozu, chcąc jechać z kapitanem, musiano zamknąć w domu. Mimo to uciekła tejże nocy jeszcze i jak szalona biegała po ulicach Rzymu, szukając swego pana. Potem wróciła i zamknęła się w willi, nie zaj-

mując się jednak niczem. Winogrona i owoce na drzewach gniły i schły, a jej nie przyszło na myśl zabrać je i zanieść na targ. Zdawna była leniwa jak ropucha, wielkie z nią mająca podobieństwo, i tylko, gdy szło o kapitana, zdolna była pracować za trzy.

O kapitanie nie dochodziły wieści, natomiast szeroko mówiono o Barbarossie. Od dnia nieudanego napadu, przebywał ze swą bandą w okolicy, poprzysiągłszy nienawiść współobywatelom za pomoc, daną cudzoziemcowi. Gdyby nie ochrona żandarmerji papieskiej, której oddział przysłano nam na stały garnizon, byłby niewątpliwie napadł miasto rodzinne i zemścił się krwawo. Nikt też z pośród obrońców sor Gustava nie ważył się wychylać bez broni na odległość strzału poza ostatnie domy, a udając się drogą przez góry, brać musiano dwu żandarmów eskorty. Były to złe czasy, *amico mio*, tak, że nawet zaprzestałem pisywać wierszy, wiedząc dobrze, że w pierwszej linji opryszek ma mnie na oku. Kilka razy urządzano obławy na bandytów, ale nie na wiele się przydały, bo wszędzie mieli szpiegów i znali najtajniejsze przesmyki tak dobrze, jak djabeł piekło, to też zdołano ich zaledwo cofnąć nieco głębiej w góry sabińskie.

Tymczasem zmarł ojciec rudobrodego, stary Serone, ze zmartwienia, a Domenico, który nie miał złego serca, jeno zdziczał przez namiętność, zachowywał się przez cały ten rok żałoby spokojnie, tak,

że o bandzie jego słuch w okolicy zaginął. Aż do późnego lata cicho było i nikt nie wiedział, czy opryszki grasują gdzieś dalej na południu, czy może żywią się korzonkami podczas tych długich feryj. Sądząc atoli, żeśmy się ich pozbyli, myliliśmy się wielce, niebawem bowiem zaczęli znowu dokazywać w pobliżu. Sąsiada mego, Pizzicarola, uczestnika odsieczy, chwycili pewnego dnia, gdy jechał na ośle do Nervi, zaciągnęli do swej jaskini i wydali dopiero po złożeniu znacznego okupu. Podobnie stało się z kilku jeszcze nieostrożnymi. Widząc, że jest źle, wzmocniono garnizon i wszczęto wyprawy karne w góry, ale skutku nie było.

Barbarossa zdał się duchem, czy demonem, był wszędzie i nigdzie go nie było, wyślizgiwał się jak węgorz, a złośliwość tego bazyliszka weszła w przysłowie i matki straszyły krzyczące dzieci słowami — Cicho! Barbarossa idzie!— Z drugiej strony opowiadano, że z bezbronnymi i biedakami postępuje, jak błędny rycerz z legendy, jak człowiek względny, który rabuje wówczas jeno, gdy go do tego konieczność zmusza, pozatem jednak szanuje sprawiedliwość i uczciwość w świecie. Szkoda w istocie, że miał tyle win na sumieniu, iż władze nie mogły puścić tego płazem, bo inaczej amnestja mogła zeń uczynić spokojnego obywatela i dzielnego człowieka.

W tych warunkach żyliśmy marnie, niby rozbitki wśród szczątków okrętu, otoczeni rekinami

Od wyjazdu kapitana upłynęło trzynaście miesięcy i nie mówiono już o nim, a zwłaszcza nikt go nie chwalił z obawy, by nie posłyszał szpieg i nie doniósł Barbarosie. Wyobraź pan sobie tedy moje przerażenie, gdy pewnego dnia (spuściłem właśnie do flaszek beczułkę rycynusu i nie miałem nic złego na myśli), gdy tedy pewnego dnia zobaczyłem przed sobą nagle sor Gustava.

— *Corpo della Madonna!* — zawołałem — Cóż za wiatr pana przywiał? Czy się panu życie znudziło? Czy chcesz swą willę zmienić w mauzoleum?

Opowiedział mi, że nie mógł wytrzymać nigdzie, że mu nie smakowało wino i nudziły kobiety, a od czasu polowania na ludzi czuł obrzydzenie do lwów i hien. Nie opuszczała go myśl, że uciekł jak nikczemny tchórz, nie zmierzywszy się z przeciwnikiem. W ostatnich dniach przebywając w jakiemś niemieckiem miejscu kąpielowem, wyczytał w dzienniku o grasowaniu w górach sabińskich niezwyciężonej bandy opryszków, którym rady dać nie mogą karabinierzy. To mu uczyniło nieznośnym pobyt wśród eleganckiego świata, wziął ekstrapocztę i, jadąc dzień i noc bez przestanku przez Alpy, wrócił. Magdalena omal nie oszalała z radości, a jemu samemu uczyniło się tak miło i dobrze, jak się nigdy nie czuł od przeszło roku.

— Cóż pan zamierza czynić? — spytałem zdrętwiały od strachu i zdziwienia.

— Hm, — odparł — zajęcia mi nie zbraknie! Przyłączę się do snujących się dniem i nocą po górach żandarmskich patroli i wstąpię w służbę jako wolontarjusz. Wszakże z mojej to winy cierpi całe miasto i okolica, słuszna przeto, bym się przyczynił do naprawy zła. Do widzenia, Angelo! — zakończył — Odwiedź mnie pan kiedy w mem mauzoleum!

Powiedziawszy to, wyszedł, a zauważyłem, że był niespokojny jak nigdy przedtem i nie mógł wprost wytrzymać chwili na jednem miejscu. Wyobrazisz sobie, przyjacielu, co się ze mną działo Nigdy nie byłem tchórzem, poza tem jako dawny przyjaciel kapitana stałem pierwszy na czarnej liście, to też z całą zuchwałością udałem się nazajutrz do willi. Zastałem wszystko po staremu, Magdalena łaziła znowu z kąta w kąt, zbierała winogrona i owoce i uprawiała ogród, a za nią włóczył się ten sam pies, postarzały tylko i oślepły na jedno oko. Te same też zobaczyłem ślady kul, jeno portret Erminji był starannie naprawiony i odnowiony. Kapitan palił i czytał, chodząc po pokoju, gdym zaś wszedł, odłożył książkę, jak zawsze poezje angielskiego mistrza, i uścisnął mi dłoń. Powiedział, że przez całą noc czekał, zaczajony w krzakach, na swą zwierzynę i dopiero nad ranem przespał się nieco. Około północy zamierzał powtórzyć to samo wraz z trzema dzielnymi zuchami, którzy czynią zaszczyt mundurowi Jego Świątobliwości. Zaproponował mi, bym wziął udział w polowaniu.

Podziękowałem, odmówiłem narazie i, nie bawiąc długo, poszedłem, gdyż niesamowitą wydała mi się jego mina i sposób mówienia, jakby szło o grę w karty. W drodze powrotnej założyłem się sam z sobą, że jeśli w ciągu tygodnia nie stanie się nic złego, to każę wydrukować własnym kosztem moje sonety do Erminji, w przeciwnym zaś razie pozostaną one w rękopisie. Stało się coś w istocie, ale niewiadomo, czy można to nazwać złem czy dobrem, to też do dziś dnia nie jestem pewny, czym wygrał, czym przegrał zakład.

Wszystko mi sam dokładnie opowiedział, tak że słuchać pan będziesz niby jego własnych słów. Zrazu dziwił się, że Barbarossa się nie zjawia, mimo iż powrót jego uważać musi za wyzwanie. Podczas patrolowania z żandarmami, ukazywały mu się czasem podejrzane twarze, ale kryły się zaraz jak żaby do błota na widok bociana. Sądził, że idzie o to, by go zwabić głębiej w góry i tam łatwiej napaść. To też uradował się z wyprawy w większym stylu w góry sabińskie, umówionej na trzecią noc. Członkowie jej postanowili zażyć snu, by pokrzepić siły, ale kapitan nie mógł uleżeć spokojnie. Był bez towarzysza, bo nawet zwykła jego eskorta wolała spać, niż daremnie spacerować po górach. Nabił tedy najlepszą swą dwururkę, zawołał psa, który jakoś także niewiele miał ochoty iść i wraz ze wschodem księżyca opuścił dom.

Mimo wielkiej odwagi nie wystawiał się niepotrzebnie na niebezpieczeństwo, to też wziął ciemny kaftan i spodnie, wdział wysokie buty oraz kapelusz na głowę, zwany, jak pan wie, *comecipare*. W tem ubraniu można go było wziąć, póki stał w cieniu, nawet w jasny dzień, za pień drzewa kasztanowego lub dębu.

Noc była cicha, piękna, a jak mówił, nie czuł się nigdy tak swobodnym pośród dziczy, nigdy też nie miał tak żywo przed oczyma rysów twarzy Erminji. Zdawało mu się, że idzie z nim razem. Pies wlókł się ospale, on zaś, zatopiony w marzeniach, utracił zupełnie nadzieję spotkania nieprzyjaciela. Szło jeno o przechadzkę dla zdrowia wśród chłodu czarownej nocy.

Wędrówka trwała około godziny, nagle pies stanął i warknął zcicha. Chwycił niezwłocznie za broń, ale zanim się zorjentował, padły z bliska dwa strzały i uczuł, że kula drasnęła mu łydkę. Zobaczył też młodego chłopaka, który, wychylony poza pień wielkiego dębu, mierzy doń z pistoletu. Nie leniąc się, uprzedził go, wystrzelił mu z ręki broń wraz z kilku palcami, a napastnik uciekł tak szybko, czepiając się skał, że nie mógł go dosięgnąć ani pies, ani kula, posłana z drugiej lufy. Kapitan miał dość przechadzki, rana krwawiła tak silnie, że doraźna opaska z chustki i krawatki nie na wiele się zdała, nabiwszy tedy broń, ponownie postanowił wracać. Ale zmylił drogę, złu-

dzony niepewnym blaskiem księżyca i gdy po kilkugodzinnem błądzeniu ujrzał nareszcie dach swego domu, wynurzający się z pośród winnicy, był tak wyczerpany, że, nie mogąc przebyć ostatnich stu kroków, padł na kamienie.

Ale biedne psisko nie wstało już, druga kula trafiła go lepiej, niźli pierwsza jego pana. Nie wydawszy jęku, wlókł się obok kapitana, teraz jednak zaskowyczał i wyzionął wiernego ducha swego. Zadrżał, jak mówił, patrząc jak merdnął po raz ostatni ogonem, a potem wyciągnął wszystkie cztery nogi. Sam ledwo mógł ustać, mimo to jednak nie chciał zostawić na drodze przyjaciela, któregoby do rana rozszarpały sępy. Postanowił pochować go przystojnie w winnicy i, obarczony ciężarem, wspierając się na kolbie strzelby, krok za krokiem zmierzał do domu, napoły jeno przytomny.

Znalazłszy się pod winnicą, zastał bramę jak zawsze zaryglowaną od środka i otworzył ją w sposób tajemny, sobie jeno i Magdalenie znany. Zdziwił się, że ta czujna istota nie posłyszała odgłosu jego kroków, ale przypuszczając, że może wypiła trochę więcej, niż zawsze, mocnego wina, które właśnie sprowadził, mijając jej komorę, przestał o niej myśleć. Położył zwłoki psa w kuchni, przykrył je tymczasowo słomianą matą, potem zaś ruszył z mozołem na górę, mając wrażenie, że chyba nie doczeka chwili zdjęcia opatrunku z piekącej zarzewiem rany.

Otworzył drzwi salonu i stanął w progu skamieniały na widok, jaki się przedstawił oczom jego. Księżyc świecił jasno od strony balkonu i obu okien, a promienie jego migotały na lufach strzelb. Pośrodku pokoju, tyłem do księżyca zwrócony stał nieruchomy jak posąg Domenico Serone, zwany rudobrodym i wpatrywał się w portret Erminji. Nie zasługiwał już na to miano, albowiem nie miał brody, a skudłaczone włosy jego odcinały się popielatą barwą od starego żółtego słomianego kapelusza, który osłaniał tak twarz jego, że kapitan widział jeno białka oczu. Ale poznał go natychmiast.

Mierzyli się przez chwilę oczyma dwaj śmiertelni wrogowie, Domenico nie zmienił postawy, a kapitan, wsparty na strzelbie, dobywał sił ostatka, by mimo rany zachować postawę męską.

— Przybywasz pan nakoniec! — powiedział rudobrody drżącym głosem — Czekam na pana oddawna. Wiesz pan, że przysiągłem porachować się z panem i czas po temu najwyższy. Masz pan zamiar urządzić jutro wielką naganke na mnie i moich ludzi. Brawo, doskonale! Ale sądzę, że lepiej naszą własną sprawę załatwić w cztery oczy. Daj pan pokój strzelbie! — powiedział, widząc, że kapitan staje w pozycji obronnej — Gdyby o to jeno szło, dziesięć już razy byłbyś pan wyzionął ducha. Czyż sądzisz, żem nie słyszał, jak wracasz, jak otwierasz bramę? Gdyby mi szło o krew pańską, z tego oto okna zdmuchnął-

bym płomyk twego życia. Wyznaję, przez moment miałem nawet ten zamiar. Ale nie mogłem tego uczynić! Ona nie dopuściła! — wskazał porywczo na portret — Jeśli możesz pan jeszcze radować się życiem, to jej za to podziękuj!

— Domenico! — odparł kapitan — Połóżmy temu koniec. Znajdujesz się w moim domu, a postępujesz jakbyś był tu panem, jakbym życie zawdzięczał łasce twojej. Nie biorę nic od człowieka, który mi wydarł jedyny skarb życia. Nie miałeś pan żadnych praw do tej dziewczyny, zaręczyła mi to sama. Zamordowałeś ją i dybiesz na mnie, jesteś przeto wściekłym zwierzem, a kto cię usunie, dokona dobrego czynu. To też moją jest to łaską, że cię nie zastrzelę w tej chwili, zanim zdołasz podnieść broń swą z posadzki. Ale czuję litość, wiem bowiem, że można z powodu dziewczyny stracić rozum i nie odzyskać go nawet po jej śmierci. Proponuję tedy walkę równą. Weź pan strzelbę swą w rękę, a gdy doliczę do trzech, jeden z nas zejdzie ze świata, albo obaj razem.

Rudobrody ani drgnął.

— Czyń pan co chcesz! — zawołał — Ja strzelać nie będę. Cóżbym zyskał, zabijając pana? Jestem nędznikiem, zamordowałem jak dzika bestja najpiękniejszą kobietę świata. Słusznie mnie pan tak nazwałeś. Sądziłem, że śmierć pańska przyniesie mi ulgę, ale to głupstwo. Przeciwnie, strasznąby mi

była myśl, żeście się połączyli tam, na drugim świecie, ja zaś samotny muszę iść na potępienie wieczne. Nie, to pan musisz skończyć raz ze mną. Nie ruszę się — kopnął strzelbę, leżącą na ziemi — nie tknę broni. Strzelaj pan, kapitanie, a ja, wydając ostatnie tchnienie, przebaczę panu krzywdę, jakąś mi wyrządził. Przysięgam na Boga, życie, jakie wiodę, było mi dotąd czyścem, ale stanie się piekłem, od kiedy zobaczyłem ponownie ją i człowieka, którego kochała!

Siły go opuściły po tych słowach, osunął się przed obrazem na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Ciałem jego wstrząsały konwulsyjne dreszcze.

Nakoniec spazm wyładował się płaczem, klęczący wił się, jakby odniósł śmiertelną ranę, próbował wstać, padał i jęczał:

— Boże! O Boże mój! Ona nie żyje! Bądź miłościw mordercy!

Padł na ziemię jak bezwładny, przycisnął usta do zimnych kamieni posadzki, zapominając zupełnie, że ktoś drugi widzi, co czyni.

Z jasno oświetlonej ściany, cicha, majestatyczna postać niewieścia, tchnąca młodością i szczęściem, spoglądała na biednego grzesznika.

— Domenico! — rzekł kapitan, zbliżając i kładąc mu dłoń na ramieniu — Domenico! Wstań pan i opamiętaj się. Nie zbudzimy jej już i musimy

jakoś dożyć sami do końca. Usłuchaj pan mej rady, opuść tę okolicę i jedź za morze. Wojna toczy się w Afryce, a Francuzi potrzebują odważnych ludzi. Ja panu przebaczam, coś uczynił, a ten, który waży sprawiedliwie czyny człowieka, zna serce twoje i wie, jak bardzo cierpisz i pokutujesz. Jeśli mogę pomóc panu czemś, byś jak najrychlej stąd wyjechał, rzucając przeszłość za sobą, powiedz, a znajdziesz we mnie brata.

Domenico wstał i zapatrzył się beznadziejnie w przestrzeń. Na ostatnie słowa kapitana potrząsnął jeno głową.

— Już po wszystkiem! — powiedział — Skwitowaliśmy się! Reszta to moja rzecz. Nie spotkamy się w życiu, przyrzekam to na jej cienie. Ale, proszę, opuść pan ten dom, gdzie pana nie mogę już teraz ustrzec od napaści. Bandyci pożądają pańskich pieniędzy i pięknej broni. Nie przebaczą mi nigdy, żem miał cię w ręku i im nie wydał, niektórzy ponadto dotąd pamiętają dobrze kule pańskie z czasu pierwszej walki. Strzeż się pan! A teraz dobranoc! Skończyłem!

Podjął z posadzki strzelbę swoją, rzucił ostatnie spojrzenie na portret lśniący przedziwną pięknością w świetle księżyca i wyśliznął się z pokoju.

Kapitan słyszał, jak idzie ciężko po schodach, jak otwiera bramę i zatrzaskuje ją. Potem zapadła wokół cisza zupełna.

Upłynęła dobra chwila, zanim zebrał zmysły. Miał wrażenie, że spadł z wysokiej wieży i nie poniósł szwanku, ale pozostało mu oszołomienie wielkie. Posiedziawszy w stanie napoły przytomnym na kanapie, spostrzegł wreszcie krew na białej posadzce i to mu przypomniało ranę. Zerwał się i zawołał na Magdalenę, by mu przyniosła wody i pomogła opatrzyć ranę, ale nikt mu nie odpowiedział. Z trudem dowlókł się do jej komory i znalazł biedaczkę leżącą na ziemi, związaną, z kneblem w ustach. Gdy ją oswobodził, padła mu napoły martwa do nóg. Musiał ją trzeźwić wodą i winem, a gdy przyszła do siebie, zaczęła się śmiać i płakać, oraz całować jego ręce i odzież. Niesposób było jednak dobyć z niej rozsądnego słowa. Doznała silnego wstrząsu, gdy ją napadł rudobrody, a potem przeżyła okropne chwile strachu, słysząc jak kapitan idzie po schodach do pokoju, gdzie nań czekał nieprzyjaciel. To wszystko tak dalece nadwerężyło jej biedne zmysły, że już do końca życia nie doznawała innych wrażeń poza ciepłem i chłodem, oraz poczuciem głodu i sytości.

Pielęgnowałem kapitana przez tydzień, aż do chwili przygojenia się tymczasowego rany. Wyprawa w góry odbyła się oczywiście bez jego udziału, ale dała ten jeno wynik, żeśmy odzyskali spokój na lat parę. Schwytano małego chłopca, mającego ojca pośród rozbójników, ale że nie wiedziano co z nim

począć, przeto został uwolniony. Jednej się jeno odeń dowiedziano rzeczy. Oto rankiem po onej nocy, kiedy Domenico rozprawił się z kapitanem, powstała w bandzie kłótnia, a bandyci zarzucili mu zdradę. Błysnęły noże i zanim spokojniejsi zdołali opór załagodzić, legł rudobrody na ziemi z nożem, utkwionym w piersi, w to samo niemal miejsce trąfiony, gdzie zadał cios dziewczynie.

Signor Gustavo wyjechał niebawem do Neapolu, a stamtąd ruszył okrętem do Grecji. Dowiedziałem się potem od jednego z malarzy, że utonął podczas wycieczki pływackiej na pełnem morzu. Rana na nodze musiała nie zostać należycie zagojona i przez to osłabł potrochu. Inaczej nie byłoby do tego doszło, bo, jak mi mówił, mógł się mierzyć doskonale z wielkim lordem-poetą. Malarz ten pamiętał, że widział portret Erminji, ale nie wiedział, co się z nim stało. Dałbym chętnie połowę majątku, gdybym go mógł dostać w swe ręce.

Oto, przyjacielu drogi, — zakończył — tak wygląda historja Barbarossy i pięknej Erminji.

ANDREA DELFIN

W onej ulicy Wenecji, która nosi miano *della Cortesia*, stał w połowie zeszłego wieku skromny, jednopiętrowy dom mieszczański, którego portal, obrzeżony dwoma krętemi, drewnianemi słupami i poprzecznym gzymsem, zdobił wizerunek Matki Boskiej z wiecznie płonącą, małą lampką z czerwonego szkła. Stanąwszy w sieni, spostrzegało się strome schody, wiodące bez żadnych zakrętów wprost na piętro. I tutaj paliła się dniem i nocą lampa, zwisająca na błyszczącym łańcuszku od powały, albowiem światło dzienne padało tu jeno w chwili otwarcia drzwi wchodowych od ulicy. Mimo jednak tego ustawicznego mroku klatka schodowa była ulubionem miejscem pobytu pani Giovanny Danieli, właścicielki domu, która po śmierci męża mieszkała w odziedziczonym domu wraz z córką swą, Mariettą, odnajmując kilka pokoi spokojnym, cichym lokatorom. Twierdziła, że wzrok jej osłabł skutkiem długiego płaczu po stracie męża i nie może znieść blasku słońca. Ale sąsiedzi twierdzili, że po to przesiaduje po całych dniach na najwyższym stop-

niu, by za każdym wchodzącym, lub wychodzącym wszcząć rozmowę i nie puścić go, zanim uiści cło należne jej ciekawości. W czasie jednak, w którym zabieramy z nią znajomość, nie ten zaiste powód skłaniał ją do siedzenia na twardych schodach, miast wygodniejszej dużo siesty w miękkim fotelu. Był sierpień roku 1762, wszystkie pokoje stały pustką, a z sąsiadami zadawała się bardzo niewiele. Przytem miało się już pod noc, a wizyta o tej porze zaliczać się mogła do rzeczy zgoła niezwyczajnych. Mimo to trwała kobiecina wytrwale na swym posterunku, spoglądając w zadumie na dół, w głąb pustej sieni. Wysłała córkę spać i położyła koło siebie kilka dyń, chcąc z nich jeszcze przed nocą wybrać pestki. Ale opanowały ją rozmaite myśli i przeszkodziły w robocie. Ręce złożyła na podołku, oparła głowę o poręcz i siedziała, a nieraz przydarzyło jej się zasnąć w tej pozycji.

Już się właśnie nieźle zdrzemnęła, gdy nagle zbudziły ją trzy powolne, dosadne uderzenia kołatki u drzwi wchodowych.

— Misericordia! — wykrzyknęła, wstając — Cóż to? Czyż mi się przyśniło? Czy to może być naprawdę on?

Wytężyła słuch. Uderzenia powtórzyły się.

— Nie! — powiedziała do siebie — To nie Orso, on pukał inaczej. To nie zbiry również. Ano, zobaczmyż, kogo pan Bóg zsyła.

Rzekłszy to, zeszła powoli i spytała przez drzwi, kto jest i czego chce.

Jakiś głos zawiadomił ją, że podróżny pragnie uzyskać pokój gościnny. Dom ten został mu polecony, zamierza długo mieszkać, a chce zadowolnić w zupełności gospodynię. Wszystko to powiedziane było grzecznie, dobrem, weneckiem narzeczem, tak że pani Giovanna nie zawahała się otworzyć mimo późnej pory. Przybyły istotnie uzasadniał swym wyglądem okazane zaufanie. O ile można było dojrzeć w mroku, odzież jego przyzwoita, czarna świadczyła o przynależności do klasy małomieszczańskiej, pod pachą dźwigał spory, skórzany worek, a kapelusz skromnie trzymał w ręku. Gospodynię zastanowiła jeno twarz jego. Nie był młody, ni stary, broda jeszcze ciemna, czoło bez zmarszczek i ogniste spojrzenie dziwnie kontrastowały z wyrazem ust znużonym i sposobem wyrażania się, świadczącem o przeżyciu i wyczerpaniu, oraz z krótko przystrzyżonemi, posiwiałemi włosami.

— Dobra pani, — powiedział — przeszkodziłem wam we śnie, a może nadaremnie. Muszę wyznać odrazu, że nie zostanę tu lokatorem, o ile pani nie ma do odnajęcia pokoju z widokiem na kanał. Przybywam z Brescji na zlecenie lekarza, który mi kazał zamieszkać w Wenecji, z powodu wilgotnego powietrza, jakie jest niezbędne dla moich słabych płuc.

— Ano, Bogu dzięki! — zawołała gospodyni — Nareszcie jawi się ktoś, kto umie ocenić nasze kanały. Miałam zeszłego lata pewnego Hiszpana, ale wyniósł się, mówiąc, że woda kanału śmierdzi, jakby w niej gotowano szczury i melony razem! Naprawdę, lekarz to panu zalecił? Mamy tu w Wenecji przysłowie:

Woda kanałów miasta
Leczy doraźnie i basta!

Ale znaczenie tego wiersza jest inne, drogi panie i to smutne. Oto nieraz na zlecenie władz wypływa gondola z trzema pasażerami, a wraca z dwoma. Ale cicho, sza, niech nas Bóg strzeże! Czy masz pan pasport w porządku? Inaczej nie mogłabym pana wziąć do domu.

— Pokazywałem go już trzy razy, droga pani, w Mestre, u straży portowej i wreszcie na Traghetto. Nazywam się Andrea Delfin, a jestem znawcą prawa i pisarzem po biurach notarjalnych, czem się zajmowałem w Brescji. Lubię nadewszystko spokój i unikam wdawania się z policją.

— To doskonale! — zaopinjowała gospodyni, gramoląc się pierwsza na schody —Lepiej dmuchać, niż chuchać! Zapal Bogu świeczkę, a drugą djabłu! Pokorne cielę dwie krowy ssie! Ach, jakież to czasy, signore Andrea, w których żyć nam wypadło! Ale zdrowiej nie myśleć o tem, prawda? Myślenie skraca życie, a troska otwiera serce. Spójrz pan! — za-

wołała, otwierając pokój — Czyż tu nie ładnie, czy nie zacisznie? Tam stoi łóżko. Własnemi rękami szyłam pościel za młodu, ale, prawda, o poranku człek nie zna dnia. Oto okno na kanał, nie jest ono coprawda szerokie, ale zato bardzo głęboko osadzone, drugie zaś wychodzi na wąski zaułek, tylko musisz je pan zawsze zamykać, bo nietoperze stają się coraz to zuchwalsze. Patrz pan, kanału dotknąć można niemal rękami, a tuż obok pałac hrabiny Amadei, która jest jasna jak złoto i przez tyleż rąk przechodzi. Ale ja tu paplam, a pan nie masz jeszcze wody i światła. Pewnie pan też głodny z podróży?

Przybyły objął zaraz od proga pokój bystrem spojrzeniem, potem zbadał oba okna i złożył torbę na krześle. Oświadczył, że wszystko w porządku, a co do ceny nastąpi również porozumienie. Poprosił o coś do przekąszenia i dodał, że się zaraz położy spać.

Mimo łagodnego brzmienia głosu było w ruchach jego i zachowaniu coś władczego i narzucającego posłuch. Wdowa wybiegła spiesznie, zostawiając go samego na chwilę, on zaś zbliżył się szybko ponownie do okna i wychylony spojrzał w kanał bardzo wąski tutaj, ale drżenie wody świadczyło, że ma udział w życiu morza i łączy się bezpośrednio z rozfalowanemi wodami starej Adrji. Przeciwległy pałac rysował się zwartą masą, okna były ciemne, bo front nie dotykał kanału, na samym tylko dole, tuż nad

zwierciadłem wody widniały wąskie drzwi, pod któremi chwiała się przymocowana łańcuchem gondola.

Wszystko to odpowiadało widocznie życzeniom przybysza. Znalazło uznanie jego również i drugie okno, wychodziło na zaułek i nikt nie mógł zajrzeć do jego pokoju. Miał przed sobą ścianę bez okien, której monotonję urozmaicały jeno gzymsy, dziury i otwory piwniczne, mogące skusić same chyba koty, łasice lub ptactwo nocne.

Nagle zabłysło w szparach drzwi światło i weszła wdowa ze świecą w ręku, za nią zaś córka, która musiała spiesznie wstać pomagać w instalowaniu lokatora. Postać dziewczyny drobniejsza była jeszcze od matki, ale ślicznie zbudowana, wiotka i dopiero co rozwinięta, wydała się Marietta niezwykle ponętną. Stąpała jakby pływała w powietrzu, a buzię jej, podobną zresztą zupełnie do twarzy matki, różnił od niej jeno wiek. Ale wyraz oblicza wdowy był zgoła inny, niźli córki, widniało w niem jakieś ciągłe napięcie wyczekiwania, czego ni śladu nie miała Marietta. Oczy jej się śmiały, a półotwarte usta gotowe były oddać z nawiązką każdy żarcik. Śmieszną była wprost kombinacja uczuć, ożywiających teraz jej rysy, malowało się tam jednocześnie zaspanie, zdumienie, ciekawość i przekora. Wchodząc, przechyliła w bok głowę, na której bujnych warkoczach spoczywała chustka i spozierała na no-

wego domownika. Ale jego poważna mina nie obniżyła wcale jej wesołości.

— Mamo, — szepnęła, stawiając na stole talerz z szynką, chlebem i świeżemi figami, oraz pół butelki wina — on ma dziwną twarz, wygląda zupełnie jak nowy dom w zimie ze śniegiem na dachu!

— Cicho bądź, zbytnico! — odrzuciła matka raźnie — Białe włosy to złe świadki. Wiedz, że on jest chory, przeto uszanuj to, bo choroba przyjeżdża konno, a odchodzi piechotą! Niech mnie i ciebie Bóg zachowa, bo chorzy jedzą mało, ale choroba pożera wszystko! Przynieśno trochę wody studziennej, o ile jest. Jutro musimy kupić świeżej. Patrz, on siedzi, jakby spał, zmęczyła go widać podróż, ciebie zaś musiało zmęczyć próżniactwo. Tak to różnie bywa na tym świecie.

Podczas tej półgłośnej rozmowy przybysz siedział u okna z głową na dłoniach wspartą. Teraz spojrzał, ale zdawało się, że nie dostrzega nawet ślicznej dziewczyny, która mu złożyła ukłon.

— Proszę, przekąś pan coś, signore Andrea! — zapraszała wdowa — Kto nie jada przed spaniem, czuje głód we śnie. Figi są całkiem świeże, szynka krucha, a cypryjskie wino godne samego doży. Kupiłem je od piwniczego pałacu, który był dobrym znajomym mego męża. Pan dużo podróżował, panie Andrea, czyś pan tedy może spotkał gdzieś mego Orsa, Orsa Danieli?

— Droga pani, — odparł przybysz, rozłamując jedną z fig i wlewając trochę wina w szklankę — nie wydalałem się nigdy z Brescji i nie znam nikogo tego nazwiska.

Marietta wyszła z pokoju i, biegnąc schodami, zanuciła pięknie i rozgłośnie jakąś piosenkę.

— Słyszysz pan tę dziewczynę? — rzekła pani Giovanna — Niktby nie powiedział, że to moja córka, chociaż i czarna kura znosi białe jaja. Ciągle śpiewa i skacze, jakbyśmy żyły nie w Wenecji, gdzie dobrze, że ryby milczą, gdyż od ich opowiadań włosy powstawałyby każdemu na głowie. Ojciec jej, Orso Danieli, był taki sam. Pracował on jako pierwszy robotnik w Murano, gdzie takie wyrabiają barwne szkiełka jak nigdzie na świecie. Mawiał zawsze, że pogoda serca rumieńcem barwi lica. Powiedział mi pewnego dnia — Giovanno, nie wytrzymam tu dłużej, powietrze tutejsze ściska mi gardło. Wczoraj znowu zaduszono jednego człowieka i powieszono za nogę na szubienicy, za to, że wymyślał inkwizytorom i Radzie Dziesięciu. Wie człowiek, gdzie się urodził, ale nie wie gdzie zemrze, niejeden myśli, że siedzi na koniu, a tymczasem siedzi na ziemi. To też — powiedział — pojadę do Francji. Sztuką barany tłuką, a za groszem leci złoty. Znam się na swem rzemiośle, a gdy się dorobię, sprowadzę ciebie i dziecko. Marietta miała wówczas ośm lat, panie Andrea. Śmiała się, gdy

ją ojciec całował na pożegnanie, a on roześmiał się także. Ale ja płakałam, to też i on płakać musiał, chociaż odjeżdżał gondolą wesoły i słyszałam jak pogwizdywał, skręcając ku głównemu kanałowi. Minął rok. I cóż się stało? Signoria zaczęła o niego rozpytywać, bo nie wolno było robotnikom z Murano wyjeżdżać i zdradzać tajemnicy wyrobu szkieł. Kazano mi pod karą śmierci napisać, by wracał. On się wyśmiał z listu, ale panowie z Trybunału nie znali się na żartach. Pewnego ranka wywleczono mnie i dziecko z łóżka i wsadzono do komór ołowianych. Musiałam mu donieść, gdzie się znajduję i że mnie i dziecko będą tam trzymać, aż sam się zjawi po nas. Przestał się wówczas śmiać i odpisał, że wyrusza z powrotem w ślad listu. Ale mijały tygodnie i miesiące, a ja żyłam w tem piekle, coraz to bardziej podupadając na duchu. Dziecko nie rozumiało swej niedoli, wiedziało tylko, że mu gorąco i że głodne często, ale śpiewało i weseliło się, by mnie rozerwać, ja zaś przelewałam gorzkie łzy. Dopiero pod koniec trzeciego miesiąca uwolniono nas, zawiadamiając, że szklarz Orso Danieli zmarł na febrę w Medjolanie, i że możemy wracać do domu. Słyszałam o tem i od innych, ale kto wierzy, nie zna, zaprawdę, Signorji. Umarł? Któż umiera, chcąc uwolnić żonę i dziecko z komór ołowianych?

— I cóż się stało z mężem, zdaniem pani? — spytał Andrea.

Spojrzała nań tak, że uświadomił sobie, iż spędziła całe miesiące w okropnej kaźni i rzekła:

— To nieprawda. Niejeden żyje, a nie zjawia się, a inny zmarł, a jednak powraca. Nie trzeba zresztą o tem mówić. Powiedziałabym i tak, ale któż mi zaręczy, że pan nie wypaplasz wszystkiego przed Trybunałem? Wyglądasz pan na galantuomo, któż dzisiaj jest jednak jeszcze uczciwym? Z tysiąca jeden, ze stu żaden. Nie gniewaj się pan signore Andrea, ale mamy tu w Wenecji przysłowie:

Z kłamstwem i zdradą wychodzimy z domu,
Z zdradą i kłamstwem wrócim pokryjomu.

Nastąpiła pauza. Przybysz odsunął talerz i przysłuchiwał się uważnie słowom wdowy.

— Nie mam pani za złe, iż nie zwierzasz mi się ze swemi tajemnicami, — powiedział po chwili — które mnie zresztą nic nie obchodzą, a pomócbym pani nie był w możności. Nie mogę tylko pojąć, czemu Wenecjanie tolerują dotąd ów Trybunał, który im tyle zadał cierpień i też się dał we znaki? Niewiele wiem o tem mieście i nie badałem nigdy spraw politycznych, ale tyle słyszałem, że mieliście zeszłego roku rozruchy, że chciano obalić ów tajny Trybunał, a nawet jeden z nobilów przeciw niemu się oświadczył. Wielka Rada ustanowiła nawet komisję dla zbadania sprawy i całe miasto podzieliło się na dwa stronnictwa. Tyle wieści doszło mnie w Brescji. Potem dowiedziałem się jeszcze, że wszystko zostało

po dawnemu, a gdy władza Trybunału ugruntowała się silniej jeszcze, wówczas lud rozniecił ognie po placach i ulicach na znak radości i urągał tym nobili, którzy głosowali przeciw niemu i teraz mieli doznać jego zemsty. Czemuż nikt nie przeszkodził wygnaniu do Werony dzielnego obrońcy ludu i wolności? Czemuż inkwizytorowie postawili na swojem i teraz może już ostrzą sztylety, które położą kres życiu tego odważnego człowieka? Jako rzekłem, wiem niewiele i nie znam nawet tego wygnańca. Zresztą obojętne mi są te rzeczy, bowiem jestem chory i niedługo już pożyję na świecie. Ale dziwi mnie chwiejność ludu Wenecji, który jednego dnia zwie tyranami triumwirów Inkwizycji, a na dzień drugi raduje się z pogromu tych, co mieli kres położyć tyranji.

— Co też pan mówi? — powiedziała wdowa, potrząsając głową — Widać, żeś pan nie widział signora avogadore Angela Querini, którego wygnano za wypowiedzenie wojny tajnemu wymiarowi sprawiedliwości. Ach, jam go widziała nieraz i widzieli go inni biedni ludzie. Wszyscy godzą się, iż był to człowiek zacny i wielce uczony, który po całych dniach i nocach wertował stare dzieje Wenecji, oraz znał się na prawie, tak jak lis zna się na gołębniku. Niestety, to nie wystarcza. Trzeba go było widzieć, kiedy szedł ulicą, albo rozmawiał z przyjaciółmi w Broglio. Powiadam panu, gdy stał oparty o filar, z oczyma przymkniętemi napoły, wyglądał na wielkiego pana

od pióra na kapeluszu, aż po sprzączki trzewików i zaraz wszyscy czuli, że, zwalczając Trybunał, działać nie może na korzyść ludu, ale jeno dobro wielkich panów ma na celu. Owcom jest atoli obojętne, panie Andrea, czy zostaną zarżnięte, czy je wilk pożre.

Gdy się z jastrzębiem kuna bije,
Kura wygodnie sobie żyje.

Otóż to dlatego radował się lud, gdy Trybunał został zatwierdzony w swych prerogatywach i zwolniony od wszelkiej odpowiedzialności, oczywiście z wyjątkiem sądu boskiego na dolinie Jozefata, oraz sądu własnego sumienia. W kanale Orfano, gdzie mnóstwo ludzi odmówiło swe ostatnie Ave, leży dziesięciu biedaków obok dziewięćdziesięciu wielmożów, a ludowi ten procent jest wcale na rękę. Wyobraźmyż sobie natomiast, drogi panie, że Wielka Rada publicznie sądzi i karze zarówno nobilów, jak maluczkich! Misericordia! Mielibyśmy wówczas ośmiuset katów miast trzech, a każdy wielki drab wieszałby małego.

Chciał coś odpowiedzieć, ale poprzestał na przelotnym uśmiechu. W tej chwili weszła Marietta, niosąc dzban z wodą i małą kadzielnicę, z której ulatał dym jarzących się, ostrą woń wydających ziół. Dym otaczał kłębami jej twarz, wywołując kaszel, wykrzyki, najdziwaczniejsze miny i zmuszając ją do przecierania oczu. Drobnym kroczkiem

obeszła wokół ściany, okryte chmarą much i komarów.

— Precz mi stąd, hołoto! — wołała — Wynoście się, krwi chciwe potwory, gorsze od adwokatów i doktorów! Macie widzę ochotę zjeść na kolację wszystkie figi i wypić wino naszego gościa, a potem, gdy zaśnie, tytułem podzięki skłuć mu żądłami twarz? Nic z tego! Marsz, gałgany! Zadam ja wam czegoś, co was uśpi nawet bez kolacji!

— Ciągle musisz paplać, bezbożne stworzenie! — burczała ją matka, wodząc za córką rozkochanemi, błyszczącemi oczyma.— Czy nie wiesz, że beczka, co dudni, pusta jest, a ten co dużo gada, mało ma do powiedzenia?

— Muszę, droga mamo, zaśpiewać komarom pieśń pogrzebową — odparła ze śmiechem — oto już spadają ze ścian! Dobranoc, hołoto, nie płacąca czynszu, a zaglądająca do każdego garnka. Pogadamy z sobą jutro, jeśli wam to, co było dziś, nie wystarczy!

Raz jeszcze potrząsnęła kadzielnicą, jakby czyniła gest zaklęcia, wysypała popiół do kanału, skłoniła się nowemu lokatorowi i wybiegła pospiesznie.

— Takie to już utrapione stworzenie! — powiedziała pani Giovanna, wstając i zabierając się do pożegnania — Ale każdej małpie podoba się własne małpiątko. Jest mała coprawda i pstro jej w głowie,

ale miła, przychlebna i rącza, tak, że można do niej zastosować przysłowie:

Zanim się wielki rozejrzy w kółko,
Mały tymczasem pochwyci ziółko.

Ach! Gdybym nie miała tego dziecka, panie Andrea! Ale pan widzę śpiący, a ja mamroczę tu, niby garnek z zupą na ogniu. Dobrej nocy i witajże nam pan w Wenecji!

Oddał jej ukłon w sposób oschły i sztywny, zdając się nie zważać, że czeka na jakieś pochlebne słówko o córce. Zostawszy sam, siedział jeszcze chwilę przy stole, a oblicze jego przybierało coraz to bardziej ponury i bolesny wyraz. Knot świeży wydłużył się i kopcił, muchy i komary, które uszły czarom Marietty, obległy czarną chmarą dojrzałe figi, w zaułku polatywały nietoperze, rozbijając się o szyby i kraty, a Andrea nie ruszał się, zdawał umarłym, jeno oczy jego błyszczały żywo.

Dopiero gdy z wieży pobliskiego kościoła zegar wydzwonił jedenastą, wstał mechanicznie i rozejrzał się wokół. U stropu niskiego pokoju zwisała szara chmura dymu ze spalonych ziół, a kopeć świecy łączył się z nią, płynąc od dołu. Andrea otworzył okno od strony kanału, dając przystęp świeżemu powietrzu. W tej chwili zobaczył naprzeciw siebie światło w przysłoniętem do połowy zaledwo oknie pok ju, gdzie siedziała przy stole jakaś dziewczyna, wybierając łakomie ze stojącego przed nią półmiska ka-

wałki sporego pasztetu. Od czasu do czasu pociągała hausty wina z kryształowej karafki. Miała wyraz lekkomyślny, ale nie wyzywający. Nie pierwszej już była młodości, a niedbały strój, oraz napoły rozpuszczone włosy czyniły wrażenie, że wszystko zrobione jest z rozmysłem. Zauważyła oczywiście dawno, że do pokoju naprzeciw sprowadził się nowy lokator, ale chociaż widziała go stojącego u okna, nie przerywała biesiady, tylko, pijąc, czyniła gesty, jakby go pozdrawiała. Skończywszy, odsunęła stół, postawiła światło w ten sposób, że padało wprost na wielkie, wiszące na przeciwległej ścianie lustro i zaczęła przywdziewać i zdejmować jeden po drugim najrozmaitsze kostjumy karnawałowe, rozrzucone po meblach w wielkiej obfitości. Zwrócona doń tyłem, wiedziała, że tem dokładniej widzi ją w lustrze. Lubowała się najwyraźniej sobą, śmiała się, czyniła sobie gesty głową, marszczyła brwi, robiła to tragiczne, to omdlewające miny, rozchylała usta, ukazując zęby, a przytem nie spuszczała oka z sąsiada, którego widziała również w lustrze. Gdy jednak ciemna jego postać pozostała bez ruchu i nie zjawiały się oznaki zachwytu, przystąpiła do ataku. Włożyła na głowę wysoki, czerwony turban, przyozdobiony lśniącemi agrafami i piórami czaplemi, który doskonale harmonizował ze smagłą cerą jej twarzy, poczem na znak uznania złożyła sobie do lustra głęboki ukłon. Patrzący nie zdobył się atoli i teraz na

ruch, ni słowo, przeto dziewczynie zbrakło cierpliwości, przystąpiła w turbanie do okna, odsunęła do reszty firankę i powiedziała:

— Dobry wieczór panu! Zostałeś, jak widzę, mym sąsiadem. Myślę, że nie grasz pan na flecie, jak poprzedni lokator, który mi po całych nocach nie dał spać.

— Piękna sąsiadeczko, — odparł grzeczni — zaręczam, że nie będę cię niepokoił żadną muzyką. Jestem chory i cieszę się, jeśli mogę spokojnie spać.

— Tak? — spytała przeciągle — Jesteś pan chory? A czy jesteś pan za to przynajmniej bogaty?

— Nie! Skądże to pytanie.

— Straszna to rzecz, być chorym i ubogim jednocześnie! Któż pan jesteś właściwie?

— Nazywam się Andrea Delfin. Byłem pisarzem notarjalnym w Brescji i przyjechałem tu szukać podobnej posady.

Ta odpowiedź obniżyła znacznie jej zaciekawienie nową znajomością. Zadumana, bawiła się przez chwilę złotym łańcuszkiem, otaczającym jej szyję.

— A któż pani jesteś, nadobna sąsiadeczko? — spytał Andrea głosem słodkim, kontrastującym dziwnie z twardym wyrazem jego twarzy — Cieszę się, że będę miał w pobliżu tak urocze jak pani zjawisko, gdyż ulży mi ten widok w cierpieniach moich.

Uczuła zadowolenie, że przemawia tonem, do jakiego zresztą miała wszelkie prawa, i odparła uprzejmie:

— Dla pana jestem księżniczką Smeraldiną i pozwalam zdaleka marzyć o swych względach. Ile razy wdzieję na głowę ten turban, będzie to znakiem, że mam ochotę gawędzić z panem. Nudzę się bardziej, niżby to przystało mej młodości i mym wdziękom. Musi pan wiedzieć, — dodała, wypadając nagle z roli — że hrabina, pani moja, nie pozwala na najmniejszą miłostkę, mimo że sama zmienia kochanków częściej niż koszule. Powiada, że zawsze wyganiała pokojówki, które pozwalały sobie na służenie dwom panom, to jest jej i owemu skrzydlatemu bożkowi. Taki to już jej przesąd, a ja musiałabym niewymownie cierpieć, gdyby nie to, że czasem zjawia się naprzeciwko, w pańskim pokoju jakiś grzeczny i uprzejmy lokator, skłonny do zakochania się we mnie...

— Któż jest teraz kochankiem twej pani? — przerwał jej oschle Andrea — Czy przyjmuje wybitnych ludzi ze szlachty? Czy bywają u niej ambasadorowie obcych mocarstw?

— Przychodzą zazwyczaj w maskach! — powiedziała Smeraldina — Ale wiem, że najmilszym jest jej młody Gritti. Przekonałam się w ciągu mej służby, że woli go stokroć od tego śmiesznego austrjackiego posła, którego zaloty przyjmuje z kpinami

poprostu. Czy znasz pan moją hrabinę? Powiadają, że jest piękna!

— Obcym tu jestem, dziecko! — odrzekł — Nie znam nikogo.

— Wiesz pan, — powiedziała dziewczyna z chytrą miną — ona się strasznie maluje, chociaż ma niespełna lat trzydzieści. Jeśli chcesz ją zobaczyć, nic łatwiejszego. Wystarczy połączyć deską nasze okna, a ja potem zaprowadzę pana na miejsce, z którego będziesz ją mógł niepostrzeżenie podglądać. Czegóż to nie uczyniłabym dla sąsiada. Narazie jednak żegnam pana, bo słyszę dzwonek!

— Dobranoc, Smeraldino!

Zamknęła okno i mruknęła do siebie, zasuwając szczelnie firanki:

— Biedny i chory... hm... Ale na chwile nudy wystarczy i taki od biedy!

I on zamknął okno i zaczął powoli chodzić po pokoju.

— Dobre i to! — powiedział sobie — W najgorszym razie skorzystam z okazji.

Mina jego świadczyła jednak, że myśli o innych zgoła sprawach, jak awanturki miłosne.

Rozpakował torbę podróżną. Było w niej tylko trochę bielizny i kilka książek do nabożeństwa. Ułożył wszystko na półkach stojącej pod ścianą szafy. Przypadkiem upadła jedna z książek na podłogę, która wydała głuchy ton. Natychmiast zgasił

świecę, zaryglował drzwi i zaczął badać podłogę przy nikłym brzasku, przenikającym z poza firanki Smeraldiny. Po pewnym wysiłku udało mu się wyjąć jedną z fliz, ułożoną szczelnie, ale bez cementu i znalazł pod spodem dość dużą dziurę, około stopy w kwadrat mającą. Szybko zrzucił zwierzchnie odzienie i zdjął ciężki pas z mnóstwem kieszeni, jakim był opasany. Włożył go w otwór, ale nagle wstrzymał się.

— Nie, — rzekł do siebie — to może być pułapka. Nie pierwszy to raz policja urządza takie kryjówki w pokojach gościnnych, by przy rewizji wiedzieć odrazu gdzie szukać. Jest to zbyt powabne, by można zaufać.

Włożył z powrotem flizę na miejsce i zaczął szukać lepszego umieszczenia dla swych tajemnic. Okno, na zaułek wychodzące, opatrzone było kratą, pozwalającą na przesunięcie ramienia. Otwarł je i macał zewnątrz po murze. Znalazł tuż pod gzymsem niewielki otwór, w którym mieszkały, zda się, swego czasu nietoperze. Nie można go było dostrzec z dołu, z góry zaś zakrywał wszystko szeroki gzyms. Bez szmeru poszerzył sztyletem otwór, usuwając wapno i drobne kamyczki, i za chwilę udało mu się wsadzić w tę dziurę swój pas. Gdy skończył, uczuł na czole zimny, kroplisty pot. Zbadał raz jeszcze, czy nie wystaje gdzie kawałek rzemienia, lub sprzączki, potem zaś zamknął okno. W godzinę

później leżał ubrany na łóżku i spał. Komary brzęczały nad jego czołem, ptactwo nocne polatywało obok otworu, w którym ukrył skarb swój, ale wargi śpiącego były szczelnie zawarte i nawet przez sen nie mogły wyjawić słowa tajemnicy.

Tejże samej nocy siedział w Weronie przy lampie, w pokoju o zamkniętych szczelnie okiennicach, człowiek samotny i czytał list, który mu dnia tego o zmierzchu wsunął niepostrzeżenie w dłoń, w pobliżu Amfiteatru, jakiś kwestujący kapucyn. List nie miał adresu, ale na pytanie czy wie napewno, iż list oddaje we właściwe ręce, odparł kapucyn, że każde dziecko w Weronie zna dobrze, jak ojca swego, szlachetnego Angela Querini. Rzekłszy to, oddalił się posłaniec, a wygnańcowi, którego otaczał tak powszechny szacunek, że zwolniały przez to krępujące go więzy, udało się, mimo oczu szpiegów, zabrać list do domu. Czytał go teraz, a z ulicy dolatywały kroki straży, pilnującej domu.

„Do Angela Querini!

„Nie sądzę, byś pan pamiętał tę przelotną chwilę, w której zetknęliśmy się osobiście, tem więcej, że dzieli ją od dnia dzisiejszego dużo lat. Wychowałem się wraz z rodzeństwem w wiejskiej ciszy dóbr rodzinnych, we Friaulu i dopiero po śmierci rodziców rozłączyłem się z siostrą i młodszym bratem, a wnet porwał mnie z sobą zdradziecki wir życia Wenecji.

„Tutaj zostałem panu pewnego dnia przedstawiony w pałacu Morosinich i czuję dotąd spojrzenie, jakiem czyniłeś pan przegląd nas, młodych, badając jednego po drugim. — Oto jest — mówiły oczy pańskie — pokolenie, na którego barkach spoczywają przyszłe losy Wenecji. — Wymieniono panu moje nazwisko. Nieznacznie skierowałeś pan rozmowę na wielką przeszłość państwa, któremu służyli przodkowie moi; przemilczając dyskretnie to, com ja winien temuż państwu w czasie obecnym.

„Od tego dnia rozczytywałem się gorliwie w książce, na którą nie spojrzałbym inaczej, w dziejach mej ojczyzny, a rezultatem tego studjum była taka odraza i groza, że, ulegając jej, opuściłem, na zawsze jak sądziłem, miasto, które dawniej władało rozlicznemi krajami i morzami, dziś zaś stało się nikczemną tyranją, słabą na zewnątrz, a krwawą i okrutną dla obywateli.

„Wróciłem do rodzeństwa i udało mi się poskromić światowe aspiracje brata przez odkrycie mu całej zgnilizny życia stolicy, tak ponętnej zdala. Nie wiedziałem jednak, niestety, że wszystko, com czynił dla jego i nas wszystkich ratunku, posłuży jeno do tem pewniejszej zguby.

„Znasz pan odwieczną zawiść możnowładców weneckich do szlachty Terrafermy. Czasu, kiedy zaszczytem było służyć macierzystemu miastu, nie zachodziła obawa, by oderwały się od państwa części

kraju, położone na stałym lądzie, ale teraz, kiedy nieuniknioną się stała z własnej winy zmiana światowego stanowiska Wenecji, możliwość tego oderwania jest źródłem najstraszniejszych intryg i zbrodni.

„Przemilczę o tem, com widział w pobliżu naszej prowincji, o perfidnych metodach, jakiemi się posługiwano dla złamania i zniweczenia samoistności i niezależności szlachty friaulskiej, o hordach brawów, wysyłanych na poskromienie opornych, oraz o bezliku dekretów amnestyjnych, jakiemi zmywano z ich sumienia każdy czyn karygodny. Wiesz pan dobrze, w jaki sposób szerzono spory wśród rodzin, zatruwano przyjaźń, jak zdradą i chytrością rozrywano najściślejsze związki krwi... Wszystko to zna pan lepiej ode mnie.

„Niedługo chroniło i mnie też wspomnienie lekkomyślnego i hulaszczego życia, jakie wiodłem w Wenecji od podejrzenia, że mógłbym się stać niebezpiecznym. Wniosłem prośbę o pozwolenie wydania siostry mej za pewnego Niemca wysokiego rodu, a rząd odmówił stanowczo. Powzięto podejrzenie, że ja i brat mój działamy w myśl polityki cesarskiej, i postanowiono nas ukarać.

„Zażalenie prowincji na gubernatora rządzącego, podpisane również przez nas obu, dało Inkwizycji asumpt do schwytania nas w swą sieć.

„Brat mój zawezwany został do Wenecji celem usprawiedliwienia się. Zaraz po przybyciu wtrącono

go do ołowianych komór i starano się zmusić do zeznań pogróżkami, oraz ponętnemi obietnicami. Czynów swych nie potrzebował ukrywać, były bowiem zgodne z prawem i nie mógł zeznać nic ponad to, żeśmy niczego nie podjęli przeciw państwu. Musiano go wypuścić, ale mowy o tem nawet nie było, by go miano uznać niewinnym.

„Sam go listownie prosiłem, by zaraz nie wracał, gdyż obudziłoby to nowe podejrzenie. Woleliśmy raczej czekać nań przez kilka miesięcy. Gdy przybył nareszcie, okazało się, że go stracić musimy na zawsze. Zmarł od powolnie działającej trucizny, którą mu zadano w potrawach w pewnym domu, gdzie się zbierała arystokracja miasta.

„Nie zdążyłem jeszcze postawić pomnika na jego grobie, gdy gubernator prowincji wystąpił z prośbą o rękę siostry mojej. Odrzuciła z oburzeniem propozycję, a w uniesieniu wymknęły jej się słowa, których echo miało rozbrzmieć w sali Trybunału inkwizycyjnego.

„W tym samym czasie odbyła się narada w sprawie ostatniego wysiłku, jaki uczyniła szlachta friaulska, by poprawić położenie swoje. Trzymałem się zdala od wszystkiego, przekonany o bezcelowości rewolty, ale sumienie władców republiki podszepnęło im, że ja jestem winowajcą, bowiem dotknięty zostałem najsroższej i mszczę się za brata. Banda najemnych brawów napadła nocą willę naszą w górach.

Zebrałem do obrony domowników, a draby, widząc, że nam łatwo nie dadzą rady, podpalili dom z czterech stron. Uczyniłem wypad desperacki, biorąc kilku druhów i siostrę pośrodku, która również była uzbrojona. W chwili, gdym stanął na progu, silny cios w głowę pozbawił mnie przytomności.

„Zbudziłem się dopiero rankiem. Z willi została jeno kupa zgliszcz, siostra zginęła w płomieniach, a wierni obrońcy moi zostali wybici, lub spalili się, zapędzeni z powrotem do płonącego domu.

„Kilka godzin spędziłem, leżąc pośród dymiących szczątków, zapatrzony pół przytomnie w niebo i dopiero na widok zbliżających się chłopów wstałem na nogi. Wiedziałem dobrze, że, póki żyję, uważany będę za niebezpiecznego wroga, to też należało obudzić w prześladowcach pewność, że spocząłem wraz z siostrą w obszernej aż nadto mogile. Podczas wałęsania się po zgliszczach znalazłem portfel jednego z mych służących, który pochodził z Brescji i długo podróżował po świecie. Wziąłem jego dokumenty i oddaliłem się samotną drogą przez lesiste góry, nie spotkawszy nikogo, ktoby mnie mógł zdradzić. Chcąc się napić wody, przypadłem do małego jeziorka, a wówczas przekonałem się, że i postać ma zewnętrzna zdradzić mnie już nie może. W ciągu jednej nocy osiwiałem, a rysy me były niemal rysami starca.

„W Brescji bez żadnej obawy podałem się za mego służącego, wiedząc, że opuścił miasto w wieku chłopięcym i nie miał tam już krewnych. Przez lat pięć żyłem tam jak zbrodzień, bojący się światła i unikałem ludzi. Bezwład jakiś mnie ogarnął, jakby cios otrzymany poraził mi całą wolę.

„Dopiero na wieść o pańskiem wystąpieniu przeciw Trybunałowi przekonałem się, że wola moja została tylko chwilowo porażona. Śledziłem tok spraw w Wenecji z napięciem gorączkowem, które mnie odmłodziło i wróciło poczucie sił żywotnych. Po upadku szlachetnych i zuchwałych usiłowań pańskich wróciła rezygnacja, ale na chwilę jeno, bo niebawem przeniknął mnie żar zapału i powziąłem postanowienie, że dzieło pańskie, któregoś nie mógł dokonać drogą prawa i słuszności, ziszczę drogą gwałtu i straszliwej, sprawiedliwej zemsty, stając się niewidzialnym sędzią dla ratunku drogiej ojczyzny naszej.

„Plan swój zbadałem dobrze, rozważyłem jak należy i doszedłem do przekonania, że zamierzone czyny nie są zbrodnicze. Mam pewność zupełną, że ramię moje uzbraja przeciw tyranom nie nienawiść ku ich osobom, nie zemsta za własne nieszczęścia, nie słuszny gniew i ból za cierpienia rodziny. Jestem i będę wyłącznie obrońcą ludu, popadłego w niewolę tyranji, i wykonywać będę jeno wyroki, jakieby w innych okolicznościach głosiła zbiorowa wola tegoż

ludu. Nie kieruje mną pycha, ani żądza sławy, uważam jeno za obowiązek swój spłacić dług za bezczynnie spędzoną młodość, oraz odpowiedzieć godnie na spojrzenie pańskie, jakie na mnie padło przed laty w pałacu Morosinich.

„Niechże Bóg, którego opiece powierzam dzieło moje, użyczy mi, wzamian za wszystko, czego mnie pozbawił, tej łaski, bym mógł uścisnąć dłoń pańską w oswobodzonej Wenecji. Ufam, że nie odrzucisz pan mojej skrwawionej dłoni, której nie ujmie dłoń przyjaciela, bowiem ten, kto podjął dzieło kata, skazany jest na samotność dogrobową. Jeśli zaś zginę, to wiem, że pan, na którego szacunku jedynie mi zależy, przekonasz się przynajmniej, iż pośród młodego pokolenia znajdują się jeszcze ludzie śmiali, gotowi umrzeć za Wenecję.

„List ten doręczy panu człek zaufany, który zamienił strój sekretarza Inkwizycji na habit kapucyna, chcąc w ten sposób przebłagać Boga za zbrodnie, którym służył ongiś piórem swojem. Proszę spalić ten list. Pozdrawiam pana gorąco!

Candiano."

Wygnaniec skończył czytać i siedział dobrą godzinę, pogrążony w smutku głębokim, rozważając tragiczną treść listu. Potem spalił go nad świecą, rozsypał popiół po ruszcie kominka i zaczął chodzić po pokoju. Do rana zasnąć nie mógł, zaś nieszczęśnik, którego spowiedź przyjął przed chwilą, spał sma-

cznie jak ten, który ufa w słuszność swej sprawy i wierzy w opiekę nieba.

Następnego ranka ruszył późno minionego wieczoru przybyły podróżny o wczesnej godzinie na miasto. Byłby może spał dłużej, mimo wesołego śpiewania Marietty, ale rozbudziło go trajkotanie wdowy i hałas, jaki robiła, zdolny nie tylko wypłoszyć każdego z domu, ale nawet przywrócić do życia zmarłego. Zatrzymał się na schodach, gdzie gospodyni siedziała już na swym stałym posterunku, i zaczął rozpytywać o adresy adwokatów i notarjuszów, których nazwiska spisał mu znajomy w Brescji. Dowiedziawszy się, poszedł, a wstrzymać go nie zdołała ani troskliwość wdowy o jego zdrowie, ani czerwona przepaska, którą na jego intencję Marietta przystroiła włosy. Pani Giovanna wysilała się zawsze na utrudnianie stosunków swych lokatorów z córką, tym atoli razem zdumiona była i niemal obrażona obojętnością Andrea, który zdawał się nie dostrzegać wcale uroczej dziewczyny. Ślepoty tej nie tłumaczyły dostatecznie jego siwe włosy. Musiał mieć jakieś wielkie strapienie, albo tak się czuł chorym, że znieść nie mógł widoku młodości i zdrowia. Mimo to kroczył raźno i elastycznie z piersią naprzód podaną, tedy choroba jego ukrytą była nader głęboko. Cera twarzy nie pozostawiała również nic do życzenia. Szedł ulicami Wenecji, a biegło za nim niejedno łaskawe spojrzenie kobiece, sama nawet Marietta spo-

glądała za nim z okna poddasza z pewnem zainteresowaniem.

Nie zważając na nic, zajął się swemi sprawami. Rozpytywał długo pani Giovanny o różne ulice, a ona mu zacytowała przysłowie: — Rzym leży na końcu języka! — Znalazłszy się w mieście, nie potrzebował jednak jakoś pytać i orjentował się doskonale w wirze ulic i kanałów. Przez kilka godzin chodził po adwokatach i notarjuszach, szukając posady, ale polecenia kolegów z Brescji nie czyniły na nich żadnego wrażenia i, mimo pokornej miny, wydawał im się podejrzanym. W pionowej zmarszczce jego czoła widniała duma, a bystrzejszy obserwator spostrzegał odrazu, że pracę, o którą zabiega, uważa z góry za nieodpowiednią i zbyt marną dla siebie. Nakoniec przyszedł do notarjusza, mającego biuro w bocznej uliczce Mercerii i zajmującego się widocznie różnemi pobocznemi sprawami. Ten go przyjął, dając mniej niż skromne warunki, na tydzień próby w charakterze pisarza. Pośpiech, z jakim wziął się do pracy, wzbudził w chlebodawcy podejrzenie, że jest on jakimś zubożałym nobilim, który, by żyć, podejmuje się każdej rzeczy, nie pytając długo o wynagrodzenie.

Andrea był jednak bardzo zadowolony z rezultatu swych starań, że zaś zbliżyła się właśnie pora obiadowa, wstąpił do pobliskiej szynkowni, gdzie siedzieli ludzie klas niższych przy nienakrytych sto-

łach i skromne jadło zapijali mętnem winem. Zajął miejsce przy drzwiach i spożył bez szemrania rybę na zjełczałym tłuszczu, odsunąwszy atoli wino, po skosztowaniu go.

Miał już zamiar płacić, gdy nagle zagadnął go w grzeczny sposób siedzący opodal człowiek. Nie dostrzegł go dotąd, ale teraz zauważył, że siedzi oddawna przy swej flaszce, nie je i za każdym łykiem krzywi usta. Oczy miał jakby ze znużenia przymknięte, ale z pod powiek śledził bacznie wszystko, co się działo w sali. Ze specjalnem zainteresowaniem oczy te spoczęły teraz na przybyszu z Brescji, który ze swej strony nie mógł w nim znaleźć nic ciekawego. Był to mężczyzna około trzydziestoletni, o jasnych, kędzierzawych włosach, a włosy te, łącznie z czarnym weneckim strojem zacierały wrażenie, iż jest pochodzenia żydowskiego. W uszach miał ciężkie złote pierścienie, na trzewikach sprzączki z wielkiemi topazami, ale kołnierz koszuli był zmięty, a kaftan, zrobiony z doskonałej wełny, świadczył, że od całych tygodni nie był czyszczony.

— Signore pić nie może tego wina! — rzekł półgłosem, pochylając się giętkim ruchem ku niemu — Signore wszedł oczywiście jeno przez pomyłkę, bo nie bywają tu goście z lepszych sfer.

— Przepraszam pana, — rzekł Andrea spokojnie, zadając sobie gwałt, by wogóle odpowiadać — nie zaliczam się do lepszych sfer.

— Widzę to ze sposobu, w jaki signore je, że nawykł do dobrego towarzystwa! — odparł żyd.

Andrea zmierzył go przenikliwem spojrzeniem, a tamten spuścił oczy. Potem przyszła mu myśl, skutkiem której zmienił ton i zaczął z niejaką poufałością.

— Jesteś pan dobrym znawcą ludzi! — powiedział — W istocie miałem ja lepsze czasy i piłem niefałszowane wino. Bywałem także w wyższych sferach mimo, że jestem synem mieszczanina i z trudem wielkim poduczyłem się prawa, nie mogąc atoli osiągnąć tytułu. Naraz wszystko się zmieniło. Ojciec zbankrutował, zbiednieliśmy całkiem i oto zostałem pisarzem notarjalnym, któremu nie należy się nic więcej jak to, co może dostać w tej szynkowni.

— Człowiek uczony ma zawsze prawo, by go szanowano! — zauważył żyd z obleśnym uśmiechem — Czułbym się szczęśliwym, gdybym Waszej Miłości mógł uczynić jakąś przysługę. Zawsze starałem się o towarzystwo ludzi mądrych i interesy moje pozwalają mi często zbliżać się do nich. Pozwolę sobie zaproponować Waszej Miłości szklankę wina lepszego niźli to, jakie pijemy...

— Nie stać mnie na to! — powiedział obojętnie Andrea.

— Będzie to dla mnie wielkim zaszczytem dać poznać obcemu starowenecką gościnność. Przytem

mógłbym panu służyć swem mieniem, stosunkami i znajomością miasta...

Andrea miał już dać wymijającą odpowiedź, gdy zauważył, że gospodarz, stojący w głębi przy bufecie, daje mu znaki łysą głową. Także inni goście, rękodzielnicy, przekupki i ludzie bez zajęcia, siedzący przy stołach, dawali mu mruganiem do poznania, że radziby coś powiedzieć w sekrecie. Andrea wstał pod pretekstem, że chce naprzód zapłacić, zanim da odpowiedź na uprzejme zaproszenie, i zbliżył się do gospodarza, pytając głośno, ile winien.

— Panie, — szepnął mu dobrotliwy starowina — strzeż się pan! To wielki drab. Inkwizytorowie płacą mu, by tropił cudzoziemców, którzy się tu zjawiają. Spójrz pan, kąt sali, gdzie siedzi, jest zupełnie pusty. Znamy go wszyscy i lada dzień wyrzuci go ktoś za drzwi. Niech go zresztą ma w swej opiece Bóg Abrahama! Ja znosić go muszę, by sobie nie poparzyć palców, ale wobec pana, jako obcego, muszę być szczery.

— Dziękuję, przyjacielu! — rzekł Andrea głośno — Wino pańskie jest nieco mętne, ale zdrowe! Do widzenia!

Wrócił na swoje miejsce, wziął kapelusz i powiedział do swego uprzejmego sąsiada:

— Chodź pan, jeśli wola. Niechętnym tu na pana spoglądają wzrokiem — dodał zcicha — Mają

pana za szpiega, jak to zauważyłem. Znajdziemy sobie inny kącik, by się zaznajomić lepiej.

Wąska twarz żyda pobladła.

— Na Boga! — powiedział — Mylą się ci ludzie! Ale nie mogę im brać za złe, że się strzegą, bowiem w Wenecji roi się wistocie od psów gończych Signorji. Interesy moje — dodał, gdy się znaleźli w ulicy — zmuszają mnie do bywania w tylu domach, że może się wydawać, iż chcę badać cudze tajemnice. Niech mi Bóg da sto lat życia, jak prawdą jest, że się ludźmi zgoła nie interesuję. Niech tylko płacą co winni i basta. Psembym był, mówiąc o nich źle!

— Sądzę jednak, drogi panie... jakież pańskie imię?

— Samuele.

— Panie Samuele, źle pan mówisz, zda mi się, o ludziach, którzy dla dobra państwa śledzą przestępstwa i spiski obywateli i nie dopuszczają do nich, zanim zdołają zaszkodzić republice.

Żyd przystanął, chwycił towarzysza za rękaw i spojrzał mu w oczy, potem zaś rzekł:

— Jakże mogłem nie poznać pana? Przecież nie przyszedłeś przypadkiem do tej podłej knajpy. Jak dawno pełnisz, kolego, swój urząd?

— Od pojutrza!

— Co? Natrząsasz się pan ze mnie?

— Nie! — odparł Andrea — Jest mojem silnem postanowieniem wstąpić do bractwa pańskiego. Po-

wodzi mi się, jak wspomniałem, źle, to też przybyłem do Wenecji dla poprawy losu. Pensyjka u notarjusza nie odpowiada wcale moim zdolnościom ani rozumowi. Wenecja to piękne, wesołe miasto, ale dźwięk złota, brzmiący w śmiechu kobiet, tem dotkliwiej przypomina mi biedę moją. Tak być dalej nie może!

— Cieszę się bardzo, żeś pan mnie zaszczycił zaufaniem, — powiedział żyd i zadumał się — ale muszę powiedzieć, — dodał po chwili — że ci panowie niechętnie biorą cudzoziemców, zanim odbędą z nimi próbę i przyjrzą im się zdala. Tymczasem mogę panu wygodzić, posiadam trochę grosza, a od przyjaciół biorę niski procent.

— Dziękuję panu, signor Samuele, — odpowiedział Andrea spokojnie — protekcję pańską nierównie wyżej cenię i proszę o nią uprzejmie. Oto dom, gdzie mieszkam, nie zapraszam narazie, gdyż mam mnóstwo roboty dla mego chlebodawcy. Nazywam się Andrea Delfin. Przypomnij pan sobie o mnie, gdy nadejdzie czas, kiedy będę potrzebny. Andrea Delfin, calle della Cortesia!

Powiedziawszy to, uścisnął dłoń dziwnemu przyjacielowi swemu i wszedł, a Samuel stanął chwilę jeszcze, spozierając na dom i jego otoczenie. Miał przytem minę wyrażającą powątpiewanie i namysł, oraz mamrotał coś, co miało znaczyć, że nie tak łatwo przyjdzie Brescianinowi odbyć próbny czas służby.

Andrea, znalazłszy się u szczytu schodów, musiał wyspowiadać się pani Giovannie z wszystkiego. Była niezadowolona, że znalazł tak lichą posadę i oświadczyła, że nie spocznie, póki mu nie znajdzie czegoś korzystniejszego i zaszczytniejszego. Potrząsnął głową i zaręczył, że mu to wystarcza na krótki czas, jaki żyć jeszcze będzie.

— Nie gadaj pan w ten sposób! — krzyknęła z pasją — Mężczyzna powinien zmierzać ku wszystkiemu co dobre, a unikać zła. Wszakże człowiek oblizuje się po miodzie, a spluwa po piołunie. Spójrz pan, jak ślicznie świeci słońce i wstydź się, że wracasz już do domu, gdy na Piacecie gra muzyka, a po Placu św. Marka spacerują ludzie piękni, bogaci i wytworni. Tam się znajdować powinieneś, signore Andrea, a nie w swym pokoju!

— Nie jestem ani piękny, ani bogaty, ani wykwitny, droga pani!

— Nie masz pan ochoty przyjrzeć się ludziom? spytała i dodała, obejrzawszy się spiesznie, czy niema Marietty w pobliżu — A możeś pan zakochany?

— Nie, pani Giovanno!

— Może pan uważasz wesołość za grzech? Widziałam książki na stole u pana, zaprawdę po raz pierwszy zdarza mi się, by młodzi ludzie mieli książki nabożne. Miły Boże, dzisiejsza młodzież żyje wedle zasady, że żywot bezbożny, a śmierć świątobliwa to kapitalny figiel wypłatany szatanowi. Co-

prawda, w Wielki Piątek nawet wróble na dachu poszczą... Cóż pan na to?

— Droga pani, — powiedział z uśmiechem — troszczy się pani o mnie wielce, ale trud daremny. Najlepiej mi, gdy siedzę cicho przy pracy. Proszę, uczyń mi pani przysługę, dostarczając kałamarza, piór i kilku arkuszy papieru.

Niebawem wszystko to przyniosła mu Marietta i zastała siedzącego w milczeniu u okna. W tej samej pozycji znalazła go, wnosząc wieczorem światło. Spytała co chce na kolację, a on poprosił o wino i chleb. Nie śmiała spytać, czy mu dokuczają komary i czy chce, by je wykadziła.

— Mamo! — zawołała, siadając na schodach — Nie pójdę już nigdy do niego. Ma takie oczy jak męczennik w bocznej kaplicy San Stefano. Śmiać się nie mogę, gdy na mnie spojrzy.

Ciekawa rzecz, coby powiedziała, wszedłszy w kilka godzin potem do pokoju. Noc zapadła, wiatr szumiał po kanale, a on stał w otwartem oknie zatopiony w rozmowie z pokojówką, starając się nadać swym oczom wyraz swawolny i światowy.

— Piękna Smeraldino, — mówił — nie mogłem się doczekać chwili, kiedy cię zobaczę. Przechodząc koło jubilera, wspomniałem cię i kupiłem szpilkę z filigranu. Jest to wprawdzie drobiazg, ale w każdym razie nie tak fałszywy, jak agrafy twego turbanu. Otwórz szerzej okno, a rzucę ci podarek, ufając,

że sam kiedyś odbędę tę podróż napowietrzną, by ci paść do stóp.

— Miły z pana chłopiec! — zawołała i chwyciła w obie dłonie klejnocik, który jej rzucił, owinąwszy go w papier — Ach, jakiż pan ma gust! Mówiłeś, że jesteś biedny! Doprawdy należy mi się dziś jakaś pociecha. Miałyśmy dziś w domu dużo przykrości i hrabina jest w fatalnym humorze. Kochanek jej, młody Gritti, syn senatora, nie pokazał się przez całą dobę. Posłała doń, ale go nie było w domu. Wszyscy są pewni, że Trybunał kazał go potajemnie uwięzić. Hrabina wpadła w szał, nie przyjmuje nikogo, leży na kanapie i płacze, a gdym się zbliżyła, chcąc ją pocieszyć, wybiła mnie.

— Nie wiesz, o co obwiniają młodzieńca?

— Nie wiem. Przysięgnę, że do końca życia zostanę dziewicą, jeśli on cośkolwiek planuje przeciw państwu! Boże drogi, ma dwadzieścia trzy lat, a na myśli mu tylko moja hrabina... no i karty także. Ci panowie z Inkwizycji umieją jednak z pajęczyny ukręcić postronek dość mocny, by zadusić najtęższego człowieka. Kto wie zresztą, czy cała rzecz nie jest wymierzona przeciw ojcu jego, senatorowi.

— Dziecko, — powiedział zcicha — wyrażaj się nieco oględniej o naczelnych władcach tego miasta. Mądrość przodków ustanowiła ich, a potomkowie nie powinni lekkomyślnie burzyć tego porządku rzeczy.

Dziewczyna spojrzała, jakby się chciała przekonać, czy mówi na serjo, ale z wyrazu twarzy Andrea niewiele mogła wyczytać.

— Dajże pan pokój! — powiedziała — Nie cierpię gadania w poważnym tonie. Dopieroś pan przybył, tedy czujesz szacunek dla starych morderców i katów, którzy zdaleka przedstawiają się bardzo czcigodnie. Ale ja widywałam ich zbliska przy stoliku faraona u mej pani i powiadam: wszyscy do jednego są to ludzie jak prarodzic Adam.

— Być może, moje dziecko, — odparł — ale nie przystoi zwyczajnemu obywatelowi wieść u otwartego okna tak zdradliwej rozmowy. Gdyby doszło do niewłaściwych uszu, że jednostki będące wcieleniem sprawiedliwości i władzy uważamy za grupkę zwyczajnych śmiertelników, to ciebie może, moja mała, ocaliłaby piękność twa, ja jednak musiałbym się udać w wiadomą podróż, zamieniając pokój przy calle della Cortesia na szczuplejszą stancyjkę w studni *), albo w ołowianych komorach.

— Możemy mówić całkiem swobodnie, — zapewniła Smeraldina — niewiele okien wychodzi na kanał, a przytem o tej porze nikt się tu nie kręci. Po pańskiej stronie jest głuchy mur, a nikt nie bierze za lustro brudnej kloaki, skoro może sobie inaczej poradzić. Ale wiesz pan co? Oto mógłbyś przyjść do mnie na jakąś godzinkę, byłoby nam wygodniej

*) Więzienie pod dnem morza.

paplać, a przytem szklanka dobrego muszkatelera z Samos i partyjka taroka zbawiennieby oddziałała na moje nerwy, wzburzone policzkami hrabiny.

— Chętnie, drogie dziecko, — odparł — ale to zwróci uwagę, a wątpię też, czy gospodyni wpuści mnie po północy.

— To zbyteczne! — zaśmiała się — Nie trzeba nakładać drogi. Mam w pokoju deskę, która posłuży za most. Można sobie niemal ręce podać przez szerokość kanału, czemużby tedy nie można dostać się nogami? A może pan cierpisz na zawrót głowy?

— Nie, droga przyjaciółko! Zaczekaj moment, a zaraz będę gotów!

Andrea zgasił światło, zaryglował starannie drzwi, posłuchał, czy wszyscy w domu śpią i przystąpił ponownie do okna. Smeraldina miała widocznie wprawę w budowie mostów tego rodzaju, gdyż deska leżała równo i pewnie, oparta o gzyms i dość silna, by unieść ciężar człowieka. Dała mu znak, a on wstąpił na gzyms, potem na deskę, spojrzał pewnem okiem w głąb, a potem, uczyniwszy jeden spokojny krok, znalazł się w pokoju nadobnej subretki. Chwyciła go w ramiona, a usta jej musnęły jego policzek. Ale Andrea wolał przybrać taką minę, jakby obecność pięknej dziewczyny napełniała go nieśmiałością i szacunkiem, co ją wprawiło zresztą w niemałe zdumienie. Zdjęła z powrotem deskę, dobyła z szafy karty i wino, przysunęła stół

do otwartego okna i niebawem dziwna para zatonęła w poufałej rozmowie. Dziewczyna miała ciągle na głowie czerwony turban, który podczas budowania mostu przekrzywił się tylko nieco na bok. Otrzymaną w podarku szpilkę zatknęła powabnie na gorsie.

Właśnie nalewała sobie drugą szklankę, przyganiając gościowi, że tak pomału pije i nie chce się rozkrochmalić, gdy nagle z głębi domu rozległ się donośnie dzwonek.

— Widzisz pan, jakie wiodę życie! — zawołała, rzucając niechętnie karty — Nie mam godziny spokojnej. Odesłała mnie spać, mówiąc, że się sama rozbierze, a teraz przeszkadza mi w rozrywce o tak późnej porze. Ale zaczekaj pan, przyjacielu drogi, chwilkę, a wrócę za jakieś dziesięć minut.

Wymknęła się, a Andrea nie przybrał miny jakby mu dolegała samotność. Zbliżył się do okna i uważnie zbadał ścianę pomiędzy swojem oknem a kanałem. Nie była wyższa nad dwanaście stóp, a wapno zwietrzałe przez wilgoć odpadło, odsłaniając kamienie o powierzchni dostatecznie chropawej, by w razie potrzeby zejść po nich na dół. Pod oknem subretki, jak to już zauważył minionego wieczora, wychylały się tuż nad wodę kamienne schody, u których chwiała się przymocowana do pala gondola, miejsce zaś było tak wąskie, że zaledwo druga jeszcze gondola przesunąć się tędy mogła.

— Trudno sobie wymarzyć coś lepszego! — mruknął zadowolony wielce.

Zapatrzył się w kanał, rozlany w zupełnej ciemności wśród brzegów, utworzonych przez mury, i naraz zauważył na końcu jego wątłe światełko. Zbliżało się zwolna, a po chwili usłyszał uderzenia wioseł. Nadpłynęła gondola i zatrzymała się u schodów pod oknem. Cofnął się przez ostrożność, tak, by nie zostać dostrzeżonym, ale zobaczył jakąś męską postać, która wstała i wstąpiła na schody. Załomotała trzy razy silnie kołatka, z wnętrza zaś domu głos jakiś zapytał przez drzwi, kto przybywa i czego chce.

— Otwierać w imię Najdostojniejszej Rady Dziesięciu! — powiedział mężczyzna, a służący usłuchał niezwłocznie i niebawem brama zamknęła się za tajemniczym gościem.

Niedługo wróciła do pokoju swego Smeraldina, była wzburzona, włosy miała w nieładzie i pałające policzki.

— Czyś pan słyszał? — szepnęła — O Boże! Zabiorą moją hrabinę, uduszą ją, utopią, a któż mi wówczas zapłaci półroczną pensję, jaką mi jest dłużna?

— Nabierz otuchy, dziecino, posiadająca tak wrażliwe serduszko! Póki masz przyjaciół, nie zostaniesz w przykrem położeniu. Uczyniłabyś mi wielką przysługę, kryjąc mnie gdzieś, tak, bym mógł słyszeć czego chce od pani twej dostojna Rada. Cu-

dzoziemcowi można przebaczyć tę ciekawość, poza tem zaś jestem prawnikiem, pracuję u adwokata, przeto mógłbym w razie publicznego oskarżenia oddać twej pani pewne usługi.

Namyślała się.

— To nietrudna rzecz, — powiedziała — miejsce jest zupełnie pewne i sama nieraz tam siedziałam, własnym nie mogąc wierzyć uszom i oczom. Ale gdyby pana mimo to odkryto?

— Wszystko biorę na siebie, droga moja! — zawołał — Nikt się nie dowie w jaki sposób zdołałem tam dotrzeć. Oto trzy cekiny na wypadek, gdybym ci potem nie mógł osobiście podziękować. Jeśli jednak sprawa pójdzie dobrze, to wiedz, że tę niewielką sumkę, jaką posiadam, chętnie podzielę z rozsądną przyjaciółką.

Schowała bez namysłu pieniądze, otworzyła żywo drzwi i nadsłuchiwała chwilę, co się dzieje w kurytarzu.

— Zdejm pan trzewiki! — szepnęła — Daj mi rękę i idź śmiało tam, gdzie powiodę! W całym domu śpi wszystko, prócz odźwiernego.

Zgasiła światło i pomknęła kurytarzem, ciągnąc go za sobą. Przeszli kilka ciemnych komnat, poczem dziewczyna otworzyła drzwi wielkiej sali balowej, rozjaśnionej nieco poświatą, płynącą od trzech wielkich okien we frontonie pałacu. Pod jedną ze ścian mieściła się estrada dla muzyki.

— Cicho! Ostrożnie! — szeptała, spinając się w górę — Schody trzeszczą trochę! Zostawiam tu pana. Znajdziesz szparę w przepierzeniu, przez którą zobaczysz pan i usłyszysz wszystko. Obok jest salon przyjęć hrabiny. Gdy goście odejdą, przyjdę po pana, proszę się nie ruszać z miejsca aż wrócę!

Odeszła, a on wszedł bez wahania na sam wierzch i, sunąc omackiem, dotarł do snopa światła, dobywającego się wąską szparą. Salę odgradzało od saloniku jeno drewniane przepierzenie, bo w dawnych, lepszych czasach obie ubikacje stanowiły jedną, wspaniałą halę. Światło padało od wysokiego srebrnego wieloramiennego kandelabra, stojącego na stole przed kanapą, niepewne blaski rzucając po malowidłach ściennych i obrazach. Andrea musiał skulić się w pozycji nader niewygodnej, ale niejeden byłby mu pozazdrościł, nawet gdyby szło o samo patrzenie.

Pokojówka miała rację, twierdząc, że pani jej szminkuje się nadmiernie, ale zaprawdę czyniła to raczej dla mody, nie zaś by zmuszoną była uciekać się do kosmetyków. Siedziała na sofie w ubraniu nie obliczonem w istocie na późne odwiedziny. Bujne jej, nieco czerwonawe włosy spływały w naturalnych lokach, zapłakane oczy połyskiwały przedziwnie, a na pełnych, bladych policzkach widniały ślady łez. Siedzący przed nią mężczyzna, zwrócony tyłem do Andrea, przyglądał jej się bacznie, nie poruszając głową,

nie wtrącając słowa, ni gestem nie przerywając gwałtownych jej słów.

— Dziwię się, zaprawdę — mówiła hrabina głosem wezbranym goryczą i bólem, który również malował się w wyrazie twarzy — dziwię się bardzo, że pan masz jeszcze śmiałość zjawiać się u mnie, zdeptawszy w tak nikczemny sposób wszystkie uroczyste przyrzeczenia swoje. Czyż poto oddałam wam rozliczne przysługi, byście mną poniewierali? Cóżeście zrobili z przyjacielem moim, jedynym, na którym mi zależało, a którego obiecaliście oszczędzić w każdym razie? Czyż nie było już innego do zapełnienia pustej celi więziennej? Cóż podejrzanego znaleźć w nim mogliście, czemże zawinił przeciw republice, tak że musiała nań i na mnie zarazem zawisnąć okrutna kara wygnania i rozłąki? Nie kryłam się nigdy, że go kocham i że wrogiem mym będzie ten, przez kogo włos jeden spadnie z jego głowy. Oddajcie mi go, albo zerwę wszelkie stosunki raz na zawsze, wyjadę z Wenecji, udam się doń na wygnanie i dam wam odczuć ileście stracili przez haniebną zdradę waszą. O, czemuż dałam się skusić, by zostać waszem narzędziem?

— Zapominasz, hrabino, — powiedział — że posiadamy środki udaremnienia wyjazdu pani, a gdyby się nawet powiodło uciec, ramiona nasze sięgają tak daleko, że dosięgłyby pani w każdej kryjówce i zniweczyły niechybnie. Młody Gritti zasłużył na karę. Mimo ostrzeżeń, jakie otrzymał, podtrzymywał da-

lej ścisłe stosunki z sekretarzem ambasady autrjackiej, człowiekiem wtajemniczonym w całą robotę wrogów naszych. Prawa weneckie zabraniają tego surowo, jak pani wiadomo. Ponad to przejęto list Queriniego z pochwalną wzmianką o tym lekkomyślnym młodzieńcu. Postąpiliśmy po ojcowsku, usuwając go, zanimby się dopuścił cięższych przestępstw. Wiemy atoli także cośmy winni pani, Leonoro, i dlatego mnie tu przysłano z poleceniem udzielenia wskazówek, co czynić należy, by złe naprawić, a jeśli pani weźmie się rozsądnie do rzeczy, wszystko będzie dobrze.

— Dość mam już waszych zleceń i rozkazów! — zawołała porywczo — Dzień dzisiejszy przekonał mnie, że prędzej czy później zginę marnie, jeśli wam zaufam i uwierzę we wdzięczność waszą za świadczone przysługi, lub przynajmniej, że oszczędzicie mi przykrości i zniewag. Nie potrzebuję was, nie chcę od was niczego, wszystko skończone, co było pomiędzy mną a wysokim rządem, który traktuje równie bezwzględnie przyjaciół, jak wrogów swoich.

— Szkoda tylko, — wtrącił słuchacz — że pani jest nam jeszcze potrzebna, że domagamy się czegoś od pani, a przeto narazie mowy być nie może o zrywaniu stosunków. Pojmie pani, Leonoro, że nie byłoby dobrze puszczać pani, która znasz tyle tajemnic republiki, za granicę, gdzie mógłby cię opętać djablik, grasujący współcześnie i nakłonić do pisania „me-

moirów.“ O nie, Wenecja i pani to istoty nierozłączne, a dałaś, Leonoro, zbyt wiele dowodów rozumu, wyższego nad kaprys kobiecy, byśmy ufać nie mieli, że przyjdzie do zgody.

— Niema mowy o zgodzie! — zawołała namiętnie i łzy napłynęły jej do oczu — Cóżby zresztą warta była zgoda? Nie jestem do niczego zdolną, nie mogę zebrać myśli, gdy nie mam przy sobie biednego mego Gritti!

— Będziesz go miała, Leonoro, tylko nie zaraz, bo nagły jego powrót pokrzyżowałby plany nasze.

— Jakże długo mam czekać? — spytała, patrząc nań błagalnie.

— Od pani samej to zależy — odparł — Ile czasu potrzeba ci, Leonoro, by rzucić do stóp swoich młodzieńca, posiadając go dotąd sławę bohatera cnoty?

Twarz jej przybrała wyraz zaciekawienia, a znikł dotychczasowy ból i rozpacz.

— O kim pan mówisz? — spytała.

— O owym, zaprzyjaźnionym z Grittim, Niemcu, sekretarzu ambasady wiedeńskiej. Zna go pani przecież.

— Widziałam go na ostatnich regatach. Pokazał mi go Gritti.

— To jedynka przed zerem, jakiem jest szef jego. Mamy wszelkie dane, że pracuje on w cichości nad wykorzystaniem dla celów swego suwerena wystą-

pienia Queriniego i pozyskania dlań jego licznych zwolenników. Jest niezwykle chytry, a czterej wywiadowcy, którymiśmy go otoczyli, nie mają dotąd żadnego dowodu w ręku, mimo, że są to funkcjonarjusze ambasady. Inkwizytorowie mają do pani wielkie zaufanie, Leonoro, i pewni są, że znajdziesz klucz do tej hermetycznie zamkniętej kasy, jak się to pani już nieraz powiodło. Ale sprawa była niemożliwa, jak długo stał pomiędzy nim a panią Gritti, jego wyjazd toruje drogę i daje asumpt do zbliżenia z tym nieprzystępnym człowiekiem. Przyjaciółka utraconego przyjaciela musi w nim wzbudzić zaufanie, a wspólna niedola ułatwi wam porozumienie. Reszta to rzecz wdzięków pani, które posiadały zawsze moc nieodporną, natrafiając na opór.

Zamyśliła się na chwilę. Czoło jej rozpogodziło się, oczy nabrały śmiałego, dumnego wyrazu, piękne, pełne usta rozwarły się napoły, a uśmiech wypłynął na wargi.

— Przyrzekacie, że Gritti wróci niezwłocznie, gdy wam wydam Niemca?

— Przyrzekamy!

— Niedługo upomnę się o dopełnienie zobowiązania.

Wstała, odrzucając mokrą od łez chustkę. Andrea nie mógł przez wąską szparę śledzić jej, gdy chodziła po komnacie. Ale to, co widział, napełniło go podziwem. Miała postawę iście królewską, snuła

myśli nowych zwycięstw, stąpając zwolna po dywanie, oczy jej były szeroko rozwarte, a włosy odrzuciła wstecz. Gdy jej spojrzenie musnęło ścianę, poza którą był ukryty, zadrżał mimowoli, jakby go mogła dostrzec.

Gość wstał z fotelu, ale ślepy, zda się, na wdzięki hrabiny, ciągnął dalej oschłym, urzędowym tonem:

— Nuncjusz coraz to rzadziej bywa w domu pani. Zbyt otwarcie okazywała pani w czasach ostatnich swe światowe skłonności, zwłaszcza karty rozwielmożniły się tu skandalicznie. Dobrzeby było, gdybyś pani odczuła teraz znowu niejakie potrzeby duchowe. Konszachty papistów z Francją przybierają niepokojące rozmiary.

— Możecie na mnie liczyć! — powiedziała.

— Jedno jeszcze, Leonoro. Kwota, którą winni pani jesteśmy za kolację Candiana...

Zadrżała, jakby ukąszona przez żmiję, i stanęła blada, skamieniała.

— Na miłość boską, — zawołała — nie wspominaj pan tego! Daj pan resztę tej sumy księżom, by odprawili mszę za jego duszę i... za moją także. Ile razy usłyszę to nazwisko, wydaje mi się, że grzmią trąby Sądu Ostatecznego!

— Dziecko z pani, Leonoro! — powiedział gość — Odpowiedzialność za tę kolację my ponosimy, nie pani. Był zbrodniarzem, a tylko stanowisko jego i wpływy zmusiły nas do potajemnego wymiaru

kary. Zmarł spokojnie we własnem łóżku, a nikt wiedzieć nie może, że z domu pani wyniósł śmierć. Czy może pogłoski tego rodzaju doszły cię, Leonoro?

Drżała jeszcze i miała oczy spuszczone.

— Nie! — odrzekła — Ale w nocy budzi mnie głos, szepcący mi to do ucha. Ach, tego nie powinnam była uczynić, tego jednego należało odmówić!

— To przywidzenie, Leonoro! Trzeba się przezwyciężyć! Otóż, jak chciałem powiedzieć, pieniądze złożone są dla pani u Marchesiego. A teraz dobranoc, hrabino! Zabrałem pani zbyt wiele czasu. Śpij pani spokojnie, a jutro niech słońce twej piękności zabłyśnie jasno nad sprawiedliwymi i grzesznikami. Dobranoc, Leonoro!

Skłonił się zlekka i podszedł ku drzwiom. Przelotnie mógł jeno dostrzec Andrea jego rysy, wyraz twarzy był chłodny, ale nie twardy, było to oblicze bezduszne i beznamiętne, a czoło i brwi przejawiały ogromną, świadomą siebie wolę. Wdział maskę i zarzucił na ramiona czarny płaszcz, leżący u wnijścia. Potem wyszedł spokojnie, nie czekając na jej pożegnanie.

W tej chwili posłyszał Andrea pod sobą szept pokojówki, wzywającej go, by zszedł na dół. Usłuchał, spojrzawszy raz jeszcze na piękną kobietę, która stała zadumana na środku komnaty, spoglądając za gościem swoim. Zataczając się jak po otrzymanym ciosie, z trudem dostał się na dół i bez

słowa ruszył za biegnącą przodem dziewczyną. Zaświeciła ponownie, gdy wrócili do jej pokoju, wino stało na stole i leżały porzucone karty, jakby nic nie zaszło. Tylko oblicze Andrea oblekł cień niesamowity, który napełnił trwogą nawet lekkomyślną Smeraldinę, tak że porzuciła wszelkie na tę noc nadzieje.

— Wyglądasz pan, jakbyś ujrzał ducha! — powiedziała — Dalejże, wypij pan szklaneczkę wina i opowiedz, co się działo. Jakoś się lepiej skończyło, niżeśmy przypuszczali.

— O, niezawodnie — odrzekł z przymusem, lodowatym tonem — Ci panowie bardzo dobrze życzą twej pani, możliwe nawet, że niebawem wypłaci ci ona zaległą pensję. Zresztą rozmawiali tak cicho, żem niewiele słyszał, teraz atoli czuję straszliwe znużenie, wywołane klęczeniem na twardych deskach. Innym razem lepiej pociągnę twego wina, dziecko, dziś muszę iść spać!

— Nie powiedziałeś mi pan jeszcze, czy ją uważasz za tak piękną jak inni! — zawołała, robiąc zadąsaną minkę, niezadowolona z małomówności przyjaciela.

— Piękna jest jak anioł i szatan jednocześnie! mruknął przez zęby — Dziękuję ci, madamigello, żeś mi dopomogła. Innym razem zabawimy się, jak należy, dziś zostałem sowicie ukarany za swą ciekawość. Dobranoc!

Wstąpił na gzyms i deskę, którą pełna niechęci przerzuciła ponownie nad przepaścią. Z wysokości spojrzał w kanał i dostrzegł niknące w dali światełko gondoli. Pozdrowił raz jeszcze Smeraldinę, potem zaś zeszedł ostrożnie do swego pokoju, zaś dziewczyna zadumała się głęboko, nie mogąc w żaden sposób pojąć zachowania się przyjaciela i pogodzić ze sobą jego ubóstwa, szczodrobliwości, siwych włosów i żądzy przygód.

Minął tydzień, ale zwycięstwo Smeraldiny nad sąsiadem nie wydało żadnych pozytywnych rezultatów. Raz tylko, zjednawszy sobie odźwiernego, wpuściła go zamaskowanego bramą, wywiodła na schody i wsiadła do gondoli. Wypłynąwszy z sieci kanalików na szerzyznę, jeździli przez godzinę powoli, ale mimo dobrej okazji i tym razem nie okazał się czułym. Sama jeno Smeraldina paplała, opowiadając różne historje z wielkiego świata, w których jej hrabina znaczną grała rolę. Dowiedział się, że od kilku dni sekretarz austrjackiej ambasady bywa coraz to dłużej u jej pani i oboje naradzają się widocznie, jakby doprowadzić do powrotu Grittiego. Hrabina miała teraz lepszy humor, czasem nawet wpadała w wesołość i pewnego dnia obdarowała hojnie pokojówkę. Andrea słuchał, jakby od niechcenia, zajęty wyłącznie kierowaniem gondoli. Rozmowa się nie kleiła, to też Smeraldina rada była, gdy wreszcie nawrócił i najkrótszą drogą do-

tarł do domu. Bez szmeru wjechali w wąską szyję. Gdy wysiedli, Andrea otoczył pal łańcuchem i poprosił o klucz od kłódki, by przytroczyć gondolę. Podała mu go i już miała wejść, gdy szepnął, że w pośpiechu klucz wysunął mu się z ręki i wpadł w wodę. Zmartwiło ją to, ale ze zwykłą lekkomyślnością pocieszyła go przypuszczeniem, że musi być w domu klucz drugi. Tym razem musiał ją pocałować w policzek, gdy się żegnali pod bramą pałacu około północy.

Nazajutrz powiedział gospodyni, pani Giovannie, że miał bardzo dużo roboty dla swego chlebodawcy, co mu zajęło część nocy. Raz to jedyny potrzebował klucza od bramy, zazwyczaj bowiem wracał już o zmierzchu, jadł chleb, pił wino i wcześnie gasił światło, a zacna kobieta nie mogła się dość nachwalić jego pracowitości i nienagannego sposobu życia. Przyganiała mu tylko, że nie dba o siebie i odmawia sobie dozwolonych przyjemności i rozrywek, przez co przedłużyłby sobie niewątpliwie życie. Marietta słuchała zazwyczaj tych peror w milczeniu z oczyma utkwionemi w podołek. Nie śpiewała, gdy Andrea był u siebie, i zdawało się, że od czasu jego przybycia więcej myśli przesunęło jej się przez głowę, niż przedtem w ciągu całego roku.

Rankiem w drugą niedzielę, jaką spędził Andrea w domu wdowy, wpadła do jego pokoju pani

Giovanna, ubrana odświętnie, bo wracała wprost z kościoła. Siedział przy stole, niezupełnie jeszcze ubrany i czytał jedną ze swych książek nabożnych. Twarz miał bledszą niż zazwyczaj, ale spojrzenie jego było spokojne. Zdawał się niezadowolonym z przerwania modlitwy i rozmyślań.

— Jakto? — zawołała — Pan siedzisz spokojnie w pokoju, gdy cała Wenecja szaleje? Ubierajże się pan co prędzej i wyjdź na ulicę, a napotkasz pan tam więcej przerażonych twarzy, niźli ziarn zboża we młynie! Jezu drogi! Czegoż to dożyliśmy! Zdawało mi się, że niczemu już nie zdziwię się w Wenecji!

— O czem pani mówi, droga signoro? — spytał obojętnym tonem, odkładając książkę.

Padła na stołek wyczerpana.

— Tłum pchał mnie aż do Piacetty! — zawołała — Widziałam członków Wielkiej Rady wchodzących gromadnie na schody Pałacu Dożów. Żałobne chorągwie powiewają z okien Prokuracji. Czy pan uwierzy? Dzisiaj, między jedenastą a dwunastą zamordowano najgłówniejszego z pośród trzech Inkwizytorów państwa, Wawrzyńca Venier, pod bramą własnego jego domu.

— Czy to był człowiek stary? — spytał Andrea spokojnie.

— Na miłość boską, jakimże pan tonem przemawiasz? — krzyknęła — Zupełnie jakby zmarł

spokojnie w łóżku. Coprawda nie jesteś pan Wenecjaninem i nie rozumiesz znaczenia mordu inkwizytora, członka Trybunału. To więcej niż sam doża, których wielu też zginęło w sposób podobny. Trybunał ma władzę, a doża jeno suknię. Najokropniejszem jest jednak, że na ostrzu sztyletu, tkwiącego w ranie, znaleziono słowa: — Śmierć wszystkim inkwizytorom! — Słyszysz pan, wszystkim! Czy rozumiesz to, panie Andrea? Tedy nie idzie o zabicie przez najętego brawa kogoś, kto zawadza drugiemu w sprawie miłosnej, czy na urzędzie. Jest to mord polityczny, jak mi powiedział sąsiad Special, a za nim kryje się sprzysiężenie Angela Querini i jego zwolenników, których jest mnóstwo podobno. Gdy to rzekł, zatarł ręce, mnie jednak drżało serce w piersiach, bo choć mówić nie chcę, wiem, że czyn zły to jak wiśnia, strzęsiesz jedną, a spadnie dwadzieścia! O, krew ta spowoduje ogromny rozlew krwi!

– Czy nie mają śladu zbrodniarza, pani Giovanno? — spytał — Od czegóż opłaca Trybunał setki szpiegów?

— Niema ni cienia śladu! — zawołała wdowa. — Noc była ciemna, wiał bora, a na wybrzeżu Wielkiego Kanału, przy którym stoi jego pałac, nie ostała się ani jedna gondola. Wracał sam boczną uliczką i padł pod własnym progiem, zdoławszy jeno jeszcze jękami zbudzić odźwiernego. Ulica była

pusta, ni żywego ducha. Wiem ja, co wiem, panie Andrea! Czy mam powiedzieć? Jesteś człek uczciwy, dobry i nie zechcesz rozpowiadać tego ludziom, ściągając na mnie nową niedolę. Otóż wiem, kto dokonał tego mordu!

Spojrzał na nią przenikliwie.

— Mów pani, jeśli ci to ma ulżyć! Ja nie zdradzę.

— Czyż się pan nie domyślasz? — spytała, wstając i przystępując doń blisko — Czyż nie powiedziałam swego czasu, że niejeden żyje, a nie zjawia się, drugi zaś zmarł, a powraca? Wiesz pan teraz? Nie mógł im przebaczyć, że zawlekli do komór ołowianych jego żonę i dziecko i tam je dręczyli. Tylko, na miłość boską, ni słówka o tem! Jeśli tego dokonał jego duch, my, żywi, odpokutowaćbyśmy musieli.

— Co pani nasunęło to przypuszczenie?

Obejrzała się wokoło trwożnie i szepnęła:

— Niesamowita była dzisiejsza noc! Słyszałam, że coś drapie po ścianach, jakby chodziły duchy. Leżałam, nadsłuchając. Coś szumiało tam, w kanale, brzęczało tuż pod pańskiem oknem, a spłoszone ptactwo i nietoperze trzepotały się strasznie. Dopiero gdy wybiła pierwsza, nastała cisza. Wiem kto to sprawił. Po dokonaniu mordu przyszedł do domu pozdrowić nas, bośmy się rozstali bez pożegnania...

Andrea zwiesił głowę na piersi, po chwili wstał i powiedział, że wyjdzie zasięgnąć informacyj bliższych. Dodał, że położył się wcześnie spać i sen miał twardy, iż go duchy zbudzić nie zdołały. Poradził gospodyni, by całą rzecz zachowała w głębokiej tajemnicy, gdyż wspólnictwo z duchem nawet może mieć straszne skutki. Wkońcu ubrał się spiesznie i ruszył na miasto.

Podczas największych nawet uroczystości republikańskich nie bywało w ulicach Wenecji takiego ruchu i rozgwaru jak tego dnia. Ze śródmieścia sunęły procesje ciekawych, przeciskając się wąskiemi przesmykami ku Placowi św. Marka, a kto się nie łączył z tłumem, stał przynajmniej w drzwiach domu, zamieniając ze spieszącymi w tę stronę znajomymi wymowne znaki i spojrzenia. Widać było po ludziach, że wzburzeni są i oszołomieni rzeczą niebywałą i niepojętą i że prze ich bezwolnie pęd jakiś tam, gdzieby mogli ujrzeć tę rzecz okropną własnemi oczami i dotknąć jej rękami. Nikt się nie śmiał, nikt nie krzyczał na głos, ni gwizdał. Zdawało się wszystkim uczciwym obywatelom, że chwieją się dębowe pale, na których oparte są fundamenty miasta lagunów.

Andrea kroczył pośród tłumu, przybrawszy ruchy niedbałe, kapelusz nasunął na oczy, a ręce założył na plecach. Z wielką biedą dostał się na plac, gdzie niezliczone grupy różnych stanów ze-

brały się pod jasnemi promieniami słońca. Pod arkadami Prokuracji płynął dalej prąd w kierunku Piacetty i brzegowi kanału, nad którym dominowały dwie potężne kolumny. Ponad te rzesze wznosił się dumnie stary Pałac Dożów. Z poza okien jego i z pod arkad błyskała broń, a oddział ustawionych w szpaler żołnierzy pilnował wejścia, broniąc dostępu nie zaliczającym się do Wielkiej Rady. Na górze, w ogromnej hali, zdobnej w obrazy, przedstawiające wielkie czyny republiki, zebrał się kwiat szlachty weneckiej na poufne obrady, a pospólstwo, pełne czci i szacunku, czekało u potężnych filarów starego gmachu na ich wynik i skutki. Ile razy ukazał się w oknie któryś z nobilich, rozlegały się szmery, pokazywano palcami, gapiono się i czyniono półgłośne domysły, jakby za chwilę miało zostać ogłoszone nazwisko zbrodniarza i wyrok nań.

Andrea okrążył duży czworobok placu i zbliżył się do pałacu, rzucając w przechodzie spojrzenie w głąb kościoła św. Marka, gdzie stali, głowa przy głowie, ludzie, słuchający kazania. Z trudem utorował sobie drogę do kolumn i stanął zatopiony w myślach na wybrzeżu Piacetty, mając przed oczyma mnóstwo ruchliwych, czarnych gondol, których zębate, wzniesione w górę dzioby rzucały przy każdym obrocie łyskliwe blaski na fale. Mnóstwo ludzi trwało również w oczekiwaniu na Riva degli Schiavoni. Obok turbanu Turczyna widniał czerwony

fez Greka, malownicza czapka rybaka z Chiogji, to znów trójkątny kapelusz na białej peruce. Słychać było najrozmaitsze języki i narzecza, a od strony wody dolatywały monotonne nawoływania gondoljerów, z których nawet ślepiec poznaćby musiał, że u stóp jego leży Canale Grande Wenecji.

Śmigła opodal otwarta gondola, kierowana przez dwu służalców w bogatej, pozłocistej liberji. Na miękkich poduszkach leżała w niedbałej pozycji piękna dama z głową wspartą na ręku. Świetny brylant pierścienia łyskał z pośród kędziorów jej bujnych, rudawych nieco włosów, a spojrzenie jej spoczywało na młodym człowieku, który, siedząc naprzeciw, żywą z nią wiódł rozmowę. Nagle uniosła głowę, obiegła oczyma plac i tłumy na nim zebrane. Rozległy się szepty, ludzie poznali złotowłosą hrabinę, a poznał ją i Andrea. Zadrżał, jakby sam widok tej kobiety zwiastował mu coś złego i obrócił się w bok. W tej chwili ujrzał znajomą twarz. Za nim stał Samuele, dając przyjazne znaki.

— Nareszcie zjawiasz się pan pośród ludzi, panie Delfin! — szepnął cichym, cienkim głosem — Daremnie pana wypatrywałem po ulicach w dniach ostatnich. Żyjesz samotnie, jak kobieta, mająca rodzić. Idę w interesie, ale jeśli pan mi zechcesz towarzyszyć, powiem ci coś, co pana ucieszy. Chodźmy! Pocóż stać pośród głupców, którzy sądzą, że Wielka Rada jest obmyślić zdolna, jak ocalić re-

publikę. Szczury nie oswobodzą okrętu, osiadłego na mieliźnie. Rzeczywiści piloci mają teraz coś lepszego do roboty nad paplanie. Chodźmy, spieszno mi, w gondoli będzie nam wygodniej!

Skinął na gondoljera, pociągając przyjaciela za rękaw. Wsiedli, a znalazłszy się pod czarnym dachem, mogli przez boczne otwory ciasnej kajuty widzieć, co się dzieje na prawo i lewo.

– Cóż mi pan powiesz i dokąd jedziemy? — spytał Andrea.

— Nie chodź pan jutro rano do swego notarjusza! — powiedział żyd — Możliwe, że zabiorę pana gdzieś, gdzie czekają pana znacznie większe zyski.

— Nie rozumiem pana, Samuele?...

— Wiesz pan, co zaszło w nocy, — ciągnął Samuele dalej — a rzecz to niesłychana w Wenecji, by od dwunastu godzin nikt nie wpadł na trop zbrodniarza. Straciliśmy cały kredyt u Signorji, u ludu i u cudzoziemców, którzy spodziewali się cudów po naszej policji. Rada Dziesięciu przyszła do przekonania, że źle jest obsłużona i poszukuje świeżych oczu, zdolnych przeniknąć wszelkie zakamarki. Oczy pańskie, panie Delfin, będą miały teraz do czytania co innego niż bazgroty notarjusza, oczywiście, o ile pan nie zmieniłeś zapatrywań swych z przed dni dziesięciu. Dlatego to zostań pan jutro w domu. Rad będę, jeśli przy sposobności zdołam szepnąć słówko w pańskiej sprawie.

— Nie zmieniłem zapatrywań, — odparł Andrea — ale jakoś nie mam zaufania do swych zdolności.

— Cicho, sza! — powiedział Samuele, grożąc mu palcem — Znam się na ludzkich twarzach, a pan właśnie włada wyrazem swoim. Kto potrafi zataić własne myśli, ten już napoły odgadł to, co ukryć pragną inni.

— A któż rozstrzygnie, czy będę przyjęty, czy nie?

— Musi pan się poddać badaniu w Trybunale. Ja powiedzieć mogę tylko, że pana znam i ufam pańskim zdolnościom. Do jutra, sądzę, skompletowany zostanie Trybunał, Rada Dziesięciu obraduje właśnie nad wyborem trzeciego inkwizytora. Co do mnie, to choćby mnie zasypano złotem, podziękowałbym za ten zaszczyt, bowiem nie na żarty zaiste wyryto na ostrzu sztyletu: Śmierć wszystkim inkwizytorom! Żołnierz, siedzący na minie prochowej, spożywa spokojniej swój kawałek chleba, niźli ci panowie od czasu wczorajszej nocy.

— A jednak nie ulega wątpliwości, że wybrany obejmie urząd? Czy może się cofnąć?

— Cofnąć? Republika karze dotkliwie tych, którzy odrzucają nadane im urzędy publiczne!

Andrea zamilkł i zapatrzył się ponuro w wodę. Nieprzeliczone mnóstwo gondol płynęło w tym samym kierunku, mijając wspaniałe pałace, a daleko mniejsza liczba zmierzała naprzeciw. Oba zetknęły

się z sobą, powstał zamęt, a wszystko stoczyło się u szerokich schodów, do których zręcznie przybijali raz po raz na wyścigi gondoljerzy, wysadzając swych pasażerów. Był to pałac Veniera, a na piętrze, w wiekiej sali leżał zabity.

Andrea poznał odrazu gdzie jest, ale powściągnął się siłą i spytał:

— Czy masz tu pan coś do roboty, signor Samuele, czy tylko przez ciekawość przybyłeś, by zobaczyć inkwizytora państwa na katafalku?

— Pełnię tu służbę, — odparł żyd — ale nie zaszkodzi panu, gdy pójdziesz ze mną. Zapoznam pana z kilku mymi przyjaciółmi. Ledwo dziesiąty wie, poco tu przyjechał, ale my się znamy wszyscy, choć udajemy obcych. Założyłbym się, że pośród składających kondolencję jest dużo spiskowców, a może nawet sam morderca wysiada z tamtej oto gondoli? Miałby nawet rację, gdyż tu jest nawet najbezpieczniejszym. Onej godziny, gdy wszystko ruszyło do pałacu, policja przeszukuje jeden po drugim domy, zdawna podejrzane. Prawdę mówi przysłowie: Djabeł uczy jak zrobić, ale nie uczy jak ukryć!

Powiedziawszy to, wyskoczył z gondoli i pomógł usłużnie wysiąść towarzyszowi.

— Czy pana razi widok zmarłego? — spytał — Jakoś pan nie w humorze.

— Mylisz się pan, drogi Samuele, — odrzekł Andrea szybko, patrząc mu obojętnie w oczy — jestem

panu raczej wdzięczny za pomoc w przezwyciężeniu przyrodzonego lenistwa. Bez pana nie byłoby mnie tu. Chodźmy złożyć wizytę wielmoży, któryby nas za życia nigdy nie dopuścił do siebie. Co za wspaniałe apartamenty, szkoda tylko, że zamienił je tak nagle na szczupłą izdebkę. Żal mi go doprawdy, mimo żem go nigdy nie oglądał na oczy.

Poszli, prąc się w ciżbie po czarno przybranych schodach. Z górnego podestu spozierał kirem okryty herb Vernierów, miast odźwiernego, nakazując tłumom przystojne milczenie. Pośrodku wielkiej sali widniał, nakryty baldachimem, wyniosły katafalk. Aż pod plafon sięgały cyprysy, a płomienie świec w wielkich kandelabrach chwiały się w powiewie, płynącym od balkonu, wychodzącego na kanał. W czterech rogach sali stali nieruchomo lokaje w czarnych, aksamitnych strojach, z halabardami okrytemi kirem. Zwłoki nakryte były czarną kapą, której srebrne frendzle spływały aż na posadzkę. Profil nieboszczyka miał wyraz złości i smutku, a Andrea poznał te rysy, widziane w gabinecie Leonory, które mu się tak żywo wraziły w pamięć. Ale najlżejsze drgnienie ust, ni oczów, bystro wpatrzonych w leżącego, nie zdradziło, że oto mściciel stoi u zwłok ofiary.

W godzinę potem wrócił Andrea do domu. Siedząca jak zwykle na schodach gospodyni powitała go z macierzyńską iście serdecznością, a Ma-

rietta również, jak się zdawało, czekała nań z niepokojem. Opowiedziały mu, że zbiry przetrząsnęli podczas nieobecności jego pokój, ale wszystko znaleźli w najlepszym porządku, zgodnie z doskonałem świadectwem, jakie gospodyni wystawiła swemu lokatorowi.

Wysłuchał wszystkiego bez drgnienia, a spokój jego doprowadził wdowę do przekonania, że wizyta policji była sprawą czysto formalną i obawiała się niepotrzebnie. Udzieliła swemu lokatorowi mnóstwa rad i ostrzeżeń, pouczając co ma mówić i czynić w tych strasznych czasach, by się uchronić od podejrzeń.

— Rząd stanie się teraz jeszcze surowszym! — powiedziała z westchnieniem — Wiadomo, kot w rękawiczkach myszy nie łapie, a prawdziwe to słowa, że zmarli otwierają żywym oczy. Dlatego też bądź ostrożnym, drogi panie Andrea, i nie dowierzaj nikomu, kto się zbliża do ciebie. Nie wiesz za jakie baranki podają się najgorsi ludzie. Oszukanym bywa się jeno przez tych, którym się ufa. Lepiej nie chodź pan jeść do szynkowni, ale poprzestań na tem, co możemy podać panu tu w domu. Wyglądasz pan nieszczególnie, to też połóż się trochę, nie nawykłeś widocznie do biegania po ulicach.

Marietta rzucała błagalne spojrzenia, słuchając ostrzeżeń matki. Patrzyła mu dziś bez zwykłej nieśmiałości w blade, poważne oblicze. Podziękował,

zapewnił, że się czuje zupełnie dobrze, zamówił chleb i wino, a potem poszedł do siebie i nie pokazał się już dnia tego za progiem.

Wczesnym rankiem następnego dnia, gdy Andrea jeszcze leżał w łóżku, przyszedł Samuele.

— Jeśli pan chcesz schować co miesiąc do kieszeni najmniej czternaście dukatów, to chodź ze mną. Wszystko przysposobione, a jak sądzę, nie wrócimy z niczem.

— Czy obrano już nowego inkwizytora? — spytał Andrea.

— Zdaje się.

— I dotąd nie natrafiono na ślad sprzysiężenia?

— Nie natrafiono. Nobili żyją w ciągłym strachu, zamykając się w domach, widząc w każdym człowieku szpiega Rady Dziesięciu, albo Trybunału. Wszyscy ambasadorowie obcych mocarstw złożyli doży wizyty kondolencyjne, wyrażając oburzenie swe i ofiarując pomoc w poszukiwaniu zbrodniarza. Teraz będą się panowie inkwizytorzy jeszcze lepiej taić niż dotąd. Wyznaczono zapłatę za głowę mordercy, a suma ta może z biedaka jak ja i pan na lat kilka uczynić człowieka zamożnego. Otwórz pan oczy dobrze, panie Andrea! Niedługo popijemy może lepszego winka niźli to, jakie nam podano pierwszego dnia w szynkowni.

Andrea ubrał się w milczeniu i ruszył na miasto wraz ze swym ustawicznie paplającym protektorem.

Przybyli do Pałacu Dożów, gdzie Samuele był jak w domu. Zastukał do jakichś niepozornych drzwi w podwórzu, i szepnął do ucha słowo odźwiernemu, puszczając towarzysza swego z wielką uprzejmością przodem. Przeszli schody, ciemny napoły kurytarz, gdzie się musieli opowiedzieć halabardzistom i wkońcu wpuszczeni zostali do obszernej komnaty z oknami, wychodzącemi na podwórze, przysłoniętemi do połowy ciemnemi firankami. W głębi trzech mężczyzn w maskach wiodło szeptem ożywioną rozmowę. Chodzili przytem tam i z powrotem, a z pod koronek masek wyglądały ich brody. Czwarty mężczyzna bez maski siedział u stołu i pisał przy świetle jednej tylko świecy.

Gdy Samuele i Andrea stanęli w progu, piszący spojrzał na nich, a tamci trzej nie zwrócili zgoła uwagi na wchodzących, rozmawiając dalej.

— Czy to człowiek, o którym mówiłeś nam pan, Samuele? — spytał sekretarz.

— Tak jest, Wasza Miłość! — rzekł żyd.

— Możesz pan odejść, Samuele.

Samuele skłonił się posłusznie i wyszedł.

Przez czas pewien odczytywał sekretarz Trybunału leżące przed nim papiery, potem, przyjrzawszy się dobrze przybyłemu, powiedział:

— Zwiesz się pan Andrea Delfin. Czyś pan może spokrewniony z weneckimi nobili tegoż nazwiska?

— Nic o tem nie wiem! — odparł Andrea — Rodzina moja osiadła od niepamiętnych czasów w Brescji.

— Mieszka pan przy Calle della Cortesia u Giovanny Danieli i chcesz wstąpić w służbę prześwietnej Rady Dziesięciu?

— Pragnę służyć rzeczypospolitej, Wasza Miłość!

— Papiery pańskie z Brescji są w porządku. Adwokat, u któregoś pan pracował przez pięć lat, zaświadcza, że jesteś człowiek rozumny i godny zaufania. Brak jeno danych odnośnie do sześciu, czy siedmiu lat, poprzedzających pańskie wstąpienie do adwokata. Cóżeś pan robił w tym czasie po śmierci rodziców? Nie było pana w Brescji?

— Nie, Wasza Miłość! — rzekł Andrea pewnym głosem — Podróżowałem po świecie, byłem we Francji, Holandji i Hiszpanji. Zużywszy niewielką spuściznę swoją, wróciłem do Brescji i z konieczności zostałem podrzędnym urzędnikiem.

— Gdzież dowody z tych czasów?

— Zostały mi skradzione wraz z kufrem, zawierającym całe moje mienie. To się również przyczyniło do powrotu i porzucenia niespokojnego życia w obczyźnie. Chlebodawcy moi nieraz używali mnie do funkcji sekretarza, to też wszedłem w służbę adwokata i Wasza Miłość widzi z jego świadectwa, że nauczyłem się pracować niezgorzej.

Mówiąc to, przybrał postawę uniżoną, pochylił nieco głowę, a kapelusz ujął w obie ręce. Nagle przystąpił doń jeden z trzech zamaskowanych, a Andrea uczuł na sobie przenikliwe spojrzenie.

— Jak się pan nazywa? — spytał inkwizytor głosem, świadczącym o tem, że jest starcem.

— Andrea Delfin, jak świadczą dokumenty.

— Wspomnij pan, że oszukiwanie wysokiego Trybunału, to śmierć! Rozważ nim odpowiesz stanowczo. Cóżbyś pan rzekł, gdybym twierdził, że zwiesz się Candiano?

Nastała krótka pauza, a cisza się taka uczyniła, że posłyszano szelest robaka, wiercącego drzewo.

— Candiano? — spytał zwolna Andrea, głosem zupełnie spokojnym — dlaczegóż miałbym się zwać Candiano? Radbym był z tego zaiste, wiem bowiem, że ród Candianów jest bogaty i dostojny, a członkowie jego nie potrzebują zarabiać uciążliwą pisaniną.

— Masz pan rysy Candianów! — rzekł starzec — Przytem zachowanie pańskie świadczy o wyższem pochodzeniu, niż wykazują dokumenty.

— Cóżem winien temu podobieństwu, miłościwi panowie? — ozwał się Andrea skromnie i swobodnie zarazem — Zachowanie moje przyzwoite jest wynikiem podróżowania i ocierania się o ludzi wykwintnych, co mi pozwoliło nabrać ogłady. Czytałem też dużo, uzupełniając niedostateczne wykształcenie z czasów młodości.

Dwaj pozostali inkwizytorowie zbliżyli się również i jeden z rudą, wystającą z pod maski brodą, rzekł półgłosem:

— Podobieństwo jest istotnie, ale to rzecz złudna. Wiadomo przecież, że gałąź rodu tego, zamieszkała koło Marany, wymarła. Stary Luigi pochowany jest w Rzymie, a dwaj jego synowie niedługo też cieszyli się życiem.

— Być może! — zgodził się pierwszy — Spojrzyjcie jednak na tego człowieka, czyż to nie stary Candiano, odmłodzony jeno, który zmartwychwstał? Znałem go dobrze i pamiętam, żeśmy razem wybrani zostali do Senatu! — przejrzał uważnie papiery, potem zaś rzekł — Zresztą rzecz możliwa, bo nawet wiek jego nie zgadza się. Człowiek ten za stary jest na syna Luigi Candiana, a jeśli nawet jest jego synem nielegalnym, z przed małżeństwa, to dla nas rzecz obojętna.

Rzucił papiery, dał znak sekretarzowi i cofnął się wraz z towarzyszami we wnęk okna, wszczynając przerwaną rozmowę. Nikt nie mógł wyczytać z oczu Andrea, jaki mu ciężar spadł z serca w tej chwili.

Sekretarz spytał:

— Znasz pan obce języki?

— Mówię po francusku i trochę po niemiecku, Wasza Miłość.

— Po niemiecku? — zdziwił się — Gdzieżeś się pan nauczył?

— Pewien malarz, Niemiec w Brescji, był mym przyjacielem.

— Byłeś pan w Trieście?

— Tak, przez dwa miesiące w interesach mego chlebodawcy, adwokata.

Sekretarz wstał, poszeptał z rozmawiającymi w oknie i rzekł, wróciwszy do stołu:

— Dostaniesz pan pasport austrjackiego obywatela rodem z Triestu, pójdziesz do austrjackiej ambasady i poprosisz o opiekę, żaląc się, że republika chce pana wydalić. Powiesz pan, żeś opuścił Triest w młodości i długo przebywał w Brescji. Bez względu na rezultat sprawy pozwoli to panu nawiązać stosunek z sekretarzem poselstwa, a obowiązkiem pańskim będzie podtrzymywać go stale, tak, by móc śledzić zręcznie konszachty rządu wiedeńskiego z szlachtą wenecką. Gdy pan natrafisz na coś podejrzanego, masz niezwłocznie donieść mi o wszystkiem.

— Czy jest życzeniem wysokiego Trybunału, bym porzucił zajęcie u notarjusza Fanfaniego?

— Proszę nie zmieniać w niczem trybu życia. Pensja pańska za pierwszy miesiąc wynosić będzie tylko dwanaście dukatów, ale w razie pomyślnych rezultatów może zostać podwojona.

Andrea skłonił się na znak zgody.

— Masz pan tu swój pasport zagraniczny. Mieszkasz pan w pobliżu pałacu hrabiny Amadei, co

pozwala nawiązać stosunek z jej pokojówką. Koszta zostaną zwrócone. Wszystko, czego się pan dowiesz o jej związkach z szlachtą wenecką, należy zameldować nam. Republika ufa, że spełnisz pan wiernie swe obowiązki, a nie wiąże pana przysięga, albowiem człowiek, któryby się nie bał kar doczesnych, jakiemi dysponuje, byłby zaiste kimś, zdolnym do lekceważenia sobie równie i boskiej sprawiedliwości. Możesz pan odejść.

Andrea skłonił się ponownie i zwrócił do drzwi, ale sekretarz przywołał go z powrotem.

— Jeszcze jedna sprawa! — rzekł, otwierając niewielką szkatułkę — Zbliż się pan i spójrz uważnie na ten sztylet. W Brescji są wielkie fabryki broni. Czy może napotkałeś pan tam wyroby tego rodzaju?

Zbierając ostatki sił, spojrzał Andrea w szkatułkę, podaną sobie przez sekretarza. Znał on dobrze ten sztylet. Był to nóż obosieczny ze stalową rękojeścią w kształcie krzyża, a na ostrzu nie oczyszczonem jeszcze z krwi widniał wyryty napis: — Śmierć wszystkim inkwizytorom państwa!

Po dłuższem badaniu oddał spokojnie szkatułkę i odparł:

— Nie pamiętam, bym widywał w sklepach Brescji takie wyroby.

— Dobrze! Dość tego!

Sekretarz zamknął szkatułkę, dał mu znak, a Andrea przeszedł zwolna salę i znalazł się w kury-

tarzu. Halabardnicy puścili go, a on kroczył jakby we śnie po tętniących flizach i, dopiero dostawszy się na ciemne schody, pozwolił sobie spocząć na chwilę. Kolana gięły się pod nim, zimny pot spływał mu z czoła, a język przysychał do podniebienia.

Na świeżem jednak powietrzu przyszedł nieco do siebie, odrzucił śmiało głowę i przybrał zdecydowaną postawę. Na portalu, od strony Piacetty widniał duży plakat, a wkoło niego cisnęli się ludzie, czytając z zaciekawieniem. Przystąpił także i dowiedział się, że Rada Dziesięciu wyznaczyła za zgodą doży nagrodę w wysokości tysiąca cekinów za odszukanie i wydanie mordercy, gdyby zaś donosiciel był skazańcem, lub wygnańcem, kara zostanie mu ponadto darowana. Tłum falował pod plakatem, coraz to nowi zjawiali się ludzie, pośród nich zaś dostrzec było można fizjognomje szpiegów, śledzących wyraz twarzy czytających. Spostrzegli też i jego, ale Andrea przebiegł spokojnie oczyma ogłoszenie, a potem ruszył przed się obojętnie, jakby go cała sprawa zgoła nie obchodziła, wziął gondolę i pojechał do ambasady austrjackiej.

Jechał dość długo, a wysiadłszy przed odległym od miasta pałacem z dwugłowym orłem na frontonie, spostrzegł młodzieńca wysokiego wzrostu, ujmującego właśnie kołatkę bramy. Młodzieniec obejrzał się ku gondoli, a twarz mu rozpromienił uśmiech radosny.

— Sor Delfin! — zawołał, podając rękę — Cieszę się bardzo z tego spotkania. Wszakże mnie pan poznajesz, spędziliśmy razem uroczy dzień na jeziorze Garda.

— Baron Rosenberg? — odparł Andrea, potrząsając serdecznie jego dłoń — Na długo przybyłeś pan do Wenecji? A może idzie tylko o paszport na dalszą podróż?

— Bóg jeden wie — odparł baron — jak tu długo zostanę i czy będę przeklinał, czy błogosławił los, który mnie z Wenecji wygoni. Pasport nie sprawia mi zresztą żadnych trudności, gdyż mogę go sobie sam zawizować. Wiedz, przyjacielu drogi, że jestem sekretarzem Jego Ekscelencji ambasadora austrjackiego. Nie mówię tego, by pomiędzy nas stawić ścianę dyplomatycznej nieprzenikliwości, ale jeno by pana ostrzec, bowiem nie dla każdego Wenecjanina miłą i zdrową jest zażyła przyjaźń z taką jak ja osobistością.

— Nie mam powodu bać się! — rzekł Andrea — Jeśli panu nie przeszkodzę, to radbym nawet zaraz wstąpić na chwilę.

— Szedłeś pan tu, nie znając mnie, zapewniam tedy, że to, czego chciałeś od sekretarza ambasady, uczyni ci tem chętniej przyjaciel, o ile to tylko w jego mocy.

Andrea zarumienił się. Po raz pierwszy uczuł, jak poniżające jest używanie maski wobec człowieka

szczerego i zacnego, który zachowuje się tak przyjacielsko po przelotnej znajomości z przed lat kilku. Paszport Triesteńczyka w kieszeni wydał mu się blokiem ołowiu, ale wprawa we władaniu sobą nie zawiodła go i tym razem.

— Chciałem jeno zasięgnąć informacyj, co do pewnej firmy handlowej w Austrji, gdyż zmusza mnie do tego rodzaju drobnych usług notarjusz, u którego zajmuję skromne stanowisko pisarza. Nie waham się jednak wejść do pana, bo w Brescji nie byłem również wielmożą, a mimo to uznałeś mnie pan godnym towarzystwa swego i matki pańskiej. Radbym się przedewszystkiem dowiedzieć, jak się ma ta czcigodna osoba, której wzruszająca miłość dla pana i łaskawość względem mnie żywo trwają mi w pamięci.

Baron spoważniał i westchnął.

— Chodźmy do mego prywatnego pokoju, — powiedział — będzie nam tam wygodniej.

Andrea udał się z przyjacielem schodami na piętro, a pierwsza rzecz, jaką zauważył w jego komnacie, był to wielki, pastelowy portret, wiszący nad biurkiem. Poznał połyskliwe oczy i bujne włosy Leonory. Roześmiane, ponętne usta zuchwałe były i urocze zarazem.

Sekretarz przysunął dwa fotele do okna, przez które widać było spory szmat kanału, malowniczy

most i absydę jakiegoś kościoła, wynurzającą się z grupy domów.

— Usiądźmyż, rozgość się pan! Czy woli pan wino, czy sorbet? Ach, pan nie słyszysz, zatonąłeś bowiem w obserwowaniu tego nieszczęsnego portretu! Czy wiesz kogo przedstawia, czy znasz oryginał, którego jest jeno znikomym cieniem? Któżby jej zresztą nie znał w Wenecji. Nie mów mi pan nic o tej kobiecie, wiem wszystko, co rozpowiadają, wierzę w to nawet, a mimo tego zaręczam ci, drogi przyjacielu, z całą powagą, że gdybyś sam stał przed nią, zapomniałbyś o wszystkiem, dziękując jeno Bogu, że władasz jeszcze od biedy zmysłami swemi.

— Czy to pańska własność? — spytał Andrea po chwili, wskazując portret.

— Nie! To własność pewnego młodego, pięknego Wenecjanina, który, jak mi sama wyznała, był jej bożyszczem. Niebaczny młodzieniec zaprzyjaźnił się ze mną i zbrodnię tę okupić musiał wygnaniem, karząc mnie w ten sposób, że muszę patrzeć na jej portret, oraz na łzy, jakie po nim wylewa.

Mówiąc to, stał przed obrazem i spoglądał nań w rozmarzeniu i zadumie. Andrea uczuł dlań wielką litość. Baron nie miał regularnych rysów, ale łączył w sobie łagodny urok młodości, powagę męską i pobudliwość nerwową, a z ruchów jego wysmukłej postaci przebijała szlachetność i energja. Mimowoli wyrwał się Andreowi okrzyk:

— O, jakże i pan także możesz kochać tę kobietę, tak niewiele wartą!

— Kochać? — rzekł sekretarz dziwnie ponuro — Któż panu powiedział, że kocham tak jak ongiś kochałem w ojczyźnie, to jest uczuciem, zasługującem na miano miłości? O nie, powiedz pan raczej, żem oszalał, że, zgrzytając zębami, dźwigam te kajdany, że, wyznaję, tej słabości własnej się wstydzę, a jednak tonę jednocześnie w rozkoszy. Przedtem wyobrażenia nie miałem, by człowiek mógł jęczeć pod jarzmem dobrowolnie wziętem na kark, by musiał za jeden uśmiech rzucać w proch uliczny całą godność swoją i męską dumę.

Twarz miał zarumienioną, ogarnęło go wzburzenie i teraz dopiero spostrzegł, że Andrea nie patrzy na portret, ale słucha z bardzo smutną miną.

— Nudzę pana! — powiedział Rosenberg — Mówmy tedy o czem innem. Co się z panem działo? Czemuś, przyjacielu, wyjechał z Brescji?

— Nie dowiedziałem się niczego jeszcze o matce pańskiej! — rzekł Andrea wymijająco — Cóż to za kobieta! Człowiek najbardziej obcy uczuwa potrzebę czcić ją jak matkę własną.

— Mów pan dalej! — zawołał sekretarz — Może słowa pańskie uwolnią mnie od tego przeklętego uroku, który na mnie tu rzucono. Nie słyszę nic nowego, ale właśnie to, że wyrazy owe z ust pańskich płyną, uświadamia mi, jaką mam matkę i ja-

kiem jestem niewdzięcznem dzieckiem, a wówczas uczynię może, co nakazuje obowiązek. Czy uwierzysz pan, że pisała już trzy listy, zaklinając, bym wyjechał z Wenecji i wrócił do Wiednia. Ma przeczucie, że mi tu coś zagraża. Nie wie, niestety, o rzeczy najgorszej, a jednak ta jeno kobieta, którejbym za nic nie chciał widzieć obok matki, trzyma mnie na miejscu!

Zamilkł na chwilę, potem zaś ciągnął spokojniej:

— Zda mi się zresztą, że nie tylko to stoi na przeszkodzie. Trudnoby mi było dostać w tej chwili urlop. Szef mój, hrabia wbił sobie w głowę, że mu jestem niezbędny, a także są do załatwienia sprawy, któreby mu były uciążliwe i przykre. Wiadomo panu chyba, że nas w Wenecji nie lubią. Nikt nie chce zwrócić oczu tam, skąd istotne zagraża niebezpieczeństwo, a wszyscy trwają w zgoła bezrozumnem przypuszczeniu, że naszą jest sprawką wszystko, co się złego dzieje w Wenecji. Doszło do tego, że nas obwiniają o zamordowanie Verniera, mimo, że potępiamy ten czyn, a sprawców uważamy za polityków bardzo krótkowzrocznych. Powiedz pan sam, drogi przyjacielu — dodał w zapale otwartości, a może w celu zjednania sobie zwolennika w Wenecji — powiedz pan, czy istnieje najmniejsza choćby nadzieja doprowadzenia Trybunału do upadku, zapomocą tej zbrodniczej metody? Odsuńmy

na moment etyczną stronę sprawy, ale powiedz pan, czy możliwem jest, by spisek pozostał w tajemnicy przez czas tak długi, jakiego potrzeba, by wywołać panikę pośród inkwizytorów i zmienić formę rządu?

— Spisek taki jest niemożliwy! — powiedział spokojnie Andrea — Co wie trzech Wenecjan, to wie niezwłocznie Rada Dziesięciu. Tem też dziwniejsze, że co się tyczy wydarzeń ostatnich, nic nie można wyśledzić.

— Przypuśćmy jednak, — podjął Rosenberg — że po myśli spiskowców, mordujących jednego inkwizytora po drugim, o co im, zda się, idzie, nastałoby takie przerażenie ogólne, że nikt ważyćby się nie chciał na objęcie śmiercionośnej władzy, to i cóżby wówczas osięgnięte zostało, przyjacielu drogi? Arystokracja wenecka, o tak potwornej wprost organizacji, wymaga koniecznie stalowych ram nieustannej dyktatury, o surowszych, czy łagodniejszych formach, ale bez niej obejść się nie może, o ile ma się ostać przed wzburzonemi falami zbiorowej woli ludu. Niema tu zgoła elementów dla budowy republiki prawdziwej, o instytucjach wolnościowych. Istnieje jeno klasa władców i uciemiężonych, są setki suwerenów i setki tysięcy motłochu. Gdzież są obywatele, bez których demokracji wyobrazić sobie niepodobna? Wasi nobili zapobiegli dobrze temu, by szaraczek nie osiągnął świadomości obywatelskiej, by nie nabrał poczucia odpowiedzial-

ności, oraz nie przejął się koniecznością ofiary dla wielkich, wspólnych celów. Nie dopuszczano nigdy plebejów do spraw państwa. Ale z uwagi na to, że rząd ośmiuset tyranów jest zbyt nieruchawy, mało jednolity i nadmiernie gadatliwy, by wywierać potężne oddziaływanie na zewnątrz i wewnątrz, wielmoże ujarzmili samych siebie, podając kark w pętlę nieodpowiedzialnego przed nikim triumwiratu, mającego tę przynajmniej zaletę, że z ich wywodzi się szeregów. Woleli paść ofiarą trójgłowego bożyszcza, wyzbywając się prawa i sprawiedliwości, niż nadać sobie postępowe prawa i instytucje, któreby ich zrównały z ludem.

— Mówisz pan o tem, co jest, — wtrącił Andrea — czyż atoli ma tak zostać dalej?

— Sprawa pogarsza się nawet z dnia na dzień! — odparł Rosenberg — Pomyśl tylko, drogi przyjacielu, jak dziwnie ostrze własnej broni zwróciło się przeciw nim. Jak długo republika miała do spełnienia pewną misję pośród ludów Europy, dopóty ciśnienie wewnętrzne tej stałej dyktatury kompensowało się z powodzeniem na zewnątrz. Wenecja nie doprowadziłaby nigdy do takiego rozkwitu potęgi i takiego bogactwa, jakie były jej udziałem jeszcze do połowy zeszłego wieku, bez zjednoczenia wszystkich sił żywotnych w rękach nieubłaganych tyranów. Z chwilą atoli zniknięcia celu, uzasadniającego srogie metody rządzenia, pozostała jeno

sama naga tyranja i, nie chcąc, by się okazało, że jest formą przeżytą, wszystkie swe gromy skierowała na wewnątrz. Czasu pokoju, dyktatura jednego człowieka, czy trzech, stanowi groźne niebezpieczeństwo dla każdego, małego, czy wielkiego państwa. W Wenecji choroba ta trwa za długo, by mówić o leczeniu. Zgniły już kiełki prawdziwej obywatelskości, z którychby mogła wyrosnąć republika nowa. Wielowiekowe panowanie teroru, rozgałęzionej sieci szpiegowskiej i sztuczek policyjnych zabiło, zniweczyło wszelkie bezpieczeństwo osobiste i zamiłowanie wolności, a budowla, wydająca się tak silną i trwałą, zapadnie się niechybnie w momencie, kiedy zniknie kit postrachu łączący jej ściany!

— Może masz pan rację, — odrzekł Andrea po chwili milczenia — ale są to argumenty cudzoziemca, który z zimną krwią stwierdza, że republika przeżyła się i zginąć musi. Nie trafiłyby one jednak zaiste do serca Wenecjanina i nie mógłbyś go pan przekonać, że choroba macierzystego miasta posunęła się tak daleko, że niewarto czynić prób ratunku.

— Pan nie jesteś wszakże Wenecjaninem!

— To prawda, pochodzę z Brescji, która krwawiła nieraz pod biczem Wenecji. A mimoto nie mogę wyzbyć się współczucia dla tych biednych desperatów, którzy nożem wyciąć usiłują jątrzący wrzód teroru i tajnych rządów. Niewiadomo, czy

celu swego dopną, zapisane to jeno w gwiazdach, a wzrok mój za słaby jest na czytanie w przyszłości.

Zamilkli obaj i zatopili się w widoku miasta. Fotele ich stały tuż obok siebie. Słońce prażyło, ale oni w zadumie swej nie zważali na to.

— Jak pan widzisz, — podjął baron — nie nauczyłem się jeszcze ostrożności koniecznej do tego, by sobie tu, w Wenecji, wysłużyć rycerskie ostrogi. Raz jeno spotkaliśmy się, a oto bez osłonek powiedziałem panu, co myślę o tych wszystkich sprawach. Mam jednak dostateczną znajomość ludzi i wiem, że duch taki, jak pański, nie byłby w stanie oddać się na usługi Signorji!

Andrea podał mu w milczeniu dłoń. W tej chwili obejrzał się i zobaczył o kilka kroków za sobą swego towarzysza z urzędu, Samuela, stojącego w bardzo kornej pozycji. Cicho otworzył i, stąpając bezgłośnie po dywanach, dostał się do gabinetu.

— Wasza Miłość! — rzekł po licznych ukłonach do Rosenberga, udając, że Andrea jest mu zgoła nieznany — Wasza Miłość raczy przebaczyć, że wchodzę bez meldowania, ale pana kamerdynera nie zastałem w przedpokoju. Przynoszę zamówione klejnoty, są to rzeczy, któreby nosić mogła najpiękniejsza Estera.

Dobył z kieszeni mnóstwo puzderek i szkatułek i porozkładał towary starannie na stole, siląc się na żydowski sposób obejścia, co ukrywał zazwyczaj.

Baron oglądał klejnoty, a Samuele rzucił spojrzenie porozumiewawcze towarzyszowi, który obrócił się doń plecami, i przystąpiwszy do okna, posłał wzrok na miasto. Zrozumiał, czemu żyd przybył właśnie o tej porze, oto szpieg miał pilnować szpiega, stary lis wybrał się zobaczyć, jak sobie radzi nowicjusz.

Tymczasem Rosenberg wybrał łańcuszek na szyję z rubinowym zatrzaskiem i, nie targując się, zapłacił kwotę wymienioną. Rzucił mu dukaty, skinął głową na pożegnanie i, nie zważając na jego gadaninę, podszedł ku oknu.

— Widzę z pańskiej miny, drogi przyjacielu, — powiedział, — że się litujesz nade mną i uważasz za szalonego. Zaprawdę, byłoby lepiej cisnąć tę ozdobę do kanału, niźli otaczać nią białą szyję Leonory. Cóż mi jednak z całej tej mądrości wobec demona?

— Pewny jestem, — odparł Andrea — że urok, jaki pana więzi, pryśnie niezadługo. Tymczasem jednak winienem pana przestrzec. Czy pan znasz żyda, który dopiero co oddalił się z tego pokoju?

— Znam go! To szpieg Rady Dziesięciu, płacony za funkcje donosicielskie. Żyje on zbrodnią, a w dodatku jest jeno ciężarem swym chlebodawcom, gdyż całą naszą tajemnicą jest uczciwość. Oczywiście wszyscy uważają to za niemożliwe i mają przeświadczenie, że jesteśmy najskrytsi i najniebezpieczniejsi. Ze względu na pana, przykro mi, że

drab ten wśliznął się właśnie w tej porze, widział bowiem, żeś mi pan podał dłoń. Zaręczam, nim minie godzina, nazwisko pańskie znajdzie się w czarnej księdze dostojnego Trybunału.

Andrea uśmiechnął się z goryczą.

— Nie boję się tego, przyjacielu drogi, — powiedział — miłuję pokój, a sumienie moje czyste jest...

Minęło cztery dni od tej rozmowy. Andrea wiódł dalej poprzedni żywot, chodząc co rano regularnie do notarjusza i przesiadując wieczorami w domu, chociaż nie zależało mu już na dobrej opinji w ulicy della Cortesia, ponieważ wszedł w bliskie stosunki z tajną policją.

W sobotę wieczorem poprosił o klucz od bramy. Pani Giovanna pochwaliła go, że wyjątkowo odstępuje od zasady, i dodała, że warto przyjrzeć się obchodowi pogrzebowemu dostojnego Verniera w San Rocco. Sama miała ochotę iść tam, ale obawiała się ścisku, a na zakończenie szepnęła mu, że wie z jakiego powodu ten właśnie fakt napełnia ją straszną trwogą.

Andrea odpowiedział, że również nie znosi tłumu, zwłaszcza po nocy, gdyż napada go w takich razach duszność. Oświadczył, że weźmie gondolę i pojedzie na Lido.

Rozstał się z wdową i ruszył w kierunku wprost przeciwnym San Rocco. Dochodziła ósma i mżył

drobny deszczyk, ale niepogoda nie przeszkodziła tłumom, spieszącym z wszystkich stron do kościoła, gdzie miano odprawić właśnie o tej porze egzekwje za duszę zamordowanego inkwizytora państwa. Ciemne postaci w maskach, lub kapeluszach, nasuniętych głęboko na oczy dla ochrony od słoty, dążyły ku przystaniom, lub mostowi Rialto, a w powietrzu drżał ponury odgłos dzwonów. Andrea zatrzymał się w bocznej uliczce, wyjął maskę i włożył ją na twarz, potem zaś, otulony płaszczem, udał się nad najbliższy kanał, i wskakując w gondolę, krzyknął: — Do San Rocco!

Wspaniały, stary kościół płonął blaskiem niezliczonych świec, a tłumy falowały wokoło pustego katafalku, wznoszącego się pośrodku nawy, pozbawionego kwiatów i wieńców. W głowach stał jeno duży, srebrny krzyż, a czarna kapa miała po obu stronach herb rodzinny Vernierów. Wzdłuż ścian widniały czarno okryte siedzenia, amfiteatralnie ustawione, a na nich zasiadła szlachta Wenecji w komplecie, rzadko spotykanym na najważniejszych nawet obradach Wielkiej Rady. Nikt nie poważył się zostać w domu, by nie wzbudzić najlżejszej wątpliwości co do szczerości swej żałoby po zmarłym. Na osobnej trybunie umieścili się ambasadorowie zagraniczni. I oni stawili się w pełnej liczbie.

Zabrzmiały rozgłośnie trąby uroczystą introdukcją do requiem, a dobrany przedziwnie chór za-

intonował przy dźwiękach organów utwór słynnego kompozytora, którego potężne akordy wypełniły świątynię, rozchodząc się potem daleko po ulicach i uliczkach. Drobny deszcz, siekąc ciągle w ciemni nocy, z której wynurzały się tajemniczo kamienne rozety kościoła, cichy, lękliwy szum falującego tłumu wytwarzały wokół świątyni nastrój grozy, któremu mało kto mógł się obronić. Przez otwory oczne czarnych masek, używanych tak chętnie podczas wesołych, czy smutnych obchodów, płynęły trwożne spojrzenia ku oświetlonemu portalowi i katafalkowi, będącemu dobitniejszem jeszcze, niźli słowa hymnu, przypomnieniem znikomości wszystkiego co ziemskie i nieuniknionej śmierci.

Boczną uliczką, która w owym czasie łączyła się ciemnym chodnikiem arkadowym, placem San Rocco szło dwu mężczyzn, żywą wiodąc rozmowę. Nie widzieli, że stąpa tuż za nimi trzeci, kryjąc się w cień budynków. Człowiek ten w masce, otulony szczelnie płaszczem, to zbliżał się, to zostawał w tyle za idącymi, którzy mieli twarze odsłonięte. Jeden z nich był starcem o bujnej brodzie i wykwintnych ruchach, drugi zdawał się młodszym i słuchał pilnie słów towarzysza, wtrącając jeno czasem skromną uwagę.

Doszli do miejsca oświetlonego z okien przeciwległego domu. W tejże chwili zamaskowany wyprzedził ich i, skryty za filar, wpił badawcze spoj-

rzenie w ich twarze. Na moment wyłoniły się z ciemności rysy sekretarza Trybunału. Głos starca był również tym, który rozległ się w sali posiedzeń, mówiąc Andrzejowi Delfin, że jest Candianem.

— Wróć pan teraz — zakończył rozmowę starzec — i załatw rzecz bez odwłoki. Komendant zajęty jest w San Rocco, jak wiadomo, ale starczy małego oddziału żołnierzy, by przyaresztować obu. Trzeba im wyraźnie przykazać, by rzecz odbyła się bez hałasu. Pierwsze przesłuchanie musisz pan przeprowadzić natychmiast, bowiem nie wrócę chyba przed północą. Gdyby było coś ważnego, znajdziesz mnie pan u mego szwagra.

Rozłączyli się, a starzec poszedł ciemnym chodnikiem w kierunku San Rocco. Właśnie umilkła muzyka, a oczy wszystkich skierowały się na kazalnicę, na którą wspinał się z trudem starzec siwowłosy, nuncjusz papieski, wsparty na dwu młodych księżach. Cisza zapadła zupełna, a starzec zaczął donośnym, tętniącym głosem modlitwę, błagając Boga, by wejrzał łaskawie na lud Wenecji, udzielił ze skarbca swej mądrości i miłosierdzia pociechy i światła, pognębionym nieszczęściem duszom, oraz rozjaśnił sprawiedliwości ziemskiej ciemności, w których ukrywa się zdrada i zbrodnia, a w ten sposób zniweczył zło.

Ledwo przebrzmiało: amen, powstał w portalu szmer i, nabierając coraz bardziej mocy, przebiegł

błyskawicznie nawę kościoła, aż do siedzeń nobilów, zmieniając poważne, żałobne zebranie w rozchwiej odmętu wzburzonego morza. Wszyscy patrzyli w pierwszej chwili bezradnie ku portalowi, skąd przyszła panika i widzieli migające na placu pochodnie, walczące z deszczem i wichurą. Wszyscy nadsłuchiwali, zaparłszy oddech, i nagle poleciał w głąb kościoła wielogłosy krzyk: — Mordercy! Mordercy! Uciekajcie!

Powstało nieopisane zamieszanie, jakby lada chwila spaść miało na głowy ludzi kościelne sklepienie. Lud, patrycjusze, duchowni, świeccy, śpiewacy z chóru, strażnicy katafalku, mężczyźni i kobiety cisnęli się co sił ku wyjściu, a tylko czcigodny starzec na kazalnicy stał, patrząc z niezmąconą godnością na to, co się dzieje i opuścił stanowisko swe wówczas dopiero, gdy zobaczył, że kościół pusty, a tylko samotny katafalk przypomina mu mowę, która tak nagle została przerwana.

Na placu tłum potoczył się ku jednemu punktowi, gdzie migotały pochodnie, gaszone raz po raz deszczem. Zbiry, którzy nadbiegli tu natychmiast z komendantem na czele, znaleźli leżącego bez ruchu, na ziemi w bocznej uliczce człowieka, z którego piersi płynęła jeszcze krew. Gdy przyniesiono pochodnie, spostrzeżono tkwiący w ranie sztylet z rękojeścią stalową w kształcie krzyża z napisem:

— Śmierć wszystkim inkwizytorom! — a tłum powtórzył to hasło niezliczoną ilość razy.

*

Pierwszy wstrząs trzęsienia ziemi nie wzburza jeszcze do głębi umysłów, mimo że jest groźnem ostrzeżeniem i świadczy o wulkaniczności terenu. Z przestrachem łączy się zdziwienie i niedowierzanie, a jeśli skutki nie są zbyt doniosłe, ludzie, skłonni do równowagi, wracają do niej rychło, przypisując wszystko złudzeniu zmysłów. Dopiero ponowny nawrót zła budzi świadomość, że jest ono nieodwołalne i bezlitosne, niweczy wiarę w złudzenie, oraz przypuszczenie, że owo zło spodowane zostało okolicznościami przypadkowemi. Nawrót niebezpieczeństwa utrwala strach i napełnia obawą, że nastąpi całe mnóstwo okropności, przeciw którym ni męstwo ni tchórzostwo nic zdziałać nie są w stanie.

Takie wrażenie wywarła w Wenecji wieść o zamordowaniu drugiego inkwizytora państwa. Nie sposób było zataić, że była to tak wybitna osobistość. Nikt też nie powątpiewał, że zuchwalstwo, z jakiem dokonano tego drugiego czynu, który powiódł się w zupełności, pobudzi sprawców do tem raźniejszego kroczenia raz obraną drogą. Tym razem sztylet wśliznął się wprawdzie po jedwabnej bieliźnie i nie zadał ciosu śmiertelnego niezwłocznie, ale stan rannego był beznadziejny i spowodował zatamowanie

czynności tajnego Trybunału, nie mogącego ferować wyroków bez jednomyślności wszystkich trzech członków. Władza jego ustała tedy narazie, a co ważniejsze, nieprzenikniona tajemniczość, okrywająca siłę wrogą, zniweczyła wobec mas wiarę we wszechwiedzę i wszechmoc triumwiratu, i podkopać musiała ich własne zaufanie, oraz osłabić energję.

Jakichże bowiem nie użyto już metod działania i środków ostrożności, oraz tajemnych dociekań i tropień? Wszakże zaprzysiężono sobie uroczyście w Radzie Dziesięciu zachowanie w zupełnej tajemnicy nazwiska trzeciego inkwizytora, a jednak w kilka dni potem spadł z pogodnego nieba grom i trafił właśnie w nowo obranego. Wszyscy spoglądali teraz na siebie zpodełba, gdyż zrodziło się podejrzenie, że zdrada gnieździ się w samem łonie władzy i że tyrani wymierzają samobójcze ciosy we własne piersi. Uwięziono sekretarza Trybunału, który zamienił z zamordowanym ostatnie słowa, i poddano torturom, oraz zagrożono mu okrutną śmiercią. I to się okazało jednak daremnem.

Cóż za zyski przyniosło pomnożenie tajnej policji i masowy werbunek szpiegów, od których roiło się pośród służby nobilich, personelu ambasad, po hotelach, gospodach, w arsenale, po koszarach, a nawet klasztorach? Pół Wenecji brało pieniądze za szpiegowanie drugiej połowy. Znaczną sumę wyznaczono już przedtem za wskazanie najdrob-

niejszego śladu spisku lub mordercy, teraz zwiększono ją w trójnasób, ale ponieważ wyobrażano sobie, że zło tkwi pośród szlachty, niewiele miano nadziei na działanie pieniędzy, mogących skusić jeno biedaka. Robiono mnóstwo zabiegów poto jeno, by się zdawało, że nie wszystko daremne, chociaż cokolwiek przedsiębrano, było zgoła bezcelowe. Wydano surowe rozporządzenie zamykania o zmroku gospód i szynkowni, zabroniono noszenia masek i wszelakiej broni. W nocy tętniły po ulicach kroki straży, a z gondol rontowych, płynących kanałami, dolatywały rozkazy i hasła. Nikomu nie wolno było wyjeżdżać z Wenecji, a u bram portu postawiono okręt strażniczy, który zatrzymywał każdy statek, nawet od urzędników republiki, domagając się hasła.

Po całej Terraferma rozbiegła się wieść o tych strasznych stosunkach, rosnąc jak zawsze wraz z oddaleniem. Kto miał jechać do macierzystego miasta, odkładał podróż, a kto chciał wejść w stosunki handlowe z weneckim przedsiębiorcą, wstrzymywał się z tem, czekając końca zawichrzeń, godzących w same podwaliny republiki. Zastój ujawnił się rychło w wyludnieniu ulic, gdzie życie ustało niemal. Nobili w koniecznym jeno razie wydalali się z pałaców swoich, a bojąc się zetknąć ze spiskowcami, przestali przyjmować gości. Nikt dobrze nie wiedział, co się w mieście dzieje, a głuche wieści o aresztowanych, torturach i straszliwych karach

docierały w potwornych kształtach do porażonych strachem rodzin. Przygnębienie ogarnęło rychło także plebejuszów, chociaż dobrze wiedzieli, że nie oni to ponoszą w pierwszej linji szkodę, a nawet doznawali niejakiej radości, patrząc na panikę nobilów, obrzucających się wzajem podejrzliwemi spojrzeniami. Mimo wszystko, przykra to była rzecz, porzucać z nastaniem wieczoru karty i wino, dać się przetrząsać pierwszemu lepszemu patrolowi, szukającemu broni i, mając najczystsze sumienie, bać się ciągle fałszywej denuncjacji.

Andrea Delfin zaliczał się do tych niewielu, na których czyny i myśli nie oddziałała z pozoru duszna atmosfera chwili. Następnego zaraz ranka udał się do Trybunału i zapytany przez następcę nieszczęsnego sekretarza, który go przyjął wraz z chmarą innych ajentów, o to, co robił w chwili zamachu, opowiedział bajeczkę o jeździe na Lido, celem wybadania nastroju pośród rybaków. Złożył także zeznanie w sprawie obserwacyj swych w ambasadzie, a chociaż były to drobiazgi bez znaczenia, dawno Trybunałowi znane, świadczyły o gorliwości jego i doskonaleniu się w zawodzie. Przyjaciel Samuele nie zaniedbał oczywiście donieść o dziwnej poufałości jego z sekretarzem ambasady, ale Andrea odrzekł spokojnie, że poznał go przed kilku laty w Rivie, a zażyłość ich może przynieść jeno korzyść władzom.

Każdego niemal dnia odwiedzał Andrea, po skończeniu pisaniny dla notarjusza, swego przyjaciela, a Rosenbergowi stała się niebawem potrzebą rozmowa z tym człowiekiem, widocznie żartym jakąś tajemną, ciężką troską, żył bowiem teraz bardziej jeszcze samotnie, nie bywając u nikogo. Powziął do przyjaciela bezgraniczne zaufanie, a jeśli unikał tematów politycznych, czynił to dlatego, ponieważ nie spodziewał się porozumienia wobec dzielących ich różnic narodowościowych, nie zaś z obawy, by Andrea mógł go zdradzić. Powiedział mu nawet ze śmiechem, że go ostrzegano przed nim, jako szpiegiem Trybunału, i dodał, że oczywiście musi budzić zaciekawienie dziwna beztroska, z jaką tak często przekracza osławione progi ambasady.

— Nie jestem szlachcic! — rzekł Andrea obojętnie — Rada Dziesięciu wie dobrze, że nie szukam tu dyplomatycznych stosunków, to też nie zaszczyciła mnie dotąd ni jednem ostrzeżeniem. Pokochałem pana szczerze, przyznaję, i bolałoby mnie niewymownie, gdyby mi uniemożliwiono narzucanie się panu od czasu do czasu swem towarzystwem, żyję bowiem pozatem jak odludek. Nawet nie bywa u mnie gospodyni moja, która mi nieraz skracała czas swemi przysłowiami, bo zachorzała, zachorzała na Wenecję i trapią ją blade cienie, wałęsające się po tem mieście.

Tak było w istocie. Po drugim zamachu na inkwizytora państwa chodziła pani Giovanna przez cały dzień zamyślona z kąta w kąt, a za zbliżeniem nocy ogarnął ją wzrastający ciągle niepokój. Miała teraz pewność zupełną, że sprawcą jest duch jej męża, Orsa. Tylko niematerjalnemu duchowi udać się mogło dokonać morderstwa niepostrzeżenie, mimo tysięcy oczu, czuwających nad bezpieczeństwem Wenecji. Przywdziała najlepszą suknię i postanowiła spędzić całą noc na schodach, spodziewając się z całą pewnością wizyty męża. Wzruszającym był objaw jej szaleństwa. Oto przyrządziła ulubioną jego potrawę, postawiła ją na stole, otoczonym trzema krzesłami i za nic nie chciała wziąć kęsa w usta. Tak przepędziła znaczną część nocy i dopiero, gdy zgasła lampka w sieni, powiodło się Mariecie i przywołanemu na pomoc Andrzejowi zaprowadzić ją do pokoju i położyć do łóżka. Wystąpiła maligna, niezbyt niebezpieczna, ale wystarczająca, by jej odebrać świadomość na kilka godzin codziennie. Andrea patrzył na to wszystko z wielkiem ubolewaniem, a niedorzeczne słowa chorej dręczyły go bardzo. Musiał sobie powiedzieć, że ma na sumieniu szaleństwo nieszczęśliwej kobiety, a smutne spojrzenia Marietty ciążyły mu dużo więcej, niż krwawe tajemnice skrywane w duszy.

Uginając się wprost pod tem wszystkiem, zaszedł pewnego popołudnia pod Pałac Dożów i spogląd-

dał długo w wąski kanał, lśniący pod wysokim łukiem Mostu Westchnień! Ile razy zaczynał się chwiać w postanowieniu i wątpić o moralności swego sędziowskiego urzędu, jawił się na tem miejscu, patrzył na stare mury, pośród których jęczało tysiące ofiar nieodpowiedzialnej za swe czyny tyranji, i to go utwierdzało w wierze w prawo i konieczność jego misji.

Słońce prześwietlało jaskrawemi promieniami mgły wrześniowe, unoszące się ponad wodą. Pobrzeże, tętniące zazwyczaj rozgwarem życia, puste było teraz i ciche. Ponure spojrzenia żołnierzy, chodzących z brzękiem tam i z powrotem pod arkadami pałacu, gasiły wesołość i śmiech przechodniów. Andrea usłyszał wyraźnie, że woła go po imieniu ktoś z gondoli, co mijała w tejże chwili przystań Piacetty, obrócił się i poznał przyjaciela swego, sekretarza austrjackiego posła.

— Czy masz pan czas? — spytał — Wsiądź pan i jedź ze mną. Spieszno mi bardzo, a chciałbym z panem porozmawiać.

Andrea wsiadł do gondoli, a przyjaciel uścisnął mu serdecznie dłoń.

— Cieszę się, — powiedział serdecznie — że cię spotykam, drogi panie Andrea. Przykro mi było myśleć, że wyjeżdżam bez pożegnania, a jednak nie miałem odwagi iść do pana, albo posyłać, gdyż zwróciłoby to niechybnie uwagę.

— Odjeżdżasz pan? — spytał niemal przerażony.

— Muszę koniecznie. Oto list matki! Przeczytaj, drogi przyjacielu, i powiedz, czy mogę się dłużej opierać?

Podał mu list dobyty z kieszeni. Czcigodna kobieta zaklinała syna, by wracał niezwłocznie, jeśli chce jej przywrócić spokój i sen umożliwić. Donosiła, że otrzymuje straszne wieści z Wenecji, a cierpi niewymownie z obawy o niego. Myśl o stanowisku niebezpiecznem, jakie zajmuje, oraz okoliczność, że niewiadomo, z czyjej winy otrzymuje dopiero trzeci list, wszystko to pogorszyło do tego stopnia stan jej zdrowia, że lekarz za nic nie ręczy, jeśli powrót syna nie uspokoi jej i nie pocieszy. Ton listu, przepojonego bezgraniczną miłością macierzyńską i głębokim smutkiem, wzruszył bardzo czytającego.

Mimo to jednak rzekł, oddając list:

— Mam ochotę odradzić panu wyjazd z Wenecji w tym właśnie czasie, chociaż wiem, że matka pańska liczy godziny. Powoduje mną nie to, że zostanę sam, niby człowiek zmarły, wałęsający się jeszcze po świecie, ale wzgląd na podejrzenie, jakie ten wyjazd obudzi. Będą pana śledzić, sądząc, że wyjechałeś przez ostrożność. Czy nie czyniono żadnych trudności?

— Żadnych. Nie mogli tego nawet robić, bowiem jestem członkiem ambasady.

— Tedy strzeż się pan tem bardziej. Nieraz otwierano usłużnie bramy miasta, dlatego, że pierwszy krok za próg wiódł prosto w przepaść. Posłuchaj mnie pan i nie pokazuj się tak jawnie bez przebrania na ulicach przed odjazdem, zachodzi bowiem obawa, że pana śledzą celem uniemożliwienia podróży.

— Cóż mam czynić? Wiesz pan chyba, że zabroniono używania masek.

— Tedy nie wychodź pan z domu i nie składaj wizyt pożegnalnych dostojnikom republiki. Kiedyż pan chcesz jechać?

— Jutro, o piątej rano. Mam zamiar spędzić miesiąc w Wiedniu, a czasu tego starczy na uspokojenie matki. Teraz, kiedym powziął nieodwołalne postanowienie, pogodziłem się niemal z ową końską kuracją, mimo, że jest bolesna i dotkliwa. Przełamawszy raz magiczny krąg mej czarodziejki, zdołam może zrzucić na dobre kajdany. Drżę jeno, przyjacielu drogi, na myśl o rozłące i nie wiem, jak przetrwam tę chwilę.

— Najlepiej zerwać natychmiast!

— Jakto? Domagasz się, bym jej nie widział przed odjazdem? To niepodobieństwo!

Andrea chwycił dłoń jego.

— Przyjacielu mój, — powiedział z wylaniem, które powstrzymywał dotąd zawsze — nie mam prawa żądać od pana najmniejszej ofiary. Uczucie

serdecznej sympatji, jakie mnie napełniło od pierwszej chwili, jest samo w sobie nagrodą dostateczną i nie upoważnia do żadnej prośby, zanoszonej w imię przyjaźni. Mimo to jednak zaklinam pana w imię matki, której pełne miłości słowa czytałem, nie idź do domu hrabiny. Ponad wszystkiem, co o niej wiem, a czemu pan nie przeczysz, dominuje przeczucie moje, że narażasz się na wielkie niebezpieczeństwo, jeśli ją zechcesz odwiedzić przed wyjazdem. Przyrzeknij mi pan, drogi baronie, że tam nie pójdziesz!

Wyciągnął doń rękę, ale Rosenberg nie podał mu prawicy.

— Nie żądaj pan formalnej obietnicy, — powiedział, potrząsając głową — niech panu wystarczy, że mam najszczerszą chęć usłuchać rady. Gdyby demon okazał się silniejszym i zniweczył wszystkie spiętrzone przeszkody, doznałbym podwójnej przykrości, mianowicie, że sobie samemu i panu nie dochowałem wiary. Pan nie masz pojęcia, czego dokazać może ta kobieta, gdy zechce.

Zamilkli i przez chwilę płynęli w milczeniu po obumarłym kanale, którego leniwo tocząca się woda, niby toń bagniska, rozstępowała się ospale przed dziobem statku. W pobliżu Rialta zapragnął Andrea wysiąść, wstał i złożył wyrazy serdecznego pozdrowienia dla matki przyjaciela, gdy zaś Rosenberg spytał, czy go zastanie za miesiąc w mieście,

drgnął i wzruszył ponuro ramionami. Długo trzymali się za ręce, a gdy gondola przybiła do wybrzeża, rozstali się po braterskim uścisku. Raz jeszcze ukazało się przez lukę kabiny poczciwe, dobrotliwe oblicze Rosenberga, który dawał głową znaki pożegnania przyjacielowi, stojącemu w zadumie na schodach, wiodących ku wodzie. Rozłąka była dla nich cięższą i boleśniejszą, niż przypuszczali obaj.

Andrea sądził, że zerwał wszystkie nici, wiążące z sobą jednostki ludzkie i że cel straszliwy, jaki sobie wytknął, czyni go obojętnym na wszelkie inne cele życia. Dziwił się przeto teraz onemu cierpieniu, jakiego doznawał na myśl, że będzie musiał przez kilka tygodni obejść się bez przyjaciela. Niebawem jednak uczuł pragnienie nienapotkania go już w Wenecji, zanim dzieło podjęte zostanie dokończone. Postanowił napisać do matki Rosenberga list i przedstawić sytuację w ten sposób, by żadną miarą nie puściła syna od siebie. Wielki mu ciężar spadł z serca, gdy doszedł do tego rezultatu i poszedł zaraz do domu, by plan swój przeprowadzić.

Atoli pokój jego, gdzie nie dochodził nigdy promień słońca i naga ściana kamienicy, widna przez kraty okna bocznego, wywarły nań, gdy siadł pisać, takie wrażenie, że, porwany nagłym niepokojem i trwogą, rzucił pióro i zaczął biegać jak zwierz po klatce. Uświadamiał sobie jasno, że nastrój ten nie

płynął z głębi sumienia jego, że również wzburzenie to nie zostało wywołane obawą, iż zdradził swą tajemnicę i naraził się na zemstę. Tegoż jeszcze ranka widział sekretarza Trybunału i przekonał się o zupełnej bezradności władz. Ranny inkwizytor walczył ciągle ze śmiercią, a im dłużej trwał ten stan, tem mocniej zachwianem być musiało istnienie triumwiratu. Jeden jeszcze cios, a chwiejący się gmach legnie w gruzach. Andrea nie wątpił, że Opatrzność, kierująca dotąd jego ręką, pozwoli mu szczęśliwie dokonać dzieła. Ni na chwilę nie przestał wierzyć w swą misję, to też niepokojące go teraz przeczucie wielkiego nieszczęścia nie stało w żadnej łączności z własnemi jego czynami i planami.

Zmierzchło się już na dobre, gdy posłyszał od strony okna Smeraldiny lekkie kaszlanie, co było umówionym znakiem, że subretka chce z nim pomówić. W ostatnich dniach zaniedbał ją potrochu, dziś jednak rad był ze spotkania, bo mógł zapomnieć o smutnych myślach, a także dowiedzieć się czegoś nowego z pałacu hrabiny, coby mu ułatwiło wgląd w sprawki Trybunału, a może nawet umożliwiło zbliżenie się do któregoś z inkwizytorów. Przystąpił tedy szybko do okna i pozdrowił dziewczynę. Przyjęła go chłodno i protekcjonalnie.

— Rzadko się pan jakoś pokazujesz, — powiedziała — zaznajomiłeś się widać z innemi kobietkami, tak że dla sąsiadki czasu nie staje!

Zaręczył gorąco, że uczucia jego nie doznały żadnej zmiany.

— Jeśli to prawda, — odparła — to mogę pana przyjąć z powrotem do łask. Dziś nadarza się właśnie dobra sposobność pogwarzenia spokojnie. Do mojej pani przybędzie na karty około sześciu młodych ludzi, a nie odejdą napewno przed północą. Możemy się zabawić, a ja już postaram się w kuchni i kredensie, by nam niczego nie brakło.

— Czy będzie także ów Niemiec, o którym mi mówiłaś, że go hrabina chwyciła w swe sieci?

— On? Ani mowy! Jest tak zazdrosny, że nie tknie nogą progu, zwęszywszy rywali. Zresztą wyjeżdża niebawem, my zaś nie martwimy się tem zgoła.

Andrea odetchnął z ulgą.

— O dziesiątej będę czekał tutaj. A może lepiej wejść bramą?

Zadumała się.

— Lepiej bramą, — powiedziała po chwili — odźwierny jest pańskim dobrym znajomym, a gospodyni użyczy panu klucza. Czyż to ze względu na małą Mariettę udajesz pan cnotliwego? Wiesz pan, w czasach ostatnich zaczęłam być o nią na serjo zazdrosną.

— O Mariettę? — dziwił się.

— Zakochana jest w panu po uszy, czyż nie masz oczu, człowieku? Spojrz pan tylko. Chodzi

zadumana i nie śpiewa już na całe gardło, gdy przedtem musiałam sobie zatykać uszy. Widzę też często, jak w czasie pańskiej nieobecności chodzi po pokoju i przetrząsa rzeczy pańskie.

— Czyta moje książki, — odrzekł — pozwoliłem jej na to, a nie śpiewa, bo ma chorą matkę.

— Tłumaczysz ją pan, ale ja wiem wszystko i jeśli się przekonam, że źle o mnie mówi by nas rozdzielić, wówczas wydrapię oczy tej przeklętej czarownicy.

Zatrzasnęła z pasją okno, a Andrea zamyślił się nad tem, co usłyszał. Dawniej, na wieść, że nie jest obojętny pięknej, młodej dziewczynie, uczułby niezawodnie żywsze tętno serca, teraz atoli wysilał się jeno na pomysły, w jaki sposób zejść z drogi temu niewinnemu dziecku, by go nie pociągnąć we własny fatalizm. Przyszło mu na myśl mnóstwo szczegółów, potwierdzających słowa Smeraldiny. Niepodobna ich było nie dostrzec, a razem wzięte, stwierdzały fakt niezaprzeczalny. Postanowił się wynieść, mimo że nigdzie nie był tak jak tu bezpieczny.

O oznaczonej godzinie w nocy stawił się u bramy pałacu, z którego oświetlonych okien padały na plac jasne blaski. Księżyc nie świecił, powietrze było mgliste, nadeszła wcześnie jesień, a nieliczni przechodnie mknęli szybko, otuleni w płaszcze. Andrea czekał i rozmyślał, jak to inny Candiano prze-

BIBLIOTEKA

kroczył pewnego dnia ten próg i wyniósł z domu hrabiny śmierć. Zadrżał, a ręka jego, którą pochwyciła niebawem subretka, była zimna.

Zaprowadziła go do swego pokoju, ale mimo nalegań, nie był w stanie jeść, ni pić. Obrabowała stół swej pani, chowając najlepsze smakołyki dla przyjaciela, on jednak wymawiał się chorobą, oświadczając natomiast gotowość przegrania do niej kilku dukatów w taroka. Przyniósł jej również podarek, tak, że przebolała jakoś, iż jej los nadarzył małomównego i wstrzemięźliwego kochanka. Sama jadła i piła tem zawzięciej, wyprawiała różne hece i wymieniła mu nazwiska młodych Wenecjan, zebranych na karty u hrabiny.

— Tam się bawią inaczej, niż my! — zapewniała — Pieniędzy nikt nie liczy, ale pełną garścią rzuca na kartę. Może masz pan ochotę przyjrzeć się temu? Znasz już przecie sposób.

— Masz na myśli szparę? — spytał. — Czyż jednak nie grają oni w sali?

— Nie! W pokoju hrabiny. Sala używana bywa jeno w dni wielkich przyjęć, w karnawale.

Wnet się namyślił. Na rękę mu było poznać osobistości z arystokracji weneckiej.

— Zaprowadź mnie. Niedługo się nasycę widokiem i wrócę wiernie.

— Tylko nie zakochaj się pan w mojej hrabinie! — zagroziła — Nie żartuję zgoła, gdy mnie ogarnie

zazdrość, a są tacy, którzy twierdzą, że ona jest piękniejsza ode mnie.

Odpowiedział tym samym tonem i, baraszkując, wyszli z pokoju pokojówki. W kurytarzu spotkali kilku lokai w liberji, ale obecność towarzysza Smeraldiny nie wywarła na nich żadnego wrażenia. Nieśli potrawy na srebrnych półmiskach i talerze z tegoż metalu, mijając salę balową. Ciemna była, jak za pierwszym razem, zaś w gabinecie przyległym głośniej było i weselej, niż wówczas. Zająwszy niewygodne stanowisko na estradzie, Andrea ledwie mógł rozpoznać widzianą już komnatę. Wysokie lustra ścienne odbijały stokrotnie blask licznych świec, a złote ramy lśniły, rzucając na sufit jasną poświatę. Jarzyły się również świetne klejnoty Leonory, a Andrea dostrzegł na jej szyi łańcuszek z rubinowym zatrzaskiem, kupiony przez Rosenberga u Samuela. Purpurowy kamień, wyglądał na białem tle piersi jak kropla krwi. Leonora miała wyraz znużenia na twarzy, spozierała w karty obojętnie, a gdy oczyma obejmowała młodych ludzi dowcipkujących za każdą nową stawką, widać było wyraźnie, że nie pociąga jej żaden z nich. A jednak goście czynili, co mogli, by ją rozruszać. Wysilali się na wesołe żarciki, pozbywając się dużo prędzej złota, niż dobrego humoru. Jeden z nich, który przegrał, zda się, wszystko, siedział w fotelu pomiędzy lustrami, grał na gitarze i nucił czułe pieśni.

Inny, odpoczywający po znacznej wygranej, rzucał dukaty, mierząc w zakręty desenia dywanu i nie uznając, by się warto było schylić po złoto. Pośród gości krążyła służba, roznosząc lody i owoce, a śliczny piesek bonoński zabawiał się poufale z wielką, zieloną papugą, miotającą z wyżyn swego pozłocistego drążka śmieszne kalembury i klątwy, wyrażone poprawnym dialektem weneckim.

Andrea chciał się już wycofać z estrady, gdyż to, na co patrzył, budziło w nim nader smutne uczucia, gdy nagle w otwartych drzwiach gabinetu stanęła wyniosła postać mężczyzny. Zebrani powitali gościa ze zdziwieniem i uniżonością. Był to mąż, obarczony wiekiem, ale nosił dziarsko na karku siwą głowę, a chód jego nie miał w sobie nic starczego. Obrzucił szybkiem spojrzeniem młodych ludzi, skłonił się zlekka hrabinie i poprosił, by sobie nie przeszkadzano.

— Domagasz się pan zbyt wielkiej rzeczy, sor Malapiero! — zauważyła — Cześć tych panów dla zasług, jakieś Wasza Miłość położył na lądzie i morzu dla republiki, nie pozwala, byśmy w obecności pańskiej tak grzesznie czas marnotrawili.

— Mylisz się pani, piękna Leonoro! — odparł przybyły — Nadmierna właśnie cześć okazywana mi przez młode pokolenie dała mi się tak dalece we znaki, że wycofałem się ze służby państwowej, a od całych tygodni nie pokazuję się na posiedzeniach

Wielkiej Rady, natomiast chętnie przebywam w wesołem, swobodnem towarzystwie.

— Zaprawdę, — zauważyła hrabina — rywalizujesz sor pod względem ugrzecznienia z tymi oto młodzieńcami, którym się wydaje, że jeno delikatna, kręta, jasna, albo ciemna broda upoważnia do całowania ust kobiety. Ale każę przynieść wina, by wypić za zdrowie pańskie i podziękować za przybycie.

— Przebacz, urocza przyjaciółko moja, — rzekł Malapiero — nie przybywam po to, by korzystać z gościnności pani. Przywiodło mnie tu pragnienie niezwłocznego udzielenia pani wieści o bracie, które mi przysłano kurjerem z Genui. Są one tak pomyślne, że nie zmącą wesołości naszej uroczej gosposi, to też raczcie wybaczyć, panowie, że wam ją zabiorę na chwilę. Może przejdziemy do sali? — spytał, zbliżając się ku drzwiom.

Andrea zdrętwiał. Wiedział, że nie zdoła opuścić estrady, by się móc wymknąć niepostrzeżenie, bo w tejże samej chwili szelest sukni hrabiny dał mu poznać, że znajduje się w sali wraz z towarzyszem. Położył się tylko jak długi na deskach, a poręcz, chociaż niska, zakryła go zupełnie. Usłyszał kroki mężczyzny, oraz jego słowa, że niema potrzeby wnosić świecznika.

— Dwa tylko słówka powiem! — zawołał, zwrócony ku gabinetowi — Żaden z panów nie będzie miał powodu do zazdrości.

Zamknął drzwi i oboje zaczęli chodzić tam i z powrotem pod estradą.

— Co pana sprowadza? — spytała hrabina porywczo — Czy mi pan przynosi wieść o ułaskawieniu Grittiego?

— Jeszcześ pani nie dopełniła warunków, Leonoro. Czyż wydałaś nam pani jedną bodaj tajemnicę ambasady wiedeńskiej?

— Nie moja wina! Uczyniłam wszystko, co uczynić może kobieta. Schwytałam w sieć barona, który rzuca się bezsilny, niby ryba po piasku. Ale nigdy nie wyrzekł słowa, o które idzie. Jutro odjeżdża, jak panu wiadomo. Wściekam się ze złości, że tyle czasu i zabiegów poszło na marne.

— Wolelibyśmy, by zachorował.

— Jakto?

— Chce jechać, nie sposób mu było tego bronić, ale wiemy, że republika poniesie nieobliczalną szkodę, jeśli dotrze rzeczywiście do Wiednia. Podane przezeń powody urlopu są nikłe i nieistotne, zaś idzie naprawdę o to, by donieść Wiedniowi coś, czego nie waży się powierzyć nawet tajnemu kurjerowi. Dlatego to trzeba podróż udaremnić koniecznie.

— I owszem, uczyńcie to, panowie! — odparła — Mnie jest on całkiem obojętny.

— Masz najlepszy sposób w ręku przytrzymania go, Leonoro!

— A mianowicie?

— Poślij pani do niego zaraz, by przyszedł, a znajdzie panią w mniej okrutnym, niż zazwyczaj, nastroju. Nie ulega wątpliwości, że się zjawi tej nocy, a gdy wyjdzie stąd, winien zachorować.

— Złożyłam uroczystą przysięgę, — zawołała żywo — że pod żadnym warunkiem nie zgodzę się na to po raz drugi!

— Przysięga zostanie unieważnioną, a sumienie twe uspokojone, Leonoro! Zresztą nie chcemy wcale, by środek był zabójczy, przeciwnie, należy tego koniecznie uniknąć.

— Róbcie, co wam się podoba! — odrzuciła. — Ja się w to nie mieszam!

— To ostatnie słowo pani?

— Tak jest!

— Ano dobrze, postaramy się tedy, by mu się przydarzyło coś w drodze, chociaż jest to wielce kłopotliwe i bardziej podejrzane.

— A Gritti?

— Innym razem pomówimy o Grittim, teraz jednak musimy wracać do towarzystwa.

Drzwi sali otwarły się i zapadły z powrotem, a Andrea mógł wstać swobodnie. Ale to, co usłyszał, obezwładniło go. Z gabinetu dolatywały rozpasane żarciki młokosów, a straszliwe to sąsiedztwo życia i śmierci, zbrodni i lekkomyślności uczyniło na nim takie wrażenie, że włosy mu stanęły na gło-

wie. Skradając się cicho na dół omackiem, szukał instynktownie sztyletu, który nosił zawsze przy sobie, a na zagryzionych kurczowo wargach pojawiła się krew.

Opamiętał się jednak, wrócił do Smeraldiny i opowiedział jej spokojnie o zabawie wesołego towarzystwa, dodając, że nie będzie już zaglądał przez szparę, bo z biedą ledwo uniknął odkrycia przez hrabinę i starego jegomości. Potem wysypał na stół całą zawartość sakiewki i oświadczył, że musi zaraz odejść. Postanowili wspólnie, że przeprawi się po desce, by nie budzić podejrzeń i niebawem wkroczył na nią spokojny i pewny siebie, mimo, że powziął już niezłomną decyzję dokonania strasznego czynu. Tym razem szło nie tylko o misję jego, ale także o ochronę przyjaciela, o oddanie w ręce matki syna, oraz o uniemożliwienie haniebnego nadużycia prawa gościnności.

Wyszedł po cichu do sieni i wytężył słuch. Z poza zamkniętych drzwi gospodyni dolatywały urywane słowa, skierowane do ducha męża. Zszedł po schodach i otwarł pocichu bramę. Ulica była pusta, gdzieś w dali paliła się przed figurą wieczysta lampka, migotając w wietrze, ale, znając drogę, udał się szybko bocznemi uliczkami, przeszedł wąski most na kanale i dotarł na mały placyk przed pałacem Leonory. Nie dostrzegł nigdzie gondoli i to go upewniło, że starzec wróci pieszo do domu. Obejrzał plac, któ-

rędy iść musiał i uznał za dogodną kryjówkę słup portalu, występujący daleko za płaszczyznę muru. Wcisnął się weń i utkwił spojrzenie w bramę.

Ręka ściskająca sztylet drżała, a krew tętniła mocno w sercu, tak, że musiał zebrać wszystkie siły. Czemuż to dziś nie miał odwagi dokonać czynu, który uważał za swój święty obowiązek, za nakaz konieczności? Walczył z pokusą, szepcącą mu, by porzucił kryjówkę. Ramię jego wparło się w zimny kamień filaru, a lewą dłonią uchylił kapelusza, chłodząc uznojone potem czoło.

— Wytrzymaj! — powiedział do siebie — Może niebo zdarzy, że będzie to czyn ostatni!

Nagle przyszło mu na myśl, że może służba towarzyszyć będzie staremu Malapiero i natychmiast zrozumiał niemożliwość wykonania zamiaru. Uradował się niemal, że wróci do domu bez rezultatu. Ale w momencie, kiedy uczynił krok poza kryjówkę, otwarła się brama pałacu i ujrzał w szarzyźnie nocy wyniosłą postać mężczyzny, otulonego płaszczem. Zbliżał się doń, siwe włosy wyglądały z pod szerokiego kapelusza, a szybkie kroki tętniły po flizach chodnika. Szedł, trzymając się pobliża domów i wnet dotarł tam, gdzie stał ukryty mściciel. Jakby w przeczuciu niebezpieczeństwa odwinął w tej chwili płaszcz, a ręka jego spoczęła na rękojeści szpady, którą mimo zakazu miał przy boku. Minął nieprzyjaciela, nie spostrzegłszy go, i poszedł

dalej dziesięć, czy dwadzieścia kroków, ręka jego puściła połę płaszcza, ale w tejże chwili zachwiał się i zsunął na ziemię. Stal sztyletu przeniknęła głeboko.

— O, moja biedna matko! — wyjęknął, poczem głowa mu opadła na bruk, a oczy zamknęły się na zawsze.

Kilkuminutowa cisza nastała po tych słowach. Zamordowany leżał wyciągnięty z rozpostartemi ramionami, jakby chciał przytrzymać życie, co uleciało. Kapelusz spadł mu z głowy, a z pod siwej peruki wychyliły się kędziory własnych jego, ciemnych włosów. Młodzieńcza twarz jego przybrała taki wyraz jak we śnie. O krok odeń, oparty o mur domu, nieruchomy, niby posąg stał morderca, z oczyma wbitemi tępo w twarz ofiary. Dobywał wszystkich sił, by zaprzeczyć faktowi, by w siebie wmówić, że go zmysły łudzą, że pod tą młodzieńczą maską, przez piekło samo stworzoną, kryją się rysy starca, który przed chwilą w domu Leonory gotował zasadzkę przyjacielowi. Wszakże właśnie dla ocalenia tego przyjaciela pospieszył z zadaniem ciosu, wszakże chciał oddać matce w objęcia syna! Cóż mówił ten oto leżący na ziemi człowiek o swej matce? Czemuż sędzia i mściciel stoi oto jak skazaniec, nie mogąc ruszyć żadnym członkiem i tylko zęby szczękają mu w śmiertelnym strachu, a dreszcz przenika jego ciało?

Krew przysłaniająca mu oczy rzuciła się do serca i zobaczył teraz sztylet tkwiący w piersiach. Odczytał napis: — Śmierć wszystkim inkwizytorom! — jaki sam wyrył z mozołem na rękojeści i sycił się rozpacznie ową dziwną sprzecznością pomiędzy nim, a rysami zabitego. Powtórzył głośno złowrogie słowa, a myśli zawirowały w jego głowie. Zrozumiał wszystko, co zaszło i nie mogło być już cofnięte. Żaden cud nie wmieszał się w tę straszliwą rzeczywistość, wszystko miało przebieg tak naturalny, tak prosty, że dziecko musiało go pojąć. Przez cały dzień Rosenberg unikał pięknej, niebezpiecznej uwodzicielki, mając zamiar wyjechać bez pożegnania. Zawiadomił ją tylko, a ona z obojętnością zupełną zaprosiła na karty utracjuszów. Gdy jednak noc zapadła, nie mógł się dłużej opierać demonicznemu pociągowi i poszedł. Dowiedział się u progu, że hrabina nie jest sama, i postanowił wracać, nie wchodząc. Ta chwila starczyła przyjacielowi, by ukryć się w zasadzce i zamordować go skrytobójczo.

Dopiero, gdy Andrea wszystko to sobie uświadomił z jasnością, jaka przychodzi w decydujących godzinach życia, gdy znikają ostatnie ślady nadziei, odzyskał władzę w członkach. Rzucił się ku leżącemu, przypadł doń i spojrzał w twarz. Zaśmiał się obłędnie, jakby rzęził w przedśmiertnych drgawkach, odgarniając włosy siwej peruki, która go zmyliła. Przyszło mu na myśl, że sam zastawił pułapkę

na siebie i drogiego sobie człowieka, radząc mu, by się bez przebrania nie pokazywał w ulicach Wenecji. Rozpiął suknie jego i, przyłożywszy ucho do ust, nadsłuchiwał tchnienia. Ale nie było go, nie pozostało najlżejszej nadziei.

W tej chwili rozwarła się ponownie brama pałacu i wysoki mężczyzna w płaszczu wyszedł na ulicę. Mignęły w świetle loży odźwiernego białe włosy Malapiera, a tragiczna ironja sytuacji przeszyła duszę Andrzeja. Oto miał przed sobą człowieka, przed którym chciał bronić Wenecję, bezbronną trzodę szlachty i ludu, w pierwszej zaś linji przyjaciela swego. Szedł samotny, okryty jeno maską tajemnicy, którą on przeniknął właśnie. Nic nie stało na przeszkodzie, sztylet był pod ręką. Ale sztylet ten skalała niewinna krew i nic teraz nie różniło sędziego i mściciela od człowieka, na którym mógł zemsty dokonać, jak tylko to, że mord jego był wynikiem fatalnej omyłki, zaś ów nieodpowiedzialny kat zmierzał ku swym celom świadomie, z nieubłaganą pewnością.

Wszystko to przemknęło błyskawicą przez duszę Andrzeja, zerwał się, dobył sztylet z rany i kryjąc się w cieniu, niedostrzeżony jeszcze przez triumwira, pobiegł przez wąski most na kanale w kierunku domu. Musiał zacisnąć zęby, by nie krzyknąć na myśl, że stary Malapiero znajdzie zamordowanego i złoży podziękę nieznanemu sprawcy, który mu oszczędził trudu.

Zastał bramę domu otwartą. Na szczycie schodów, gdzie zazwyczaj siadywała wdowa, ujrzał stojącą Mariettę. Pochylona naprzód, oparta o poręcz, wpatrywała się w sień.

— Wracasz pan nareszcie! — szepnęła — Słyszałam, że pan wyszedł, i spać nie mogłam!

Nic nie odrzekł, z trudem wyszedł na górę i chciał ją minąć, gdy nagle ujrzała sztylet, którego nie krył już nawet. Zachwiała się i, jęknąwszy głucho, padła mu pod nogi. Nie podnosząc jej, udał się do siebie. Miejsca na litość nie było jeszcze w jego sercu, miał przed oczyma matkę, wyglądającą syna, której przywiozą trumnę.

Ledwo zaryglował drzwi, gdy posłyszał pukanie Marietty i jej cichy głos, proszący, by je otwarł.

— Idź spać! — powiedział. — Nic mnie już nie łączy z ludźmi. Jutro rano zgłoś się do Pałacu Dożów po trzy tysiące cekinów. Możesz powiedzieć, że jeden ze spiskowców przestał zagrażać. Nie obawiaj się, by mnie schwytać miano żywcem. Dobranoc!

Nie odstępowała.

— Proszę mnie wpuścić! — błagała — Wiem, że pan zrobisz sobie coś złego, zostając sam. Czyż sądzisz, że mogłabym pana zdradzić dlatego, że widziałam sztylet? Za nic nie ściągnęłabym na pana najlżejszego podejrzenia! Wpuść mnie pan, spójrz na mnie, a przekonasz się, że z mej strony nic nie zagraża. Wszakże dawno miałam przeczucie, że

pan jesteś jednym z tych, których poszukuje policja! We śnie widziałam krew na pańskich rękach, a jednak nie mogę pana nienawidzić. Wiem, że jesteś nieszczęśliwy, to też oddam panu własne życie, weź je, jeśli chcesz!

Nadsłuchiwała, ale nie było odpowiedzi. Miast tego usłyszała, że robi coś u okna, wychodzącego na kanał. Ogarnięta śmiertelną trwogą, szarpała drzwi, wołała, zaklinała, używała najgorętszych słów, prosząc, by się nie dopuszczał desperackiego czynu. Nadaremnie. Gdy wreszcie wszystko ucichło, oparła się w ostatnim wysiłku o drzwi, usiłując wyważyć stary zamek. Po chwili trzasnęły nadwątlone wiekiem deski i uczynił się otwór dość wielki, by przepuścić szczupłą dziewczynę.

Pokój był pusty, nie znalazła go, choć przeszukała wszystkie kąty. Przystąpiwszy do otwartego okna, pewna, że skoczył w kanał, nie miała odwagi spojrzeć w głąb. Po chwili jednak odzyskała nadzieję. Gruby sznur, umocowany do silnego haka, zwisał po murze, sięgając powierzchni wody. Znalazłszy się na dole, można było z łatwością odbić się nogami od muru i skoczyć na schody pałacu hrabiny, u których przymocowana stała gondola. Nie było jej dzisiaj, a biedna dziewczyna, rozejrzawszy się w sytuacji, przyszła przynajmniej do przekonania, że nie mógł obrać lepszej drogi, chcąc się ratować.

Sądziła, że taki miał zamiar, i on to właśnie sam utwierdził ją w tem mniemaniu. Nie chciał obarczać znękanej tak bardzo duszy niewinnej Marietty straszliwą prawdą, że niemasz już dlań ratunku, gdyż sam uciec nie może przed sobą.

Nieszczęsna dziewczyna stała u okna, wylewając gorzkie łzy, a Andrea wpływał już na wody głównego kanału. Po obu stronach wznosiły się ponad wodą czarne ściany gmachów. Minął pałac Morosinich, a przepływając obok pałacu Vernierów uczuł, że groza podnosi mu włosy na głowie. Niby okolone pierścieniem tkwiło tu całe życie jego! Jakiż początek i jaki koniec...

Przepływając obok Giudekki, zobaczył w mdłym blasku wąskiego sierpa księżyca, siejącym się przez mgły, front Pałacu Dożów i przyszło mu na myśl, że tu sądzą zbrodnie. Ale dla niego nie było tu sędziów, bo któż może wyrokować we własnej sprawie? Przytem nie znikła jeszcze do reszty nadzieja, że czyny jego ziszczą wolność obywateli, a nawet zamordowanie niewinnego, które opinja publiczna przypisze napewne Trybunałowi, uwieńczy może zapoczątkowane dzieło i dopełni miary oburzenia na tyranję katów republiki.

Zniweczyłby sam tę nadzieję, stając przed sędziami, znikłaby bowiem groza, wiejąca od tajemniczego spisku, a także ustała odpowiedzialność wobec potężnego mocarstwa zagranicznego.

Silnemi ruchami wioseł parł gondolę w stronę Lida, przecinając na wskoś wody portu, gdzie czuwały statki strażnicze. U wylotu przystani stała wielka feluka, zatrzymująca każdego, kto na zawołanie nie odpowiedział hasłem inkwizycji. Andrea wziął rankiem owo hasło w pałacu, jak to czynili wszyscy funkcjonarusze policji tajnej, to też puszczono go bez przeszkód na pełne morze.

Było spokojne i, wiosłując przez kilka godzin wzdłuż brzegu, nie potrzebował walczyć z falami. Ale wśród tej ciepłej, spokojnej nocy odczuwał tem silniej ból swój i od czasu do czasu bił gwałtownie wiosłami o wodę, by jeno posłyszeć inny ton, niż nieustanne: — O, biedna matko moja!

Północ dawno już minęła, gdy przybił do brzegu, wysiadł i skierował kroki ku samotnemu klasztorowi, stojącemu na wąskim przylądku, znanemu dobrze ubogim rybakom. Żyli tu kapucyni, utrzymujący się z jałmużny, zbieranej u bogatszej ludności miejscowej, oraz kwesty po stałym lądzie, świadcząc nieraz dużo dobrego ludowi.

Andrea zadzwonił do bramy i niebawem posłyszał głos furtjana pytającego, kto przybywa i czego chce.

— Przybywa człowiek umierający! — odpowiedział — Proszę poprosić ojca Pietro Maria, jeśli jest w klasztorze!

Oddźwierny poszedł wykonać zlecenie, a Andrea usiadł na kamiennej ławce pod murem i przy blasku lampki loży furtjana napisał na wydartym z notesu kawałku papieru następujące słowa:

„Do Angela Querini!

Grałem rolę sędziego i zostałem mordercą. Sięgnąłem po wymiar sprawiedliwości, jaki zastrzegł sobie sam Bóg, to też zostałem oplątany w sieć własną i przelałem krew niewinnego. Ofiara moja została odrzucona. Czas się jeszcze nie dopełnił, a misja oswobodzenia Wenecji złożoną będzie w inne ręce. Może też niema już ratunku?

Udaję się przed oblicze Boga, najwyższego sędziego, a on odważy dokładnie winy me i katusze. Od ludzi nie spodziewam się już niczego, od pana zaś tego, że nie odmówisz wielkodusznego współczucia omyłce mojej i nieszczęściu.

Candiano.“

Otwarła się brama klasztoru, a do piszącego przystąpił czcigodny mnich z łysą głową. Andrea wstał.

— Pietro Maria, — rzekł — dziękuję ci, ojcze, że przyszedłeś. Czyś oddał list mój wygnańcowi w Weronie?

Starzec skinął potakująco.

— Jeśli ci, ojcze, zależy na wdzięczności nieszczęśliwego człowieka, to racz złożyć i tę kartkę w jego ręce. Przyobiecujesz to?

— Przyobiecuję! — rzekł mnich.

— To dobrze. Niech ci Bóg nagrodzi, ojcze. Żegnaj mi!

Nie przyjmując podanej mu przez kapucyna dłoni, ruszył przed się, wskoczył w gondolę i wypłynął na morze. Starzec przebiegł oczyma pismo i przerażony zaczął za nim wołać, wzywając do powrotu. Ale nie odpowiadał. Stary sługa republiki ujrzał ze zgrozą ostatniego potomka znakomitego rodu, jak pruł fale, ożywione teraz podmuchem wiatru, zwiastującego świtanie. Przez chwilę rozważał, czy dobrze uczyni, sprzeciwiając się wyraźnie woli umierającego. Nagle z gondoli podniosła się ciemna, wyraźnie dostrzegalna postać. Andrea raz jeszcze objął spojrzeniem ląd i morze, skierował wzrok na miasto, którego zarysy majaczyły wśród mgieł lagunów, a potem skoczył w wodę.

Spoglądający na ostatnie jego chwile mnich złożył ręce i zaniósł gorącą, cichą modlitwę do Boga. Potem wsiadł w stojącą opodal łódź i wyjechał na pełne morze, gdzie tańczyła, miotana falami próżna gondola. Z nieszczęśnika, który nią kierował, nie zostało śladu.

SAMOTNI

Gwałtowne burze, nadciągające ze strony południowej, miotały przez dni kilka morzem, budząc do żywszego krążenia soki drzew figowych, porastających skaliste brzegi Sorento, oraz skrapiając ziemię deszczem i żyźniąc ją wilgocią. Ten i ów powiadał o pomrukach, idących z głębi Wezuwjusza, i prorokował rychły wybuch. Czasem drżały w posadach domy, a nocą słychać było donośne uderzanie o siebie sprzętów i brzęk naczyń blisko stojących przy sobie w szafach. Gdy jednak ostatniego dnia w kwietniu słońce pokonało nakoniec niepogodę, okazało się, że nie poniosły żadnego szwanku miasteczka doliny sorentyńskiej, otoczone winnicami i pomarańczowemi sadami, że nie rozwarły się skały, by je pochłonąć, a wysoki brzeg skalny nie dopuścił mimo wszystko piętrzących się fal morza, usiłujących porwać z sobą w głąb wszystko, czego od setek lat dokonała tu praca człowieka.

Popołudniu dnia tego właśnie, w niedzielę wydostał się z jednego z domostw, zatrzymany w niem wbrew swej woli przez burzę, pewien poeta niemiecki, którego nazwisko jest tu sprawą obojętną.

Po całych dniach wyglądał oknem na morze, otulając płaszczem kolana przed chłodem, płynącym od kamiennej posadzki. Siedział w kapeluszu i spijał szklankę wina po szklance, nie mogąc się rozgrzać. W Neapolu zostawił mały zapas książek, wzięty w drogę, a w domu gospodarza nie było drukowanej kartki, poza kalendarzem i biblją. Nieraz twierdził, że w samotności nigdy nie doznaje nudy, teraz jednak muzy głuche się stały na jego tęskne wołanie o przybycie do towarzystwa, wiatr pochłonął jego głos, a zimno przygłuszyło wszelkie myśli, oprócz pożądania, by się nakoniec zjawiło słońce.

Przenikło wreszcie przez oponę chmur, a więzień spędził połowę tego błogosławionego dnia na sumiennem wygrzewaniu się w jego promieniach, siedząc na otwartej werandzie. Po obiedzie wkroczył na stromą ścieżkę skalną, a wszystkie zmrożone dotąd uczucia odzyskały moc poprzednią. Nigdy dotąd nie widział, by wiosenne słońce było tak wielkie, złociste i zwycięskie, nigdy też nie przenikał go tak do samej głębi rzeźwy powiew morza. W ciągu jednej nocy wyrosły liście figowca na długość palca. Przez pół dnia świecące słońce okryło krzewy, tam opodal, białem kwieciem. Znęcony zapachem wędrowiec pochylał się ku ziemi, a wszędzie znajdował ciemne zagony fiołków. W powietrzu uwijały się roje motyli nie starszych od tegoż dnia, a wszystkie ścieżki wokół pełne były ludzi, idących

pieszo, lub przejeżdżających małemi wózeczkami. Urok podnosiły dzwony kościołów i kaplic, o cztery godziny drogi odległych, pokrzyki chłopców, dążących w górę na kiermasz w Sant Agata, wsi usadowionej na grzbiecie góry, oraz przewlekłe ritornelle kobiet, idących ująwszy się za ręce na nieszpory, lub siedzących na oblanych słońcem dachach i zapatrzonych w morze.

Szedł pod górę snującą się, dość wygodną drogą, coraz to smutniejszy w miarę oddalania się od świątecznego rozgwaru, nie mogąc ujawnić w żaden sposób swej wdzięczności za pełnię otaczających go cudów. Radby był przystanąć tam oto na urwisku i zanucić temu krajobrazowi jakąś pieśń bez słów, będącą jeno echem wszystkich odgłosów wiosennych wokół. Miał jednak powód nie ufać, że głos jego będzie godnym heroldem uczuć, i z zazdrością pomyślał o pewnym tenorze, którym się zachwycał nieraz w Rzymie. O gdybyż dal ową napełnić takim śpiewem. Krocząc po przez tę rozśpiewaną, tętniącą rozkoszą przyrodę uczuł się biednym, milczącym jak złodziej, bezdźwięcznym, niby kij we własnej dłoni niesiony.

— I czemuż to wszyscy sławią poezję jako najwyższą sztukę? — zawołał ze złością — Czyż może ona wyzwolić duszę od niezmiernego brzemienia takich wrażeń. Gdyby wezwano największych, jacy żyli, władców melodyjnego słowa, zamilkliby wobec

tego bezmiaru, podobnie jak ja, biedny epigon. Czemże wyrażą, choćby poniekąd godnie owo światło, ów eter, morze i woń, płynącą z tych gajów pomarańczowych? Najniklejszy nawet z pośród artystów, a więc tancerz prześcignąłby ich tu niezawodnie. Ową dążność wszystkiego ku niebu może wypowiedzieć, przynajmniej gestem i ruchem, całą osobą od czubka głowy do końca palca i może dać wyraz w ten sposób upojeniu swemu. A malarz? Jakże może uszczęśliwić najnaiwniejszego malarza oddanie tego krajobrazu, o ile jeno umie utrwalić na papierze linję tej góry i klasztoru na jej zboczu, las poza nią, granice morza i złamane wiatrem drzewo na pierwszym planie. Jeśli zaś jest mistrzem i potrafi chwycić ową jaśń rozedrganą na żółtej ścianie skalnej, barwę głębiny morskiej spienionej jeszcze, miotanej falami, które wyglądają jak strzępy srebrnolitej materji, mgłę ponad Wezuwjuszem i białe wieżyce pośród zieleni drzew kasztanowych... ach, gotówbym go zamordować z zazdrości!

Dziwnie wzburzony, siadł na kamieniu przydrożnym i spojrzał wokół ponuro. Zasłużył poniekąd na to, by stracić równowagę przez uświadomienie sobie własnego niedołęstwa, gdyż wyszedł zuchwały i pewny, że napotka długo niewidzianą muzę. Wziął z sobą zeszyt i z napięciem wielkiem oczekiwał na motyw liryczny, mogący się wyłonić z poza pierwszej skały, lasu, czy parkanu ogrodo-

wego. Ożywiało go nierozumne, pełne pychy pragnienie dania jakiegoś dowodu swego mizernego istnienia w momencie, gdy wszystko wokół rozrastało się i bujało. Wszyscyśmy zapewne przekonali się, że wielkie dzieło odnawiania się przyrody wprawia nas w stan bezcelowego niepokoju, w którym zamierzamy rzeczy niesłychane, a nie jesteśmy zdolni do niczego i jakby obumarli, podczas kiedy wokół wszystko rozkwita. Owa gorączka wiosenna rzadko jeno przemienia się niestety w czyn, najczęściej zaś sprowadza jeno wyczerpanie i rezygnację.

Poeta zrezygnował niebawem, nie pozbywszy się atoli wrogiego usposobienia względem innych śmiertelnych, lepiej, zdaniem jego, uposażonych.

— Oto wyłażą — mruczał — ze swych nor i zaszkaradzają cały kraj swemi sztalugami i parasolami, siadając do zastawionego obficie stołu przyrody. Starczy im jeno sięgnąć, a mają pełne ręce. Po nasyceniu zaś zmysłów, zabierają niby kielich, z którego pili, dane sobie w podarku szkice i obrazy, budzące wspomnienia i nastroje, ile razy zapragną tego. Mają słuszność, że podróżują na Południe, czeka ich tu bowiem obfita uczta. Ale my, ale ja?

Czyż mnie tu zwabiły złośliwe bóstwa, celem tem większego upokorzenia? Czyż nie dość, że spaliłem w Rzymie wszystkie moje wiersze ku czci Fraskatanki, zobaczywszy jej portret na wystawie? Czemże byłby cały Petrarka wobec płótna, na któ-

remby taki Tycjan utrwalił rysy Donny Laury. Poetyzować można było, zanim się ludzie malować nauczyli. Bo czemże jest poezja, jak nie ustawicznem powtarzaniem, że słowa to nędzarze, niegodni tknąć rąbka szat matki-natury. Na Północy, gdzie niema barw, ni kształtów, może poezja uchodzić jeszcze za królową, tutaj atoli jest nędzarką!

Snując ten zbrodniczy monolog, patrzył na pociemniałe od kwadransa morze, po którem łyskały jeno jasne, promienne smugi. Nie przyszło mu na myśl, że najtęższy malarz musiałby na ten widok odrzucić rozpacznie pędzel, bowiem przeważna część niezrównanego uroku mieściła się właśnie w ciągłej zmianie i grze tonów, w żywym, nieustannym ruchu barwnych elementów. Czyż mamy zwalczać i inne, zgoła przesadne zarzuty, jakiemi zaślepiony obrzucał muzę swoją? Zbyteczne, wiemy bowiem, że mamy do czynienia z jednym ze szczepu wrażliwców, którym po to jeno, zda się, dane zostało słowo, by sobie samym nieustannie przeczyli. Być może, doczekamy jeszcze, że wieczorem owego dnia skruchy i desperacji, w którym radby się był znaleźć o tysiąc mil stąd, uroczyście odwoła wszystko i nie zamieniłby się za nic z samym św. Łukaszem.

To jednak, co się ukazało po lewej stronie na załomie drogi, nie mogło coprawda stłumić jego rozpaczy, przeciwnie, rozpłomienić ją musiało dopiero na dobre.

— Ach, — zawołał z pasją — gdybyż choć zarys, choć kilkadziesiąt linij. Jakże uroczo wygląda na swym osiołku! Jedną nogę przełożyła na poprzek przez grzbiet zwierzęcia gestem pewnym i zdecydowanym, druga zaś, spuszczona, dotyka niemal ziemi końcami palców. Łokieć prawej ręki oparła na kolanie, dłoń u podbródka igra z łańcuszkiem, opasującym szyję, a twarz zwrócona ku morzu. Cóż za masa czarnych włosów na karku! Coś błyska wśród nich czerwono, czyż to koralowa ozdoba? Nie, to świeży kwiat granatu. Wiatr szarpie luźnie zawiązaną chustką na szyi, ciemną karnacją błyszczą policzki, ciemniej jeszcze jarzą się oczy! O, czemuż nie mogę zbliżyć się i poprosić, by postała tak z pół godziny. Uzyskałbym bodaj słaby odblask jej uroczej postaci, a byłby to na zawsze skarb godny zazdrości. Wróciwszy atoli do ludzi z próżnemi rękami, muszę im dopiero opisywać, jak pięknem było wszystko, a oni spytają niezawodnie zaraz: — Któż to malował? — Nie! Nie sposób pochwycić wdzięku tego spokoju, uroku tego ruchu, pełni tej młodzieńczej śmiałości, tych przepięknych rysów. Postać jej faluje wraz z krokiem wierzchowca, a maleńka nóżka chwieje się rytmicznie... Chodźcież tu wszyscy władcy pędzla i zaczarujcie mi to.

Wstał i czekał na nadjeżdżającą, która, nie troszcząc się o nieznanego wędrowca, trwała dalej w tej samej pozycji, czasem jeno ruchem cugli po-

pędzając wierzchowca. Minęła go, ale przesunęła się samym skrajem drogi tak, że w odpowiedzi na pozdrowienie, jakie jej rzucił, dostało mu się jeno skinienie głowy, którą widział z tyłu. Zwoje włosów uniosły się na moment, ukazując przepyszny kark.

Przedziwny pokój owiewał całą jej postać, a jadąc dalej, najmniejszym gestem, czy miną nie dała poznać, że spotkanie wywarło na niej jakieś wrażenie, czy pobudziło ciekawość, co jest rzeczą zupełnie naturalną, gdy się spotyka na odludnej drodze górskiej młody człowiek z piękną kobietą. Czy była dziewczyną, czy mężatką, nie mógł odgadnąć ani z ubioru, ani zachowania. Minęła jej pierwsza młodość, ale chociaż nie miała w spokojnych rysach dziewczęcego zaciekawienia, wyrazu kokieterji, ani także nic odstręczającego, to jednak świeżość i czystość oblicza była taką, jakiej nie spotyka się często u zamężnych kobiet w tych okolicach. Odziana była napoły po miejsku, miała tylko jedwabną spódniczkę, krótszą nieco i głęboko wycięty stanik. Do pół ramienia sięgające rękawy zakasała, na głowę wdziała chustkę, chroniącą od słońca, a duży kapelusz słomiany zwisał u siodła.

Już miała zniknąć na zakręcie drogi, gdy wędrowiec, powziąwszy postanowienie, ruszył za nią spiesznie. Doścignął jej niebawem, ale osioł kroczył dalej brzegiem uparcie, tak że pomiędzy kapeluszem jadącej, a stromą ścianą skalną zostawało bardzo

mało miejsca. Dziewczyna nie zwróciła ku idącemu głowy, mimo rozmowy, jaką z nią wszczął teraz. Głos miała głęboki, a mówiła złym dialektem neapolitańskim. Odpowiadała krótko, ale bez chęci pozbycia się pytającego, ani też zatrzymania go przy sobie przekornemi słowami.

— Jedziesz pewnie z Sorentu, piękna samotniczko? — spytał.

— Nie. Z Mety.

— Byłaś w odwiedzinach u znajomych niezawodnie, panienko?

— Wracam z kościoła, panie.

— Pewnie na kiermasz w Sant Agata?

— Nie.

— Wszakże droga tam wiedzie?

— Nie, panie.

— Bądźże tedy łaskawa wskazać mi drogę właściwą.

— Musi pan zawrócić — odparła i teraz nie zwracając się ku niemu — i zboczyć w lewo pierwszą napotkaną ścieżką, a potem iść gościńcem.

— Nie myślę wracać i wolę nie być na kiermaszu. Raczej będę szedł kawałek przy tobie, panienko, jeśli pozwolisz?

— Jak pan chce, droga nie dla mnie samej została zbudowana.

— Bardzobym był rad, gdybyś raczyła ku mnie zwrócić buzię, panienko!

Uczyniła to spokojnie, a rysy jej nie poruszyły się wcale.

— O cóż idzie? — spytała — Co mi pan chcesz pokazać?

— Przeciwnie, to ty, panienko, masz mi coś do pokazania.

— Ja?

— Jesteś piękna. Pokaż mi swoje oczy.

— Morze piękniejsze ode mnie i patrz pan lepiej na nie, niźli w moje oczy, które panu nic powiedzieć nie mogą.

— Morze? Widzę je ciągle z werandy mego mieszkania.

— Ja nie. To też korzystam ze sposobności... — to rzekłszy, obróciła głowę.

— Wszakże wszędzie z gór widać morze? — zauważył.

— Młyn brata mego stoi w głębokim wąwozie, skały sterczą ze wszystkich stron, a krzewy zasłaniają do reszty widok.

— Mieszkasz u brata, piękna panienko?

— Tak, panie.

— Niedługo to pewnie potrwa, chyba chłopcy w Meta nie mieliby oczu.

— Niech je sobie i mają, cóż mnie obchodzą ich spojrzenia. Szczęśliwszą się czuję u brata niż wszystkie kobiety na całej równi sorentyjskiej, aż po sam Neapol.

— Nie zaznałaś nigdy przykrości ze strony bratowej?

— Nie ma żony i nie będzie miał nigdy. Żyjemy sobie oboje i prócz opieki Madonny niczego nam więcej nie trzeba.

— Czyś pewna, panienko, że tak będzie zawsze i że mu nie wpadnie w oko żadna dziewczyna?

— Tak pewna jestem, jak tego że żyję! Ale czemuż to pana tak interesuje?

Uderzyła osła dłonią po karku, aż wstrząsnął uszami.

— Czemuż brat nie udał się z tobą razem do Mety? — spytał Niemiec, chociaż go brat dziewczyny zgoła nie obchodził.

— Nie opuszcza młyna, chyba gdy idzie spowiadać się w góry, do Deserty.

— Czy chory?

— Nie chce poza mną znać nikogo. Nawet widok morza sprawia mu przykrość, od kiedy... Ale cóż to, czy pan jesteś *prete*, czy agent policji neapolitańskiej?

Roześmiał się szczerze.

— Ni to, ni to! — odparł— Sama jednak, panienko, zmuszasz mnie do pytań! Gdybyś ku mnie zwróciła buzię, zapomniałbym zaraz o gadaniu. Tak jednak, muszę się pocieszać słuchaniem twego głosu.

Zmierzyła go poważnem spojrzeniem i spytała:

— Czemuż się pan tego ciągle domaga? Czyś pan malarz?

Umilkł na moment, uczuwszy dawną zawiść do malarzy, którym jedynie przysługuje prawo podziwiania piękna. Trudno jednak mieć im za złe to, co związane jest z zawodem. Szczęśliwcy podróżują sobie swobodnie po całym świecie, a sztuka daje im prawo zagłębiać się w oblicze i tej nawet cudnej dziewczyny. Jakże miał jednak rzecz wyjaśnić, skoro pewnie nie wie nic o szlachetnem bractwie poetów.

— Użyję sobie raz i ja! — pomyślał i odrzekł zuchwale. — Tak. Jestem malarzem i jeśli pozwolisz panienko... Ale jakże panience na imię?

— Teresa!

— Jeśli pozwolisz, piękna Tereso, udamy się oboje razem do młyna i tam naszkicuję twój portret.

Prośbę tę wyraził lekkomyślnie i bez wahania, zapragnąwszy ujrzeć brata i zobaczyć osiedle samotnego rodzeństwa. Pomyślał, że w decydującym momencie znaleźć się musi jakiś wybieg. Wszakże kłamał jeno z konieczności. Czyż nie był do tego naprawdę zmuszony koniecznością patrzenia dalej w oczy Teresy?

Namyślała się chwilę, potem zaś rzekła:

— Jeśliś pan malarz, to proszę zrobić mój portret dla brata. Gdy umrę, będzie mnie miał przed oczyma jak za życia. Patrz pan, ten szeroki potok,

wypływający z czeluści i rzucający się w poprzek drogi do przepaści, pędzi nasz młyn. Musimy skręcić w prawo wzdłuż jego brzegu. Wezbrał bardzo po deszczu i nie sposób dojść wąską ścieżką w samym wąwozie. Zaczekaj pan, wsadzę pana na osła i przeprowadzę.

— Przeprowadzisz go pieszo? Za nic, piękna Tereso!

— Innej rady niema i musisz pan zostać. Choćbyś bowiem pan chciał iść boso jak ja, nie znasz koryta i upadałbyś za każdym krokiem.

Wstrzymała wierzchowca i zesunęła się zeń zgrabnie. On stał niepewny i zakłopotany tem, że ją oszukuje, ona zaś zdjęła trzewiki i pończochy z pięknych nóżek i, patrząc nań spokojnie, ujęła cugle osła.

— Zgoda! — zawołał ze śmiechem — Śmiesznie i niezbyt po rycersku będę wyglądał, coprawda, pozwalając się trudzić panience!

Wsiadł i zbliżyli się do wody, Teresa szła przodem, wiodąc osła, którego trzęzlę okręciła sobie wokoło ramienia. Zanim wkroczyła w nurt, rzuciła jeszcze jedno, długie spojrzenie na morze, potem zaś, skręcając w prawo, ruszyła śmiało, nic sobie nie robiąc z prądu, toczącego wielkie głazy i wypełniającego cały wąwóz. Po pełnej jasności i cieple dnia ogarnął ich tu nagle mrok i chłód, a krzewy zwieszały się po obu stronach, dotykając ich niemal.

Niemiec jechał na ośle, stąpającym ostrożnie z kamienia na kamień, woda pryskała mu wyżej kolan, a on spozierał w górę, gdzie w wysokości jakichś stu kroków widniał wmurowany w skałę w dość niebezpiecznem położeniu młyn, równie szary, jak otaczające go ściany kamienne. Z powodu niedzieli koło nie obracało się i nie dolatywał żaden odgłos prócz szumu potoku i krzyku jastrzębia, który polatywał nad wodą, chłodząc sobie pierś unoszącym się z niej oparem. Teresa kroczyła teraz po drugim brzegu tuż przy skale, a ścieżka czasem ukazywała się pod jej stopami, to znów znikała pod wodą. Milczała. Trudnoby się było zresztą porozumieć w tym huku, wzmożonym jeszcze resonansem odbitych ech. Dopiero w pobliżu domu rozstąpiły się nieco ściany skalne, ścieżka podniosła się nad wodę, a jeździec, ujrzawszy suchy grunt pod stopami osła, zeskoczył, zadowolony w skrytości serca, że przynajmniej nikt trzeci nie widział tej całej dziwnej przeprawy.

Młyn był jak wymarły. Stojąc tuż przy nim, przybysz mógł był go wziąć za kulisę teatralną. Zamknięte okiennice, brunatne drzwi bez klamki, jakby ich nigdy nie otwierano i cień pod okapem dachu, wszystko to mogło być równie dobrze wymalowane. Dziewczyna otworzyła tymczasem bramę wykutej w skale stajni i wpuściła szarego przyjaciela do wnętrza. Potem nacisnęła lekko drzwi domu i, poprzedzając cudzoziemca, przekroczyła próg.

Jednem spojrzeniem objął z łatwością całe wnętrze. Pośrodku była szeroka izba, zajmująca całą rozciągłość w głąb, z ogniskiem pod ścianą, prostym stołem, stołkami i szafą ścienną, zawierającą naczynia. Po prawej widniała, zwrócona ku skale, komora z łóżkiem, po lewej zaś właściwa młynarka z mnóstwem worów, kamieni, kół i dźwigni. Otwarte były również drzwi w tylnej ścianie, a przybysz ujrzał dość obszerną łąkę, na której leżał jeden jeno snop słonecznych promieni. Obejmowała kilka morgów, wzniesiona znacznie ponad łożysko potoku, nadawałaby się pod uprawę, gdyby nie wysokie, pionowe ściany skalne, które sprawiały, że powietrze było tu za chłodne i nie przenikało do tego miejsca słońce. To też ni kwiatów, ni warzyw nie było, a nad wodą pasła się jeno koza. W jednym punkcie, gdzie przez wyłom w skałach padał snop promieni, stały niby cud pośrodku łąki dwa drzewa pomarańczowe, niezbyt obfite w owoc, ale świeże i powabne.

— Brata niema w domu, Tereso! — zauważył Niemiec.

Spojrzała po łące i odparła:

— Oto tam jest, u krańca wąwozu. Woda naruszyła mur tamy. Narzuca na kamienie wał ziemi, by nie dopuścić zalania łąki. On pamięta o wszystkiem i wszystko umie. Za tysiąc lat nie odnalazłby nikt mądrzejszego odeń człowieka!

— Czemuż się marnuje w samotności?

— Bo tak chce.

— Biedaczko! Czyż tuś wyrosła i nie widziała więcej słońca, niż te dwa drzewa pomarańczowe? Wątpię o tem. Policzki twe, panienko, zbyt są smagłe, by miały pociemnieć podczas wędrówek do kościoła.

— Dopiero przed niespełna czterema laty przybyliśmy tu, — odparła — a Tomasso kupił młyn. Przedtem, gdy uprawiał w Neapolu rybactwo, nie miał pojęcia, jak wygląda koło młyńskie i jak się obracają kamienie. Ale pierwszego dnia zaraz puścił go w ruch, stary młynarz bowiem zmarł właśnie, i uczynił to z taką łatwością, jak gdyby niczem innem nie zajmował się od dzieciństwa. Niema na królewskim dworze mądrzejszego od Tomassa człeka!

Przybysz słuchał, nie mógł atoli dostrzec twarzy pracującego na skraju łąki Tomassa, który nie spojrzał nawet ku młynowi. Widział jeno jego wyniosłą postać, czarne, kręte włosy, szary kapelusz i ciemny kaftan, luźnie zwisający z ramion.

— Cóż go zniechęciło do miasta, morza i pięknego zawodu? — spytał siostry, stojącej obok.

Udała, że nie słyszy i rzekła:

— Wie pan co? Zacznij pan zaraz mój portret, by był gotów, zanim brat wróci. Spytamy kogo przedstawia, a jeśli pozna, da panu zań, ile zechcesz, bo wcale nie jesteśmy biedni. W Neapolu brat miał siedmiu rybaków, wyjeżdżał na morze trzema barkami i mógł kupić posiadłość ziemską miast tego

młyna. Cóż mu jednak po pieniądzach, gdy go serce boli. Siadaj pan! Przestanę gadać, bo na papier przenieść należy usta, oczy i wszystko w spokoju.

Biedny nasz znajomy w niemałym znalazł się kłopocie.

— Trochę tu ciemno! — zauważył, a serce mu zabiło.

— Idźmy tedy na łąkę.

— Tam znowu za jasno, Tereso. Wiesz dobrze, jak trudno znaleźć właściwe oświetlenie.

— Mam radę! — zawołała żywo, otwierając okiennice — W izbie teraz w sam raz jasno i gdybym umiała, zarazbym pana jak najdokładniej odmalowała na ścianie.

— Ano to zaczynajmy! — powiedział zuchwale.

Przysunęła dwa stołki do okna, przez które widać było całe koryto potoku i czeluść skalną, a on dobył papier, przeznaczony na dar muzy poetyckiej, wziął w rękę ołówek i poprosił, by usiadła.

Ciemny rumieniec oblał smagłe policzki dziewczęcia, gdy uczuła na sobie jego bystre spojrzenie. Oczy, ponad któremi rysowały się czarne rzęsy, niby skrzydła orła patrzyły nieruchomo na świat, czasem słoniła je tylko mgła natężenia. Poprosił, by się poruszała swobodnie, gdyż to nie zaszkodzi portretowi. Nie mogąc się powstrzymać, dotknął jej włosów, poprawiając niby fryzurę.

— Tereso! — szepnął.

— Co? — spytała.

— Nic!

Niepodobieństwem było rzec coś czułego, lub oklepanego wobec spojrzenia jej wielkich oczu. Czoło miała silnie zarysowane, szerokie i równe, a brwi spokojne i sklepiste. Postanowił udawać przez pół godziny, że rysuje gorliwie, rozkoszować się jej widokiem, potem zaś podrzeć papier, spędzić wszystko na złe światło i brak usposobienia, a wkońcu odejść.

Obrał spokojnie pozycję i zaczął, w tej jednak chwili spostrzegł na ścianie komory przeciwległej portret mężczyzny w czarnych ramach i to dało mu pożądany pretekst przerwania.

— Śliczny masz, widzę, Tereso, portret brata! — powiedział i wstał, by go obejrzeć — Któż go malował? Zaiste jest to doskonała rzecz! Cóż za łagodne, a płomienne rysy? Coraz to większą odczuwam ochotę poznania go samego.

— Nigdy pan nie poznasz człowieka, którego ten portret wyobraża! — powiedziała z wahaniem.

— To nie brat?

— To jego przyjaciel. Zmarł za młodu, a wielu go opłakiwało.

— Przykro pani, Tereso, mówić o tem, przebacz tedy natrętne pytanie.

Usiadł znowu przy oknie. Rumieniec znikł z jej twarzy, a oczy przygasły. Po pauzie, podczas

której słychać było jeno szum z głębi parowu, zaczęła sama.

— Słusznieś pan powiedział, że był łagodny i płomienny zarazem. Mogło go oszukać dziecko, a skoczyłby w krater Wezuwjusza na żądanie osób kochanych. Mężczyźni są, jak powiada Tomasso, źli, on jeden był dobry. Kto go ujrzał, odczuwał, że niema na świecie czystszej duszy. Czyż dziwne, że Tomasso nie znosi morza, które mu pochłonęło takiego przyjaciela? Serce jego rozdarte od dnia, kiedy ruszył wraz z nim na połów, a wrócił sam. Nikt mu za złe nie miał, że posmutniał i znienawidził rzemiosło swoje.

— Czy zmarły był rybakiem, jak brat?

— Był śpiewakiem. Rodzice jego żyją dotąd. Będąc chłopcem, zachwycał już wszystkich śpiewem po kościołach. Bogaty stryj, mający na plaży restaurację, dał go na naukę do pewnego mistrza i miał niebawem wstąpić do opery. Wyobraź pan sobie, że przyszedł on do mego brata w przeddzień pierwszego występu, kiedy cały Neapol o nim jeno mówił. Przybył wieczorem, byli zaś zdawna zaprzyjaźnieni.

— Toma, — powiedział — możebyśmy się przejechali po morzu?

— Nie mam czasu, Nino, — odparł brat — muszę zapuścić sieci, wezmę tedy jeno pomocnika Beppa.

— Daj mu spokój! — namawiał — Ja ci pomogę. Przekonasz się, że nie zapomniałem niczego przez czas ślęczenia nad nutami.

— Pojechali. Widzę ich dotąd. Nino siadł u steru, a Tomasso wiosłował. Włosy biednego Nina pałały poświatą zachodu, oczy zaś wpatrywały się w nasz dom. Obraz ten mam nieustannie przed sobą. Zaledwo słońce zaszło, usłyszałam uderzenia wioseł, wybiegłam, ale Tomasso był sam, wiosłował jak szalony i krzyczał:

— Dobry wieczór, Tereso! Przynoszę ci pozdrowienie od Nina, który śpi na dnie morza! — Więcej nie rzekł nic.

— Straszne to, szkoda pełnego nadziei młodzieńca! Jakże się jednak to mogło stać? Wszakże było ich dwu i mieli łódź.

— Ściągnęła go w głąb ciężka sieć. Kołek, którym była przytwierdzona do burty, ułamał się nagle, oni zaś rzucili się, by przytrzymać tonącą sieć. Nino zaplątał się w nią, łódź została przewrócona, a gdy Tomasso wypłynął na wierzch, ujrzał pustą barkę, obok zaś na fali słomiany kapelusz przyjaciela z wstążką, którą go przybrałam dnia poprzedniego.

— Biedny Nino!

— Nie żałuj go pan! — zawołała — Poszedł prosto do raju i śpiewa słodkim swym głosem Madonnie. Żałuj raczej brata mego, bo cała radość życia jego zatonęła w głębinie i żaden nurek jej nie

wydostanie. Od dnia tego nie uśmiechnął się ni razu biedny Tomasso. Zanim poszedł w góry, spalił łodzie i sieci, a ludzie, patrzący na to, mówili: — Dobrze czyni! — Wiedzieli bowiem wszyscy, że był mu bratem.

Umilkła i zapatrzyła się w głąb czeluści, ręce złożywszy na kolanach. On zaś zatopił się w dziwne losy chłopca, które ją tak wzruszały, nie myśląc o rysowaniu. Nie odczuwała już widać goryczy nieszczęścia, a jeno miała przed oczyma duszy czysty obraz młodzieńca i słyszała słodki głos jego.

Tem bardziej przeraził się przybysz, widząc, jak jej spokojne rysy ogarnia wyraz dzikiej namiętności. Niby łabędź na widok węża, zerwała się z sykiem ze stołka. Drżała całem ciałem, piersi jej falowały, wargi pobladłe rozwarły się kurczowo.

— Cóż to, Tereso? Co się stało? — spytał.

Daremnie usiłowała wyrzec słowo. Spojrzał w punkt krańcowy wąwozu, w którym utkwiła oczy, ale doznał większego jeszcze zdumienia, gdyż to, co zobaczył, zgoła strasznem nie było. Mokrą i napoły jeszcze zalaną ścieżką kroczyła osoba, nie mniej pociągającego wyglądu od Teresy. Była to młoda, jasnowłosa, całkiem czarno ubrana kobieta, a szła ostrożnie, stąpając po wodzie ku młynowi. W lewej ręce niosła trzewiki i pończochy, prawą podgięła bufiastą spódnicę ruchem zuchwalszym jeno trochę od Teresy. Kapelusz słomkowy z polatującemi na

wietrze czarnemi wstążkami, zesunął się jej na kark, odsłaniając twarz zdala już połyskującą bielą i rumieńcem. Oczyma śledziła pilnie zakręty ścieżki.

— Kto jest ta kobieta, Tereso, i czemu tak oddziaływa na ciebie? — spytał cudzoziemiec.

— Cóż on uczyni? — mruknęła do siebie, nie zważając nań — Jeszcze piękniejsza niż przedtem! To fatalne! Cóż znaczy ta czerń? A może stary zmarł? Święta Madonno!

Najdziksze myśli mknęły jej snadź przez głowę, bo mówiła do siebie, zapomniawszy zupełnie o gościu.

— Niech przyjdzie! Dobrze! Znamy ją i nie boimy się!

Wspomniawszy, że nie jest sama, dorzuciła żywo:

— Musisz się pan schować do młyna! Nie może pan tu zostać, nienawidzi mnie bowiem i oczerniłaby niezawodnie, zobaczywszy tu kogoś obcego. Wstańże pan, na miłość boską i bądź cicho, by nie usłyszała. Nie potrwa to długo, jak sądzę.

— Jeśli zawadzam, Tereso, — powiedział — to odejdę drugim końcem wąwozu.

— Zmylisz pan napewne drogę, a tędy idąc, musisz napotkać tę czarownicę.

— Namyśl się dobrze, Tereso! — zauważył — Cóżby się stało, gdyby brat wszedł do młyna i zastał człowieka obcego?

— Brat zna mnie! — odparła dumnie.

— Słowo jeszcze! Któż ona jest? Czemże zagraża ta kobieta?

— Najgorszem. Ale znam Tomassa. Jest to żona stryja Nina. Gdy woda wyrzuciła jego zwłoki pod Pozzuoli, jej jeno oczy pozostały suche. Niech jej Bóg przebaczy, ja nie mogę! Znienawidziła mnie, bowiem wielu uznało mnie za piękniejszą. Chce mi porwać brata podstępem. Ale Tomasso zna ją, zresztą któżby nas mógł rozłączyć? Proszę, wejdź pan tu i zachowuj się cicho. Potem powiem bratu, czemu to uczyniłam.

Wepchnęła go i zamknęła szczelnie drzwi, potem zaraz, jak słyszał, wybiegła spiesznie na łąkę. Więźnia opanowało w pierwszej chwili przygnębienie i obawa, niebawem jednak niezwykłość przygody wzięła górę i zaczął układać, co uczyni w danym wypadku. Przytem rozglądał się, obserwując różne nieznane sobie przyrządy, prymitywny mechanizm koła, wielkie sita, skrzynie i różnej wielkości kamienie młyńskie, oparte o ściany. W kącie stało łóżko Tomassa, na kołdrze leżała książka do nabożeństwa, nad wezgłowiem widniała kropielnica. Światło słońca dostawało się tu jeno przez luki w osadzie koła, ukazując sprychy jego, oraz przeciwległy brzeg parowu. Za chwilę spostrzegł otwór w ścianie od strony izby, której część mógł ogarnąć spojrzeniem. Tu zajął stanowisko, oczekując z rosnącem coraz zaciekawieniem dalszego toku sprawy.

Niebawem rodzeństwo wróciło z łąki, a więzień zauważył bliźniacze podobieństwo brata do Teresy. Mięśnie jego twarzy grały jakiemiś otamowywanemi ruchami, a z oczu łyskało ponuro. Nie zauważył, zda się, że kaftan spadł mu z pleców. Stał długo przy stole, skrzyżowawszy ramiona, i kiwał czasem głową, słuchając siostry, szepcącej mu coś gwałtownie w miejscowem narzeczu, czego cudzoziemiec nie rozumiał. Ale myśli jego zdały się bujać daleko. Czasem drgnęła mu dolna szczęka, milczał jednak ciągle. Miał około trzydziestu lat, a uwięziony w młynie dziwował się pięknej jego postaci.

Rozległo się pukanie z zewnątrz, a Teresa odskoczyła od brata i, usiadłszy na stołku przy ognisku, ujęła w rękę kołowrotek. Zdawało się, że pracuje już co najmniej godzinę, gdy, na zawołanie Tomassa, który nie zmienił postawy, drzwi się otworzyły. Twarz jej była teraz chłodna i spokojna.

Jasnowłosa kobieta weszła z niejakiem wahaniem, pozdrowiła obecnych i zaczęła zakłopotana poprawiać coś koło ubrania. Potem otrząsnęła ze spódnicy krople wody, postawiła na ziemi trzewiki i wsunęła je na nagie stopy. Poruszenia jej były miękkie, pełne uroku, napoły jakby świadome, naturalne i wdzięczne. Twarz, rozgrzana zmęczeniem, pałała gorącym rumieńcem, a czarna suknia podkreślała wyraźniej jeszcze delikatną karnację ciała i matowy ton jasnych włosów, niezwykłych na Po-

łudniu. Była nieco niższa od Teresy, pełniejsza i bardziej gibka, a ruchy posiadała żywsze. Oczy ciemne paliły się żarem neapolitańskiego nieba.

— Dzień dobry, Tereso! Jak się masz, Tomasso? — powiedziała.

— To ty, Łucjo — odrzekła dziewczyna — Cóż cię sprowadza z Neapolu do naszej samotni?

— Proszę, usiądź, witamy cię, Łucjo! — rzekł brat, nie ruszając się z miejsca.

Powolna zaproszeniu, usiadła przy oknie i dalej poprawiała odzież.

— Miałam interes w Carrotta — ozwała się po chwili, zdejmując kapelusz słomkowy i odgarniając z czoła włosy — to też postanowiłam przed odjazdem odwiedzić cię, Tereso. Droga do was bardzo uciążliwa, a długo trwała niepogoda.

— Młyn szedł za to doskonale! — zauważyła Teresa krótko.

Łucja rozejrzała się po izbie, a spojrzenie jej musnęło twarz Tomassa, który z pozorną obojętnością malował kredą po stole kreski, jedną przy drugiej. Wszyscy troje wiedzieli, że paść muszą słowa decydujące, ale każde czekało, by ktoś zaczął pierwszy.

— Przynieś Łucji szklankę wina! — powiedział wreszcie Tomasso, nie patrząc na siostrę, która przędła gorączkowo.

Przybyła zawahała się, potem zaś rzekła:

— Nie trzeba wina, zaraz iść muszę. Wieczór się zbliża, a w przystani Carrotty czeka na mnie barka, którą chcę dostać się przed nocą do Neapolu. Jakże długośmy się nie widzieli? Czemuż nie zjawisz się kiedy u mnie, Tereso? Ciężko być musi przetrwać zimę w tym wąwozie.

— Nie ciężką mi jest najmroźniejsza zima, gdy jestem przy bracie. Cóż mam do roboty w Neapolu, nie mam tam przecież nikogo.

Zamilkli znowu. Wkońcu rzekł Tomasso spokojnie, zwracając się do siostry.

— Czyś zrobiła w stajni porządek przed nocą?

Zadrżała zlekka, wiedząc, co to znaczy. Spojrzawszy na brata, poznała z powagi jego, że chce, by wyszła, odstawiła tedy kołowrotek i po chwili hałaśliwie krzątała się u drzwi stajni, by usunąć podejrzenie, że podsłuchuje.

Stojący w ukryciu przybysz uczuł silne bicie serca, gdy się znalazł sam na sam z tą parą. Poczęści znał jeno przeszłość obojga, ale wiedział dość, by przeczuwać, że nastąpi scena ważna. Spoglądał raz po raz na mężczyznę i siedzącą u okna piękną kobietę, i odczuwał całą przykrość sytuacji. Miały paść słowa, nie przeznaczone dla uszu osoby trzeciej. Przeleciało mu przez myśl, by się wycofać w najdalszy kąt komory młyńskiej, ale kroki zdradziłyby go niechybnie, musiał tedy stać na miejscu.

Milczenie trwało przez czas jakiś jeszcze, potem rzekła Łucja:

— Siostra twa, Tomasso, nienawidzi mnie! Cóż jej uczyniłam złego?

Wzruszył ramionami.

— Nie mogę się czasem uspokoić, — mówiła dalej — myśląc, że z jej to właśnie winy tak odsunąłeś się od nas. Nie chce, by ktoś rzekł do ciebie słowo, chce cię mieć wyłącznie dla siebie.

— Tak nie jest, Łucjo! — rzekł oschle— Miałem własne powody, opuszczając Neapol.

— Wiem, Toma, wiem. Najmniejsze dziecko zrozumie, że po tem nieszczęściu utraciłeś wszelkie zamiłowanie do rybołóstwa. Ale minęłoby to pewnie, gdyby nie Teresa, która cię namówiła, byś się zamknął w tej pustce i dziczy. Wszakże wszystkim nam los się daje we znaki, a musimy żyć pośród ludzi. Nieszczęścia zsyła niebo, nie należy przeto trwać w zapamiętałości i nienawidzić ludzi, którzy niczemu nie są przecież winni.

— Czy nie są winni, to jeszcze kwestja! — zauważył.

Spojrzała nań przenikliwie.

— Nie rozumiem cię, Toma! — powiedziała — Wielu rzeczy od wyjazdu twego nie rozumiem. Czemużeś nie odpisał ani razu na moje listy, przesyłane przez parobka Angela. Mówił, że ci doręczył oba

do rąk własnych, inaczej mogłabym była mniemać, że je przejęła Teresa.

— Listy? Spaliłem je.

— I cóż mi teraz odpowiesz?

— Łucjo, nie przeczytałem ni słowa.

Zadrżała, on zaś ciągnął dalej:

— Angelo zawiadomił mnie o śmierci twego męża. Zmartwiłem się tem, bo był to prawdziwy galantuomo i niesprawiedliwość, jakiej się względem niego dopuściłem, ciąży mi teraz podwójnie. Jesteś młoda i piękna, Łucjo, znajdziesz przeto niebawem innego, młodszego. Bądź z nim szczęśliwą!

Rzekłszy to, rzucił kredę, założył ręce w tył i zaczął chodzić po izbie, a ona śledziła jego ruchy z niespokojnem napięciem. Wreszcie spytała:

— Czy Teresa wie, że jestem wdową?

— Poznała to teraz dopiero po żałobnej sukni twojej. Przez ciąg czteroletniego pobytu tutaj nie wymówiliśmy nazwiska waszego.

— Nie czytałeś listów, przeto nie wiesz, że mąż mój zapisał ci trzysta piastrów. Ale musisz je osobiście odebrać w sądzie w Neapolu, gdzie są złożone w depozycie.

— Niechże sobie tam leżą do sądnego dnia! — odparł bez namysłu — A może wolisz rozdać je ubogim. Nie pójdę po nie, choćbym był w przykrzejszych warunkach, niźli te, w jakich się, Bogu dzięki, znajduję. Nie wezmę pieniędzy od twego

męża, Łucjo, choćby mi przyszło umrzeć z głodu.

— Cóż mówisz, Tomasso! — rzekła cichym, smutnym głosem — Jakże sobie mam to tłumaczyć? Wszakże inaczej rozmawialiśmy dawniej z sobą!

— Tem gorzej, że tak było!

Wstała z krzesła i przystąpiła doń, usiłując lękliwie spojrzeć mu w oczy. Ale patrzył uporczywie w stół, przy którym stanął ponownie, jakby chciał zasłonić się czemś przed tą, pełną ponęt, kobietą. Założyła ręce pod wydatnemi piersiami, a Niemiec dostrzegł ze swego punktu obserwacyjnego błękitne żyłki na krągłych ramionach i cienkie palce, drgające nerwowo u bijącego mocno serca.

— Cóż ci uczyniłam złego, Toma? — spytała ledwo dosłyszalnie — Jeśli mnie ktoś przed tobą oczernił, to powiedz otwarcie, ja zaś położę dłoń na hostji i przysięgnę, że nie poczuwam się do żadnej winy. Żyłam z mężem mym, jakby żywcem pogrzebiona, od kiedyś wyjechał, a niema człowieka, któryby śmiał powiedzieć, że gospodyni „Sireny“ obdarzyła go spojrzeniem choćby, czy uśmiechem.

— To jest rzecz twoja i była rzecz męża twego! Po cóż to mówisz mnie?

Łzy napełniły jej oczy na te twarde słowa, a Tomasso uczuł, choć nie patrzył na nią, że cios ten dotknął ją boleśnie. Pomilczawszy chwilę, powiedział:

— Na cóż się zda przywdziewać maskę i słowa mówić wykrętne? Pomówmy otwarcie. Przybyłaś tu, Łucjo, by mi powiedzieć, że jesteś wolna i nic nas już nie dzieli. Ja zaś powiadam ci, że dzieli nas ktoś i skazani jesteśmy na dozgonne pokutowanie za grzechy nasze i wieczystą rozłąkę.

Mimo, że mówił stanowczo, uczuła nieco otuchy.

— Za grzechy nasze? — spytała żywo — Cóż sobie możemy wyrzucać? Czyż miłość nasza dała nam coś oprócz łez i wzdychania z oddali? Czyż nie pierwszy byłby to nasz pocałunek, gdybym ci się teraz rzuciła na szyję? Wiem jednak, kto nas dzieli, oto siostra twoja, Tomasso!

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

— Nie, nie ona! — zawołał — Nie pytaj o nic i nie sądź, byś mogła wroga naszego usunąć kiedykolwiek z drogi. Nie jest to człowiek żywy! Wracaj do Neapolu, Łucjo i nie przychodź tu już. Nie chcę i nie wolno mi się z tobą spotykać.

Przystąpiła do stołu tak porywczo, że spojrzeć na nią musiał. Na twarzy jej malowała się rozpacz i namiętność.

— Nie odejdę, dopóki się nie dowiem wszystkiego! — zawołała — Mąż mój zmarł, Nino dawno leży w grobie, siostra twa panią będzie w naszym domu. Za pierwszem złem słowem, do niej powiedzianem, możesz mnie wygnać precz. Powiedziałeś

i czuję to, że sercaś mi swego nie odebrał, powiedz tedy, kto nas dzielić jeszcze może, Tomasso?

Zadrżał stół, o który oparty był młody człowiek.

— Powiem ci, kiedy chcesz! — jęknął głucho — Nino nas dzieli!

— Kłamiesz! Chcesz odwrócić mą uwagę od Teresy, bym jej nie odpłaciła za zło, jakiegom od niej doznała. Pożałujesz tego, żeś się mną bawił jeno, a potem odrzucił. I ona odpokutuje owo niezgodne z rozsądkiem chowanie cię, niby skarbu, wyłącznie dla siebie w tej dziczy. Odchodzę!

— Przysięgam na mękę Pańską, Łucjo, nie kłamię! — zawołał — Prawda, że siostra moja przebaczyć ci nie może, ale powtarzam z całą stanowczością, że Nino nas dzieli. Nie wie tego nikt, nie przeczuwa tego nawet Teresa. Umarłaby niechybnie, dowiedziawszy się!

— A gdybym się dowiedziała ja?

— Wówczas przestałabyś myśleć o nikczemnym Tomasso i nie wkroczyła nigdy na ścieżkę do młyna wiodącą!

Ukrył twarz w dłoniach.

— Mylisz się! — odparła — To stać się nie może nigdy. Łudzisz się, jakoby coś stało pomiędzy nami, a ja rozwieję to urojenie jak dym. Jeśli nie powiesz, nie zaznam pokoju ni w dzień, ni w nocy, a nim rok minie, dowiesz się, żeś mnie wtrącił w grób.

Zadrżał i wydało się, że toczy walkę ostateczną. Potem spojrzał tępo, rozpacznie, długo obejmował wzrokiem jej rysy, potem zaś rzekł:

— Musi się skończyć!... Nie chcę po raz drugi widzieć cię u siebie i przeżywać straszliwej męki rezygnacji. Przysięgnij mi, Łucjo, na zbawienie duszy, że nie powtórzysz nikomu słów moich. Niech nawet podczas spowiedzi przedzgonnej nie dowie się tego kapłan. Nie idzie mi o to, że przepadłbym bez ratunku, gdyby się rozniosło, ale nie przeżyłaby tej wieści Teresa. Przysiąż!

Podniosła rękę i rzekła:

— Na zbawienie duszy przysięgam ci, Tomasso, że prócz mnie i ciebie nie będzie wiedział nikt w świecie!

Westchnął głęboko, siadł ciężko na krześle, oparł ramiona na kolanach i zapatrzył się w podłogę.

— Łucjo, — rzekł półgłosem — rzekłem prawdę! Nino dzieli nas teraz, choć nie żyje, podobnie jak dzielił nas wówczas. Był czysty i niewinny jak Abel, a ja mu byłem Kainem. Kain skrył się w pustkowiu, czy teraz rozumiesz?

Milczała.

— Masz słuszność! — ciągnął dalej — Któż to pojąć zdoła? Jawią się chwile, kiedy piekło nabiera takiej nad nami władzy, że zda się, obcy duch, zły duch tłumi wszelkie lepsze porywy, a rozpętuje szatańskie zakusy. Czyż myśmy to sprawcami

czynów naszych w takich momentach dokonanych? Tego nie wie i kapłan, tego nie wie nikt z ludzi!

O, jakże go kochałem! Zamordowałbym każdego, ktoby mi szepnął bodaj jedno złe o nim słowo. Śpiew jego rozpraszał wszelkie troski moje, obecność jego rozjaśniała mi dom. Nie sposób miłować gorącej syna, czy brata, byłem zeń dumny. Gdy w Neapolu zaczęto mówić o jego talencie, zwierzałem się naiwnie ludziom, że to „nasz Nino", że mnie z nim łączy przyjaźń od dziecka, a wydawało mi się, jakobym mu talent śpiewacki sam wyłowił z toni i podarował. A jakże się wobec mnie zachowywał on? Był już słynny, uczęszczał do książąt i hrabiów, znał wykwintne, piękne kobiety, zazdroszczące sobie wzajem jego spojrzenia, a mimo to często przychodził do naszego domu, przestawał ze mną najchętniej, raz zaś, spotkawszy mnie idącego z siecią na ramieniu, porzucił znajomego, z którym rozmawiał i odprowadził mnie kawał drogi. Nikt nadeń serdeczniejszym nie był, nikt bardziej wolnym od fałszu, czy grzechu. Mógł mieć wszystkie kobiety w Neapolu, a nie uważał ich za warte jednej figi. Wyśmiewałem się zeń nawet często, nie wiedząc jeszcze, kto mu kochać przeszkadza.

Jedną mi jeno wyrządził krzywdę, oto, że mnie zawiódł do domu stryja swego, gdy zacny ten człek przeniósł się z Kapui do Neapolu i kupił „Sirenę." Wszakże przybył on głównie, by radować się po-

wodzeniem Nina, którego to losu był twórcą, ale czemuż przywiózł z sobą ciebie, Łucjo? Tej samej chwili straciłem mego Nina, Bóg jeden wie, nie z jego winy. Czyż mógł mu jednak ktoś prócz mnie i ciebie czynić zarzut z tego, że stoi na straży czci swego dobroczyńcy?

Nigdy mi nie miał za złe różnych miłostek moich. Sam będąc niewinny, jak archanioł Rafael, wiedział, że nie wszyscy są tacy i nie zamierzał zmieniać ludzi. Spostrzegł, że się kochamy, Łucjo, ale nie wspomniał o tem ni razu, unicestwiał tylko wszystkie nasze podstępy i fortele. Wrzałem nań gniewem i poprzysięgałem nieraz, że zerwę z człowiekiem, strzegącym twego progu pilniej, niż sam wuj, niż brat, lub kochanek. Nie kochał cię i nie kierowała nim zazdrość. Na jego widok gryzłem z wściekłości wargi, ale szał mój koił po części dźwięk jego głosu.

Zdało się, czytał me myśli i po wiele razy przedstawiał, jak dobrym jest wuj i co dlań uczynił. Patrzył przytem tak, jakby chciał powiedzieć: — Toma, niepodobna ci skrzywdzić człowieka, któremu przyjaciel twój zawdzięcza wszystko, a który dla ciebie jest tak dobry i tak ci ufa.

Rozumiałem go, ale gdym cię ujrzał, nikły wszystkie skrupuły i dobre postanowienia, a sumienie me stawało się martwem, jak drzewo objęte strumieniem gorącej lawy. Żyłem tak przez rok, ja,

którym nigdy nie mógł czekać na nic przez dni kilka. Pewnego razu mąż twój wyjechał na Ischię, a my odetchnęliśmy oboje, ale Nino zamieszkał zaraz w „Sirenie", podając za powód, że musi pisać nuty, a w jego pokoju panuje hałas. Wówczas już opanowały mnie ponure myśli. Chciałem mu wsypać do wina pewien środek, otrzymany od znajomego, który miał usypiać na całą dobę. Potem jednak zawahałem się, gdyż mogła to być trucizna, lub mogło to zaszkodzić jego głosowi. Zaniechałem tedy wszystkiego, ale został we mnie kolec i unikałem go tak, jakby to on właśnie nastawał na moje życie.

Zbliżył się dzień jego pierwszego występu w operze. Wiesz dobrze, Łucjo, żeśmy ułożyli, iż wymknę się po pierwszym akcie i przybędę, ty zaś udawać będziesz chorą, by nie iść z mężem do teatru. Inaczej nie ruszyłbym się z miejsca przed ostatnim taktem jego śpiewu. Ale przejęty byłem cały tem, co mnie czeka.

W wigilję występu przyszedł do mnie wieczorem i namówił, byśmy ruszyli na morze. Nie wiem, djabeł, czy anioł objawił mu nasze zamiary, dość, że teraz właśnie rozmówił się ze mną otwarcie. Wyparłem się wszystkiego. — Toma! — zawołał — Jeśli mi nie przyrzekniesz po przyjacielsku zaniechać schadzki, to będzie źle ze mną. Zaśpiewam jak kruk i zostanę wygwizdany. Stracę wszystko. Bracie, żądam tego od ciebie! Mógłbym ostrzec

wuja, ale dowiedziawszy się, co zamierza żona jego, zerwałby z nią niezwłocznie, a przyjaźń naszaby przepadła także. Przyrzecz mi tedy uczynić tę ofiarę, której chyba wart jestem! — Milczałem uparcie, patrząc na sieci, i nie słuchałem dalszych słów jego. Miałem twój obraz przed sobą, a krew tętniła w mych skroniach.

W godzinę potem przybiłem sam w barce do brzegu...

Ostatnie słowa zatętniły głucho i bezdźwięcznie. Tomasso siedział z twarzą opuszczoną na kolana. Łucja pobladła śmiertelnie, trwali oboje w bezruchu, w izbie mrok zapadał, a z zewnątrz dochodził, poprzez szum potoku, śpiew Teresy, nucącej ritornellę. Dawała w ten sposób znać bratu, by nie przedłużał nad miarę jej czekania. Głos ten zbudził go z zadumy. Wstał i pochylił się przez stół do kobiety.

— Łucjo, — rzekł chrapliwie — nie skłamałem wówczas. Ściągnęła go w głąb sieć, w którą zaplątał nogi. Nie ja to przewróciłem barkę. Siedziałem u steru, gdy wpadł w wodę. Skostniałem jak lód, patrząc na fale, zamykające się nad jego głową, widziałem bańki powietrza, wylatujące na powierzchnię i świadczące, że jeszcze oddycha tam, w toni. Nagle ukazała się ręka jego, sięgająca po dłoń przyjaciela. Dzieliła ją ode mnie jeno długość barki. Na palcu dostrzegłem srebrny pierścionek. Starczyło podać wiosło, a byłby ocalony, Łucjo! Czemuż nie chcia-

łem, czemuż nie mogłem się zdobyć na to. Wszakżem miał wiosło na kolanach, jeden ruch jego, a ręka z pierścionkiem pochwyciłaby je. Niestety, demon, władający mem sercem, obezwładnił me mięśnie i ściął krew w żyłach moich. Siedziałem skamieniały, czułem zawrót głowy, chciałem krzyczeć i wpatrywałem się w tę dłoń, która opadała coraz to bardziej, zanurzała się po pierścionek, po końce palców i wreszcie znikła.

Wówczas dopiero zawrzało we mnie piekło. Wrzasnąłem dziko i skoczyłem w głąb tak, że łódź się przewaliła. Dałem nurka raz i drugi, ale nie znalazłem go, mimo że często dobywałem z dna drobne monety. Po daremnych wysiłkach dopłynąłem zrozpaczony do barki. Ale miara cierpień nie była jeszcze pełną. Wróciłem do domu bez niego, a Teresa na wieść hiobową padła bez zmysłów i zdawało się, że życie z niej uciecze. Pierścionek na palcu Nina był jej własnością. Zaręczyli się w przeddzień tragicznej przygody, o czem nie wiedziałem.

Padł z powrotem na krzesło i oczy skierował na powałę. Dyszał chrapliwie jak człowiek śpiący głęboko, a Łucja przesuwała dłonią po twarzy, ścierając krople zimnego potu. To, co posłyszała, wyszlachetniło jej miękkie, zmysłowe rysy. Była teraz piękniejsza jeszcze, ale nie zwracała na to uwagi.

Wreszcie ocknął się Tomasso.

— Jeszcześ tu, Łucjo? — zawołał — Czegóż chcesz ode mnie? Czyż nie widzisz ręki z pierścionkiem, która wychyla się z fal i dzieli nas? Gdybyś mi przed ołtarzem podała dłoń ze złotą obrączką, włosyby mi powstały na głowie, straciłbym zmysły, ręka twa wydałaby mi się ręką Nina, a djabeł wypędziłby mnie z kościoła. Idź do domu, Łucjo, zapomnij o wszystkiem, dotrzymaj przysięgi i pomódl się czasem za biednego Tomassa.

Wstał i przystąpił do ogniska. Cudzoziemiec widział jak dygoce.

— Czyż to nie minie? — szepnęła po chwili kobieta.

Nie odwracając się do niej, potrząsnął głową i zaprzeczył ruchem ręki. Wówczas ona powiedziała zcicha:

— Niech cię Bóg strzeże, Tomasso! Niech Madonna użyczy ci pociechy i spuści sen ukojny na oczy twoje. Niech również uciszy mnie, która nie przestanę płakać po tobie. Dziękuję ci, żeś mi wszystko powiedział, inaczej bowiem nie przeżyłabym naszej dozgonnej rozłąki. Dziękuję ci, że mnie kochasz, nie przestań, Tomasso, bo jest to wszystko, co posiadam!

Nie spojrzał już na nią, nie widział jej łez ciekących cicho z oczu, ni gestu pożegnania i gwałtownego zwrócenia się ku wyjściu. Zostawiła drzwi otwarte, a gdy siostra wpadła niezwłocznie, zastała go stojącego u ogniska.

— Toma! — krzyknęła, łkając i śmiejąc się jednocześnie i zarzuciła mu ramiona na szyję — Zerwałeś z nią! Mój jesteś! Nic nas nie rozłączy!

Spostrzegła jak jest blady i to ją przeraziło.

— Tyle cię to kosztowało, Toma? — zawołała — Nie! Nie, tegoś nie powinien był jednak uczynić dla mnie! Zawołaj! Posłyszy cię jeszcze. Niech wraca, a gdy przybędzie, powiedz...

— Cicho bądź, dziecko! — rzekł stanowczo, siląc się na uśmiech, choć oczy smutnie patrzyły na Teresę — Wszystko skończone! Wierz mi, nie ponoszę żadnej dla ciebie ofiary. Gdybyś nie była przeżyła owej katastrofy z przed lat czterech, powiedziałbym Łucji to samo co dziś. Niedługo zapadnie noc. Zobaczę jeszcze, jaki jest stan potoku w wąwozie. Przed spaniem zobaczymy się jeszcze, droga moja Tereso, a jutro nam zaświta dzień nowy.

Pocałował ją w czoło i wyszedł drzwiami ku łące.

W dobrą chwilę dopiero potem odważył się cudzoziemiec wyjść z ukrycia. Teresa zadrżała na jego widok, bowiem zapomniała zupełnie o jego obecności.

— Wszystkoś pan słyszał? — powiedziała z powagą — Nie będę o nic pytała. Tomasso nie chciał, bym była świadkiem rozmowy, to mi wystarcza. Czyż jest taki drugi brat na świecie? Losu mojego może mi każdy pozazdrościć! O, mój Tomasso!

Skinął głową i podał jej rękę.

— Dobranoc, Tereso! — rzekł — Nie potrzebuję chyba prosić, byś nie wspominała bratu, że słyszałem jego rozmowę z Łucją. Byłoby mu przykro, że człowiek obcy dowiedział się tego, co zataił przed własną siostrą.

— Nie dowie się nigdy! — przyrzekła uroczyście. — Czyż mogłabym zasmucać takiego jak on brata? Wszakże dałabym zań życie własne!

Musiał się odwrócić, by nie zdradzić jak bolesnem było mu to bezgraniczne oddanie się i ufność do człowieka, przez którego straciła istotę najdroższą sobie. Chciał jej wyrazić współczucie, ale zamilkł, albowiem domagała się powinszowania szczęsnego losu. Ujrzał na jej palcu pierścionek, a na ścianie portret zmarłego i pomyślał: — Tomasso musi patrzeć na to codziennie, żyć i cierpieć niesłychanie, wiedząc, że siostra go kocha.

— Tereso! — rzekł — Niech Bóg darzy cię pokojem, któryś wywalczyła. Bądź zdrowa! Unoszę twój portret, inny niż sądziłem, ale trwalszy nierównie.

Niewiele rozmawiali w drodze powrotnej, jaką odbył znowu na ośle. Cudzoziemiec znalazł się wreszcie na dole, a gdy dziewczyna odeszła, stał jeszcze długo, chłodząc pałające czoło w rzeźwym oparze potoku. Noc zstąpiła, ale nie mógł się zmusić do powrotu. Krocząc spadzistemi perciami skalnemi, ujrzał na wiszarze, pionowo sterczącym nad

morzem męską postać o rozwianych włosach. Samotny człowiek patrzył w dal w kierunku Carotty, a po morzu płynęła w kierunku Neapolu mała barka o wydętych wiatrem żaglach. Cudzoziemcowi wydało się, że poznaje owego samotnika i że wie, kto siedzi w łódce, zawrócił z miejsca i udał się tam, gdzie mieszkają ludzie szczęśliwsi. Objawiła mu się muza, której przez cały dzień wyglądał daremnie, ale oblicze jej było surowe, tragiczne i, patrząc na nie, nie mógł długo zasnąć.

WDOWA Z PIZY

— Zdaje mi się, że pan zbyt pochlebnie ocenia kobiety włoskie.

— Jakto? — spytałem.

— Czytałem kilka nowel pańskich. Przyznaj pan, że nie bywa tyle Arrabbiat i Annin na Południu, jak to pan wmówić usiłujesz w uległego czytelnika. Prawdę powiedziawszy, są to utwory pańskiej fantazji i studja na temat rzeczywistości.

— Na temat stworzeń boskich, a wątpię, czy Bóg zadowolony jest z mego opracowania swych tematów.

— Mniejsza z tem! Nie zaprzeczaj pan jednak, że wyszukujesz z umysłu egzemplarze najlepsze i dlatego nie wolno panu żalić się, gdy zwą pana idealistą.

— Żalić się? Skądże? Towarzystwo to jest tak doborowe, że raduję się, gdy mnie w niem tolerują. Zwierzę się panu w zaufaniu, drogi sąsiedzie, że szkicować mogę te jeno postacie, które mnie czemś pociągają, zwłaszcza potrochu zakochany być muszę w kobiecie, którą przedstawiam. Pocóż zresztą

miałbym poetyzować na temat, który mnie odtrąca w powszedniem życiu, lub jest mi obojętny? Mnóstwo pisarzy maluje zło i brzydotę. Każdy robi to, co mu odpowiada.

— Piękne to, a nawet może słuszne. Nie znam się na tych sprawach. Słyszałem jeno, że poezja ma odzwierciedlać życie, a życie ma przecież swą stronę odwrotną. Prawda wymaga światła i cienia. Czyż nie jest przeto obowiązkiem pańskim malować w imię prawdy również i mniej dodatnie postacie, których pełno w pięknej Italji?

— Oczywiście, wówczas gdy mi wypadnie pisać książkę o charakterze narodowym Włochów. Ale ja spisuję jeno opowieści. Jeśli tedy wybieram strony świetlane, to wprowadzam jeno w błąd ludzi, którzy tego chcą. Zwróciłeś mi pan uwagę na sławetną, odwrotną stronę, cóż tedy rozumiesz pan pod tem mianem?

— Hm... trudno to określić. Jeśli się nie mylę, pociąga pana u tych kobiet bezpośredniość naturalna, nie sfałszowana wychowaniem pensjonarskiem i nie otamowana szablonem, słowem rdzenność charakteru.

— Tak jest! — dorzuciłem — Przytem szlachetność rasy i bogactwo jej podłoża, które sprawia, że można natury tak silne spokojniej pozostawić samym sobie, niż zasadniczo słabe i uboższe organizacje.

— Zgoda! Przyznam też, że namiętności posiadają tu pewien podniosły styl i najszaleńsze objawiają się w formie szlachetnej, tak, że namiętność główna, a więc płciowa, nie licząca się z położeniem geograficznem, wypowiada się tutaj, przy całym swym komizmie, z pewnym patosem.

— Namiętność główna?

— Oczywiście! Mam na myśli gwałtowne pożądanie zdobycia mężczyzny! Śmiejesz się pan? Zaręczam, że przestałem się śmiać od kiedy poczyniłem na ten temat głębsze studja.

— Radbym posłyszeć!

— Opowiem panu tę przygodę, mimo że nie jest ona materjałem dla idealisty. Muszę tylko poprosić woźnicy naszego o ogień. *Un pocco di fuoco, s'il vous plaît Monsieur!*

Rozmowę powyższą wiedliśmy pewnej pogodnej nocy letniej, siedząc w wielkim dyliżansie francuskim, ciągnionym po szerokiej drodze na Mont Cenis przez parę koni, oraz czternaście mułów, biegących drobnym truchtem. Chociaż niebo było wygwieżdżone, lekka jeno poświata słała się po dolinach, widnych ze stron obu gościńca, obsadzonych wyniosłemi kasztanami, tak gęstemi, że musieliśmy zrezygnować z podziwiania krajobrazu. Nie sposób też było zasnąć na dobre, bo poganiacze mułów, biegnący obok zwierząt, strzelali z batów i pokrzykiwali ciągle, a niezliczone dzwonki brzęczały rozgłośnie.

Niemiecki powieściopisarz zadowolony się czuł tedy z posiadania za towarzysza podróży na wyżu trzech tysięcy stóp nad morzem dobrotliwego krytyka, mimo że różnił się on odeń zapatrywaniem na sztukę. Przebyliśmy już razem spory szmat drogi z Turynu do gór, ale milczeliśmy, każdy w swój kąt wciśnięty. Dopiero gdy wymieniono nazwiska przy obsadzaniu miejsc, przekonaliśmy się, że nie jesteśmy sobie całkiem obcy i to nas zbliżyło.

— Czy zna pan Pizę? — spytał sąsiad, zatliwszy cygaro od fajki Francuza.

Odrzekłem, że właśnie spędziłem niedawno w tem najcichszem z wszystkich miast uniwersyteckich dwa tygodnie na studjach.

— Tedy musisz pan chyba znać osobiście, lub ze słychu moją wdowę. Przechodziłeś pan zapewne nieraz szeroką ulicą, zwaną Borgo, i widziałeś dom o zielonych żaluzjach, a w takim razie niezawodnie słyszałeś pan dolatujący z pierwszego piętra piskliwy, tętniący sopran, śpiewający duet z Normy: *Ah sin' all' ore all' ore estreme!*

Zaprzeczyłem.

— Złóż pan gorące dzięki Stwórcy! —powiedział z głębokiem westchnieniem, dobywającym się z uciśnionej piersi — Wiedz pan, że głos ten stał się zgubą moją! Jestem niestety zgoła niemuzykalny, inaczej byłby mnie on odstraszył miast przywabić. Nałaziłem się po rozmaitych brudnych mieszkaniach

studenckich, szukając stancji i nie mogłem nic znaleźć, bo semestr się dawno zaczął, i, co lepsze, było już wynajęte. Nagle ujrzałem na jednym porządnym domu ogłoszenie i usłyszałem głos kobiecy, nucący na pierwszem piętrze. Pojmiesz pan, że nawet lepszemu ode mnie muzykusowi wydałby się on głosem nieba. Ale muszę objaśnić, co mnie przywiodło do Pizy. Otóż, jak pan wie, jestem architektem. Mieszkam w małem, ciasnem reakcyjnem państewku i kocham z obowiązku tę ściślejszą ojczyznę swoją, a w stolicy posiadam, bez przechwałek, sławę jedynego człowieka, umiejącego zbudować coś poza chlewem na ludzką trzodę, lub wielopiętrowy kojec. Może pan kiedy będziesz w N. i zobaczysz arsenał, który postawiłem. Siedzą tam pod kluczem nasze rodzime armaty, z paszczami zaszpuntowanemi, by nie mogły strzelać poprzez granicę. Zjednało mi to wdzięczność rodaków, a nawet uznanie dostojnego naszego Serenissimusa i jeśliby mu wpadło do głowy otoczyć swe państwo murem, podobnym do chińskiego, pewny być mogę, że mi tego dokonać poleci. Na razie okazał mi w skromniejszych rozmiarach swą łaskę, wysyłając do Italji w naukowej misji. Trzeba panu wiedzieć, że pośrodku parku stolicy naszej stoi pochyła wieża, będąca wielką atrakcją miasta. Złośliwi ludzie twierdzą, że się sama pochyliła, gdy staw na karpie, przytykający do zwyczajnej zrazu wieżyczki strażniczej, podmulił grunt.

Opinja ta dotknęła srodze naszego władcę. Spytał mnie o zdanie, a ja okazałem się dyplomatą i odparłem, że nie mogę zadecydować i, nie znając Włoch, nie jestem w stanie ocenić w jakim historycznym stosunku stoi nasza pochyła wieża do podobnych wież Pizy, Modeny, Bolonji i innych. Materjał dla należytej oceny naszego zabytku monumentalnej romantyki dałby mogło jeno źródłowe zbadanie całej średniowiecznej architektury pochyłej. Słowa moje odniosły skutek. Zaraz nazajutrz otrzymałem z kancelarji dworskiej polecenie odbycia naukowej wycieczki do Włoch celem napisania obszernego dzieła na temat pochyłych wież Italji i Niemiec. Przystałem ochoczo, bo podróżować miałem na koszt państwa, a przytem dopiero co właśnie zaręczyłem się i z trudnościąby mi przyszło bez takiego rozkazu wyrwać się do ziemi obiecanej, którą poznać winien każdy artysta.

— Daruj pan — wtrąciłem — ale po tym wstępie pańskie argumenty, przeciw Włoszkom skierowane, straciły w mych oczach siłę dowodową. Niemiec, narzeczony, zmuszony zajmować się jeno tem, co koślawe...

— I to z najwyższego rozkazu! — zawołał, wpadając mi w słowo. — Wyobraź pan sobie, upłynął rok, a to czas nielada, przeto zarówno władca kraju, jak i władczyni mego serca musieli pogodzić się z tem, że w chwilach wolnych zajmuję się także czemś, co

piękne i proste zarazem. Ale posłuchaj pan, co mi się przydarzyło w Pizie. To miasto zachowałem sobie na koniec. Kampanilę tumu pizańskiego kazałem

Schować aż ńa wety,
Gdy zjem już talerz zupy i oba kotlety!

Tak się urządziłem, by posiedzieć w Pizie ze cztery tygodnie i prócz pomiarów napisać kilka rozdziałów dzieła dla przedłożenia, prócz cyfr i szkiców, czegoś do czytania memu poczciwemu Serenissimusowi. Niestety, jak się rzekło, straciłem już nadzieję znalezienia przyzwoitego mieszkania, ale właśnie gdym znużony straszliwie pewnego upalnego dnia wałęsał się po Borgo, zobaczyłem kartkę z ogłoszeniem tuż pod oknem, skąd dolatywał śpiew niewieści.

Jak powiadają utalentowani pisarze, tygrysim skokiem rzuciłem się na schody, zapukałem i wyjawiłem zasmolonemu kopciuszkowi w kuchni rozpaczliwe położenie moje. Kucharka zmierzyła mnie spojrzeniem od kapelusza do trzewików, potem zaś rozśmiała się, potrząsając głową. — Nie... nie! — powiedziała. — Niema pokoju! — Jakto? — wrzasnąłem. — Wszakże kartka wyraźnie powiada, że na pierwszem piętrze! — Tak, ale nie *per gli uomini!* — zawyrokowała, zabierając się do zamykania drzwi. — Co? — zdziwiłem się — Nie dla ludzi? Czyż cierpliwy Niemiec musi się dopiero zamienić w zwierzę, by dostać w Pizie pokój? — Ha, ha, ha, — wybuchnęła

śmiechem tak szczerym, że się chwiała na nogach.— To nie oznacza zwierzęcia. To znaczy, że nie wynajmuje się pokoju ludziom rodzaju męskiego! — Dodała też, że pani jej jest nader obyczajną wdową i przyjmuje jeno kobiety. Zdecydowała się zresztą spytać i pozwoliła mi wejść. Przeprowadziła mnie, śmiejąc się ciągle, przez kuchnię do bardzo czystej komnaty, gdzie stało ogromne, czteroosobowe łoże z baldachimem, stara komoda i kilka wyplatanych krzeseł. Oczy moje spoczęły jednak z największem upodobaniem na wielkim, kwadratowym stole pośrodku pokoju, jakby stworzonym właśnie dla rysownika celem rozkładania rysownic i papierów. — Tu musisz zostać! — krzyknęło coś we mnie — choćbyś miał wyprzeć się swej płci i prząść len dla tej Omfali. Tymczasem umilkła muzyka i śpiew w sąsiednim pokoju, a natomiast usłyszałem, że kucharka, chichocąc ciągle, opowiada sprawę swej pani. Zaledwo miałem czas skomponować wzruszającą przemowę, otwarły się drzwi i stanęła w nich moja wdowa w niezbyt czystym, ale obyczajnie aż pod uszy zapiętym szlafroczku. Czarne włosy skręcone były w papiloty, a z miny jej wywnioskowałem zaraz, że „wie już po czemu łokieć.“ Nie mogę zaprzeczyć, że posiadała pewien wdzięk. Coprawda przejawiała niejaką skłonność do tuszy, nos miała wedle mnie nieco za krótki i perkaty, także cera utraciła dużo świeżości, ale jak na wdowę wydała się doskonale zakon-

serwowaną, a oczy jej czarne i duże... no znajdzie pan sam porównanie, bo wszakże jesteś poetą!

Jednakże wszystkie jej powaby, choćby mogły uwiecznione być na tytułowej karcie mego dzieła, nie tyle mnie pociągały, ile przecudny ów stół, to też nigdy w życiu nie byłem chyba tak wymowny i nigdy tak gorąco nie zwalczałem skrupułów niewieściej skromności. Oświadczyłem, że wprawdzie jestem niestety mężczyzną (*persona maschia*... co za trafne wyrażenie, prawda?), ale posiadam w sobie tyle instynktów kobiecych, żem się w wieku chłopięcym uczył robić siatkę, a mistrzynią mą była pewna urocza dama. Zaręczałem, że nikt mnie w całej dzielnicy nie zobaczy pijanym, nie będę nawiązywał nieobyczajnych znajomości, a nawet, jeśli tego zażąda, wyrzeknę się palenia. Poza tem zapewniłem, że zapłacę z góry każdą cenę wynajmu.

Słuchała spokojnie, a wzruszające zaklęcia moje zdawały się czynić na niej wrażenie. Odrzekła po chwili, że osobiście nie ma nic przeciw temu, ale jest młodą wdową, a wuj, będący opiekunem jej dzieci, nie życzy sobie, by narażała swą sławę, wynajmując niezamieszkane pokoje panom. Spytałem zaraz o adres owego mądrego starca, ale dowiedziałem się z przerażeniem, że wyjechał właśnie do Florencji, a przeto nie sposób wypróbować na nim mej sztuki przekonywania. — Przepadła tedy wszelka nadzieja? — zawołałem z tak szczerą rozpaczą (zer-

knąwszy przedtem na stół), że serce wdowy, niezbyt zresztą kamienne, zaczęło potrochu topnieć. Kazała mi zjawić się popołudniu, obiecując że sprawę rozważy, i poleciła służącej Erminji, by mnie wyprowadziła. Potem skłoniła mi się jak księżna, odprawiająca łaskawie po audjencji ambasadora.

Nietrudno sobie wyobrazić, że z wielkim niepokojem wchłaniałem rizotto w owej wzorowej trattorji na Lungarno, zwanej „Nettuno", oraz żem wypił dwa razy tyle wina co zazwyczaj. Musiałem nabrać sił, by znieść to, o czem ze strachem jeno myśleć mogłem, mianowicie być, mimo tak wspaniałego stołu w Pizie, zmuszonym posługiwać się dalej nędznem rusztowaniem z krzeseł, kijów i parasola.

Mocno mi biło serce, gdym wstępował około trzeciej ponownie po kamiennych stopniach, jakby nie szło o stół, rzecz martwą, ale o samą jego właścicielkę. Ukazała mi się ubrana w czarną suknię, z włosami pięknie ułożonemi i z dosyć uprzejmą miną. Powziąłem odrazu niejaką otuchę, to też przeraziłem się potem niemało, gdy powiedziała, że wobec nieobecności wuja zasięgnęła porady ciotki, strzegącej równie jej cnoty, która to dama nie mogła zdecydować się na odpowiedzialność za krok tego rodzaju.

— Młoda wdowa — powiedziała, spuszczając bardzo umiejętnie swe czarne oczy — w dodatku

artystka, w latach kiedy nie można się wyrzec jeszcze szczęścia... Pojmiesz pan, są pewne względy, są obowiązki wobec rodziny... przytem wuj mój pragnie, bym powtórnie wyszła za mąż... Galantuomo, jakim pan jesteś, nie zechce przecież nastawać na szczęście samotnej niewiasty...

— Przeciwnie! — zawołałem żywo, poglądając na uwodzicielski stół. — Przeciwnie, zachwycony cnotą i zaletami, radbym dowieść, jak bardzo cenię jej skromność, jak podziwiam i czczę wszystko, co zdobi duszę pani! Tak, ma pani słuszność, zarówno jak czcigodny wujaszek i cioteczka. Istota taka, jak pani, posiada prawo do szczęścia. Ach, jakże współczuję z mężem, który taki skarb utracił. Jak dawno zmarł?

— Przed dziesięciu miesiącami! — odparła bez wielkiego wzruszenia — udał się do Neapolu, wpadł w ręce brygantów i nie wrócił już. Pokażę panu jego fotografję.

Poprzedzając mnie, poszła do sąsiedniego pokoju, nieco wystawniej urządzonego i będącego czemś niby salon. Był tu fortepian, eleganckie biurko, z pułapu zwisały pstro malowane klatki z ptakami, na ścianach widniały portrety znanych aktorów. W skromnych ramach, otoczony zakurzonym wieńcem wawrzynu, wisiał wizerunek poważnego mężczyzny w średnich latach, którego mi przedstawiła jako zmarłego męża. I tym razem nie wy-

czytałem w jej twarzy śladu wzruszenia. Kanarki darły się straszliwie, z pod sofy wylazł mały szpic i zaczął piskliwie szczekać, z poza drzwi dolatywał chichot kucharki, a nadobna dama mówiła przy tym całym rozgwarze o możliwości nowego szczęścia miłosnego. Usiedliśmy na sofie.

Wyraziłem zdumienie, że trwa przez całe dziesięć miesięcy we wdowieństwie, podczas gdy winnaby być otoczona konkurentami.

— Jestem wybredna! — odparła — Zbyt wiele zaznałam szczęścia z mym Carlem, by się narażać na zawód. Miałam kilku konkurentów, niedalej jak przedwczoraj pewnego hrabiego, ale za młody jest dla mnie, bo liczy dopiero dziewiętnaście lat, gdy ja mam dwadzieścia trzy. Żal mi go było coprawda, ale nie można przecież wychodzić za każdego, kto oszaleje z miłości!

— Oczywiście! — powiedziałem — Cóżby pani zresztą poczęła z takim młokosem? Tylko człowiek dojrzały, znający życie, może ocenić panią i zastąpić jej poniekąd poniesioną stratę.

— Ach, ci mężczyźni! — westchnęła — Wszyscy są egoistami. Młodzi jeno zdolni są podziwiać piękno i pożądać go. Starsi są oziębli i niezdolni dać szczęścia!

— Należałoby uczynić próbę! — rzekłem napoły naiwnie, napoły kusząco, bo zmiarkowałem już, jak sprawa stoi i nabrałem pewności, że pod

pewnemi warunkami ciocia cofnęłaby swe veto. Sytuacja wydała mi się komiczną, a poczułem ochotę by grać dalej rozpoczętą farsę.

— Jakież jest imię twoje, piękna pani? — spytałem.

— Lukrecja! — rzekła, badając mnie oczyma.

— Nadobna Lukrecjo! — zawołałem — Może jest to rządzenie Opatrzności, że znalazłem się właśnie ja na tej kanapie! Włóczyłem się dużo (miałem na myśli wędrówkę po Pizie za mieszkaniem, ona zaś sądziła, że mówię o świecie), ale nie znalazłem nigdzie tego, czego szukałem. Dopiero w tym domu (tu zerknąłem znowu przez otwarte drzwi ku stołowi), tak, nadobna Lukrecjo, dopiero tu uczułem pragnienie, by zostać i podjąć rzecz poważną. Nie znamy się dotąd wzajemnie i nie sposób dziś zaraz decydować o przyszłości! *Chi va piano, va sano!*

— Ale też *lontano!* — dorzuciła — Pan niebawem wyjedzie zapewne.

— Od pani wyłącznie zależy, jak długo będę oddychał powietrzem Pizy! — powiedziałem z bezczelną dwuznacznością i równie zdradziecko załatwiłem pytanie, czy jestem żonaty, odpowiedzią, że nie, ale najwyżej pół roku jeszcze mam zamiar trwać w stanie kawalerskim. Wówczas przyznała mi się otwarcie, że ma czworo dzieci, para młodszych przepędza zazwyczaj cały dzień u ciotki, zaś starsze mieszkają we Florencji, u matki nieboszczyka męża.

— Doskonale! — odrzekłem — Mam nadzieję, że poznam niebawem te aniołki, a lubię ponad wszystko zwierzęta domowe, dzieci, psy i kanarki.

— Jesteś pan prawdziwym wyjątkiem! — zauważyła — Mój Carlo omal nie wyskakiwał ze skóry na krzyk dzieci, z towarzyszeniem ćwierkania ptaków, oraz ćwiczeniem solfegiów, których nie zaniedbuję. Jesteś pan zapewne Anglikiem, bo upodobania pańskie są tak oryginalne.

— Jestem jeno Niemcem, — powiedziałem — ale i u nas jest sporo ludzi pomylonych, lub takich, którzy gotowi są na to pod wpływem pięknych oczu kobiecych. Tedy mogę chyba, łaskawa pani, dać polecenie, by przyniesiono moje rzeczy z hotelu?

Pytaniu temu towarzyszył pełen czci pocałunek, złożony na ręku pięknej wdowy, poczem wstałem i pożegnałem się tak prędko, jak to było jeno możliwe bez narażenia się na katastrofę. Bowiem gdyby mi przedłożyła kontrakt najmu z warunkiem małżeństwa w pierwszym paragrafie, w prochby się rozpadły wszystkie fortele moje. Wetknąłem kucharce w rękę kilka franków, a w godzinę potem wkroczyłem wraz z całym dobytkiem mym triumfalnie do zdobytej fortecy.

W ciągu kilku pierwszych dni nie doznawałem żadnych złych skutków podstępu wojennego, nikt mi nie przeszkadzał, a sumienie nie wyrzucało mi niczego. Piękny wróg, wpędzony w pułapkę, poprze-

stawał na obserwowaniu zdaleka. Musiała się przekonać, czy nie zrobiła złego interesu i rozeznać, kim jest właściwie ów zgoła nieznany przyszły mąż. Niestety, śledztwo wypadało z dniem każdym bardziej na moją korzyść. Starałem się nawet o to. Nie mogła sobie piękna wdowa życzyć cichszego, cierpliwszego i pilniejszego następcy-małżonka, a chociaż były pewne niedomagania odnośnie do czułości, to szły one na karb rycerskiej dyskrecji, narzucanej tak bliskiem sąsiedztwem. Wróciwszy z pomiarów Kampanili, stawałem u wiadomego stołu, wkreślając uzyskane rezultaty. Ona tymczasem wykrzykiwała swe: *Ah sin, all' ore, all' ore estreme*, lub inną wzruszającą arję, powtarzając ją bez końca. Dziękowałem Bogu za niewrażliwe na muzykę uszy, gdyż chroniło mnie to od pokus wszelakich. Parę razy wpuściła do pokoju dzieci, które straszliwie pomieszały me rysunki, ale i tę próbę przetrwałem mężnie, okupując się intruzom pomarańczami i cukierkami. Ile razy udałem się na przechadzkę po Lungarno, wmieszany w tłum studentów, obywateli pizańskich z rodzinami, oraz modnisiów miejscowych, zawsze spotykałem tam moją piękną gosposię, kroczącą obok przyjaciółki swej, obyczajną, poważną i zawoalowaną, mimo że, jak zauważyłem, miała sporo wielbicieli. Niejeden z nich pozazdrościłby mi pewnie na wieść jak się wygodnie urządziłem. Kłaniałem jej się tylko zdaleka i wracałem do domu dopiero

w porze, kiedy już spała. Kładła się zresztą wcześnie, gdyż cierpiała nieustanną nudę. Jak większość Włoszek, nie posiadała żadnego wykształcenia i zdobyć się mogła co najwyżej na przeczytanie francuskiego romansu w przekładzie, to też wszystko ustawało dla niej z chwilą, gdy nastał mrok, nie mogła siedzieć w oknie i dać się podziwiać.

Tydzień cały trwał ten stan tak bardzo pragnieniom mym odpowiadający, ów żywot rajski, gdzie wilk i jagnię trwali w niewinności anielskiej iście. Potem spostrzegłem, że jagnię dziwuje się mocno łagodności wilka, co więcej, zaczyna czuć obrazę z powodu, iż nie zostało dotąd pożarte, mimo swej apetyczności. Odwrócił się też zaraz przyrodzony tok rzeczy i niewinny baranek wziął się do ataku na wilka. Przez kilka dni zadawalała się stawianiem bukiecików na stole, potem znalazłem w miejscu mych mocno zdezelowanych pantofli, przepyszne, ciepłe tureckie, prawie nowe, baćkory, będące snadź dawniej własnością nieboszczyka, czyli pierwszego wilka. W południe zmuszony byłem zjawiać się u stołu celem skosztowania frykanda z karczochów i kompotu z dyni, rzekomo własnoręcznie przez madonnę Lukrecję sporządzonych, oraz wypić z nią szklankę chianti. Erminja jadała razem ze swą panią, karmiąc również dzieci. Raz po raz chichotała wesoło, a tylko piesek mruczał nieprzyjacielsko, uważając mnie widocznie za intruza, który

zmniejsza ilość przeznaczonych dlań kąsków. Przy stole wiedliśmy górnolotne rozmowy na temat toskańskiej i niemieckiej sztuki kulinarnej, ja zaś posunąłem się aż do renegacji kwaśnej kapusty na korzyść włoskich karczochów. To dało mej gosposi asumpt do żywszego jeszcze ataku. Wyobraź sobie pan, co jej wpadło do głowy! Jednego ranka pracowałem na mej pochyłej wieży, na najwyższem już piętrze, nie przypuszczając niczego złego, gdy nagle usłyszałem znane dobrze: *Ah sin' all' ore all' ore estreme.* Gospodyni moja szła mężnie po niezliczonych stopniach, śpiewając z pełnej piersi. Mowy nie było o ucieczce, ani o ukryciu się poza filarami. Do dziś nie wiem, co zamierzała wówczas.

Trudno przypuścić, by jako nader praktyczna Włoszka, przebacz pan, że ranię pański idealizm, chciała rzucić się z wieży sama, lub wraz ze mną, w razie odmowy formalnego przyrzeczenia małżeństwa. Może uczyniła to z nudów. Oczywiście zrobiłem uradowaną wielce minę, zacząłem robić honory wieży, że zaś byliśmy sami, uznałem za konieczne pocałować ją raz, czy dwa razy w rękę. Wyglądała wcale dobrze, blada jej twarz zarumieniła się nieco ze zmęczenia, a czarne oczy, któremi spoglądała z wyżu na tum, baptysterjum, miasto i dalekie góry, lśniły żywym blaskiem. Była naprawdę ponętnym kąskiem, zwłaszcza dla Włocha, nie mającego żadnych duchowych aspiracyj. Po-

wiedziałem jej mnóstwo pochlebnych słówek, które przyjęła z prawdziwą lubością po długiem, obojętnem traktowaniu z mej strony. Naturalnie, zostałem nagrodzony kilku czułemi aluzjami i wiele obiecującemi spojrzeniami. Nie byłem jednak zmuszony wzywać pomocy niebios zapomocą czarodziejskiego kręcenia mego zaręczynowego pierścionka, wiedziałem bowiem dobrze, że, mimo przeróżnych miłosnych manewrów, jestem jej tak obojętny, jak marmurowy podest schodów, na którym stoi. To też po godzinie stanęliśmy oboje w najlepszym stanie na dole, na placu przed tumem.

Musiała uznać, że żelazo rozgrzało się już należycie, gdyż zaczęła je kuć niezwłocznie. Tegoż jeszcze wieczoru zawlokła mnie z sobą do jednego z teatrów, zda mi się, do tak zwanego „Politeama", pan go sobie pewnie przypomina. Daremnie się wzbraniałem z uwagi na kompromitację wobec ludzi, którzyby mogli coś podejrzewać, widząc nas samych na publicznem widowisku.

— Sprawa posunęła się już tak daleko — odparła — że mnie pan o wiele silniej niż dotąd skompromitować nie możesz. A przecież i tak niedługo musi spaść zasłona.

— O tak! — rzekłem do siebie z westchnieniem. — Niebawem spadnie bielmo z oczu twoich, biedne jagnię! — poczem, w heroicznym nastroju ruszyłem do teatru.

Pewny byłem, że zaaranżowała to z rozmysłem, chcąc mnie wobec ludzi skompromitować i przez to związać moralnie. Miała jednak jeszcze cel uboczny. Współczesna tragedja, jaką dawano, była dość nudna, a w międzyaktach, podczas których dama moja chrupała kandyzowane owoce, występował śpiewak, którego niezwykła postać zwróciła już dawniej na ulicy mą uwagę. Wałęsał się ciągle przybrany w malowniczą, brunatną bluzę, bufiaste spodnie tejże barwy i szerokoskrzydły kapelusz, wciśnięty na czarne, kędzierzawe włosy. Chodził uśmiechnięty, napoły dobrodusznie, napoły ironicznie w towarzystwie swej małej, smukłej żony, której twarz miała wyraz skamieniałego cierpienia. Powiedziano mi, że jest to słynny niegdyś śpiewak Tobia Seresi, pyszny baryton, który jednak zwarjował i nie można go użyć w zespole operowym, gdyż miewa ataki szału, które uśmierzyć potrafi jeno żona, kochająca go bardzo. Śpiewał po teatrach dla zarobku w międzyaktach, a żona czuwała stale za kulisami, bacząc pilnie na każdy jego gest, czy minę.

Ów Tobia Seresi śpiewał właśnie tegoż wieczoru i z jego to powodu Lukrecja zawiodła mnie do teatru. Ledwo przebrzmiały pierwsze takty arji, zwróciła się do mnie, siedzącego w głębi loży, i opowiedziała szczegółowo, że ona to właśnie jest powodem nieszczęścia. Szał go ogarnął podczas miłosnego duetu, który śpiewała wraz z nim przed sześciu laty

w jakiejś operze, której tytułu zapomniałem. Przycisnął ją do siebie mocno, jak wypadało z roli i, przewracając oczyma, szepnął, że, jeśli mu się nie odda, to siebie i ją struje przyprawioną odpowiednio sałatą z ziemniaków. Ile było prawdy w tych bredniach, nie wiem, ale opowiadała jeszcze mnóstwo podobnych awantur, chcąc mi pokazać, jak niebezpieczną była swego czasu osobą. Słuchałem niezbyt uważnie, bacząc na śpiew, który, mimo że była sama artystką, nie czynił na niej jakoś żadnego wrażenia. Gdy skończył, rzuciła na scenę bukiet i zaczęła ostentacyjnie klaskać. Kilku amatorów przecisnęło się z parteru i podali Seresiemu ogromny, jak koło wozu, snop kwiatów. Przyjął go z ironicznym uśmiechem, a sala roztętniła się hucznym aplauzem. Publiczność lubiła bardzo biednego szaleńca i słyszałem na prawo i lewo wyrazy szczerego żalu i współczucia dla niego. Jeno moja wdowa lornetowała nieszczęśnika z zimną krwią, wachlowała się nieustannie, a potem zaczęła na nowo pogryzać cukrowane płatki pomarańczy.

Wyznam panu, że uczułem dreszcz wobec tego mego zwycięstwa nad rywalem i rad byłem, że niebawem wstała i przyjęła me ramię. W drodze do domu miałem uczucie, że źle się dzieje ze mną, że położenie me jest nader niepewne i że przewróciłbym się niezawodnie dawno, gdybym był pochyłą wieżą, nie zaś odpornym człowiekiem z krwi i kości. Dnia

tego nie zapomnę nigdy! Wyobraź pan sobie bowiem, nie skończyło się na tem. Lukrecja postanowiła najwyraźniej niezwłocznie doprowadzić wszystko między nami do końca i sprawę sfinalizować, wtajemniczyła mnie bowiem w swe stosunki majątkowe, wcale zresztą pomyślne, oraz opowiedziała przeróżne szczegóły szczęsnego pożycia z pierwszym mężem, który ją zabrał ze sceny, porwany jej pięknością, mimo że sam był kompozytorem i cenił wysoko jej głos. Czułem ucisk w sercu przez cały czas, to też chcąc sobie ulżyć, zauważyłem żartobliwie, że ta okoliczność może stanowić przeszkodę, albowiem ustawiczne zawieje śnieżne w Niemczech niweczą głos południowców. Oświadczyła, że i tę ponieść gotowa ofiarę, dodając, że przecież małżeństwo jest to nieustanne ofiarowywanie się na ołtarzu miłości.

— Czyż jednak zniosą dziateczki pani surowy klimat? — spytałem.

I to jej nie sprawiało troski. Zarządziła co trzeba. Młodsze wziąć miała do siebie ciotka, starsze zaś postanowiła zostawić we Florencji.

— A to ślicznie! — zawołałem, dodając w duchu: — O ty, wyrodna matko!

Uśmiechała się tak triumfująco, że nie sposób mi było gniewać się i nabrałem przekonania, iż zdecydowana jest na wszelką ostateczność, nawet na przyprawienie zatrutej sałaty z ziemniaków, gdyby się dowiedziała o mych rzeczywistych planach.

W tej chwili udręki ducha zstąpiło na mnie objawienie zbawcze, jak mi się wydało.

— Piękna pani! — powiedziałem. — Radbym wyświetlić pewien, nader ważny, punkt. Mąż pani dostał się w ręce brygantów i nie wrócił, prawda? Ale skądże pewność, że nie żyje? Cóżby się jednak stało, gdyby pewnego dnia przybył z powrotem i zażądał zwrotu swej własności, lub skręcił mi poprostu kark w podzięce za tak troskliwe opiekowanie się panią?

Tak rzekłem, siedząc wraz z nią na sofie w salonie pod portretem zmarłego kompozytora. Dodałem pozatem kilka trafnych uwag o niezbędności urzędowych dowodów śmierci, oraz potworności dwużeństwa.

— Zaczekaj pan chwilę! — powiedziała spokojnie, wstała i, wysunąwszy szufladę biurka, dobyła z niej coś. Cóż to było? Nie uwierzysz pan chyba, a jednak mówię szczerą prawdę. Pokazała mi dwa dobrze zakorkowane słoiki, powleczone u wierzchu świńskim pęcherzem. W każdym mieściło się ucho ludzkie, odcięte czysto i umiejętnie od głowy ręką fachowca i zanurzone w okowicie. — Ecco! — zawołała, podając mi te przedmioty, których ująć drżącą ręką nie miałem odwagi — To lepsze nad zwyczajne świadectwo skonu! Są to uszy mego Carla, poznałam je zaraz. Naprzód przysłał mi prawe ucho jeden jego przyjaciel z Neapolu, a ja musiałam

wypłacić pięć tysięcy lirów okupu. Niebawem otrzymałam drugie ucho i drugi list z wiadomością, że rozbójnicy wzięli wprawdzie pieniądze, ale tytułem pokwitowania wydali jeno drugie ucho. Co się stało z człowiekiem, który owe uszy nosił za życia, niewiadomo narazie i muszę zaczekać na skutki dalszych badań. Ładna propozycja? Nie, za nic nie mogłam czekać, nabrałam pewności, że mój drogi Carlo nie żyje. Miał uszy tak wrażliwe, że żadną miarą nie przeżyłby ich straty. Raczej nogi i ręce dałby sobie obciąć i żył dalej, ale uszy... o, nigdy! Carlo bez uszu, to coś niepojętego!

— Musi to pani wiedzieć najlepiej, — przyznałem — a jeśli te uszy są własnością męża naprawdę, to sądzę...

— Są to jego uszy, równie pewnie jak ten palec jest moim! — zapewniła, patrząc na słoiki z powagą uczonego, klasyfikującego naukowo nowy gatunek płazów, przysłany w okowicie.

Ciarki mnie przeszły, ale powiedziałem, w desperackiej obronie:

— Spuścizna owa nie starczy jednak sądom, które z wielką uporczywością domagają się ścisłych dowodów, zanim wykreślą kogoś z listy żyjących.

— W tym właśnie celu pojechał wuj do Florencji! — oświadczyła. — Zna on kilku ministrów i ma nadzieję uzyskać legalne świadectwo. Mąż mój był osobistością dosyć znaną, a zniknięcie jego nagłe

wywołało sensację. Prawda musi niebawem wyjść na wierzch.

Rzekłszy to, schowała do biurka cenne relikwje i usiadła do fortepianu, by oddziałać jeszcze na mnie czarem tonów. Nie mogłem znieść dłużej tortury. Wydało mi się, że mam przy sobie figurę woskową z automatem muzycznym, ukrytym we wnętrzu. Włosy mi się zjeżyły na głowie, a gdy zaczęła swe okropne: *Ah sin' all' ore...* powiedziałem, że mam migrenę i wybiegłem na ulicę jak oszalały.

Schroniłem się do mego kochanego „Nettuno", ale nie mogłem niczego przełknąć z wyjątkiem wina, które nie było jednak w stanie wywołać błogiej nieświadomości. Ciągle widziałem te dwa okropne słoiki, te czarne, zimne, skierowane na nie oczy, oraz słyszałem dźwięki, dobywające się z wydrążonej piersi automatu. Uczułem, że nie sposób wytrzymać dłużej w tym domu. Ale jakież miałem szanse ucieczki? Wszakże ta straszna baba poruszyłaby niebo i ziemię, celem dobycia mnie z każdej kryjówki w mieście. Jakaż szkoda, że Toskanja nie posiada swych Abruzów! Jakże chętnie oddałbym się w ręce brygantów pod warunkiem nie wydawania mnie za żaden okup!

Nakoniec wyśmienite czerwone wino wywołało skutek. Uświadomiłem sobie, że muszę nie tylko uciec z domu, ale z miasta, mimo, że moje studja Kampanilli domagały się jeszcze pewnej rewizji.

Trudność wielką stanowiło przewiezienie mych rzeczy na kolej, bez wzbudzenia podejrzeń. Rozpacz nasunęła mi pomysł, który panu zalecam na wypadek konieczności podobnej, a także możesz go pan zużytkować w którejś ze swych nowel, lub komedji. Oto niezwłocznie kupiłem kufer i powierzyłem go opiece zacnego kelnera w „Nettuno“. Nazajutrz miał nastąpić ciąg dalszy kampanji.

Przedtem jednak narażony zostałem w nocy na nowe, groźne niebezpieczeństwo. Położyłem się, nie życząc wcale Lukrecji miłych snów, i zasnąłem, kołysany nadzieją bliskiego ocalenia. Nagle zbudziło mnie około północy szczekanie pieska i błysk światła. Zerwałem się i ujrzałem stojącą przy łóżku nadobną wdowę moją w odzieży przyzwoitej, coprawda, ale niezmiernie podobnej do koszuli, lub podobnego stroju z „Lunatyczki“ czy „Fra Diavola“, w których to operach musiała występować. Włosy oblewały falą piękne jej ramiona, a twarz była wykrzywiona tragicznie.

— Cóż się stało, na Boga? — krzyknąłem.

— Ukazał mi się, jakim był za życia! — odparła — Stoi jeszcze przy mojem łóżku, tak że napoły martwa ze strachu, nie mam odwagi wracać.

— Brednie! — powiedziałem ze złością — Przyśniło się pani. Proszę iść spać i zostawić mnie w spokoju!

— Nie, nie, — zawołała — musisz pan sam zobaczyć! Przekonasz się, że to nie sen!

Chwyciła mnie za rękę i zaczęła błagać, brakło jeno tego, by śpiewała jak na scenie.

Dość miałem awantury, więc oświadczyłem:

— Dobrze! Wstanę i pójdę. Jeśli stoi naprawdę jako duch przy łóżku, jeśli go zobaczę, to z obowiązku rycerskiego zabronię mu imieniem pani wszelkich bezcelowych i niemiłych wizyt po nocy. Jeśli jednak ducha nie będzie, wówczas przykro mi bardzo, ale muszę zrezygnować z ręki pani, Lukrecjo, gdyż mam wrodzony wstręt do lunatyczek i wolę do śmierci zostać bezżennym, niż pojąć somnambuliczkę!

Powiedziawszy to, uczyniłem gest wstawania. Ale nie czekała na to. Potrząsnęła przecząco głową, pięknem ramieniem skinęła na dobranoc i bez dalszych wyjaśnień wyszła z pokoju.

Mimo złości zaśmiałem się głośno, potem zaś zasnąłem spokojnie i do rana nie doznałem przeszkody. Przygoda owa utwierdziła mnie oczywiście tembardziej w postanowieniu wymknięcia się po cichu z domu wdowy, zwłaszcza że lada dzień miał wrócić wuj, a nie wiedziałem, czy mu o mnie nie pisała i czy ów czcigodny mąż nie uzna, iżem strasznie skompromitował piękną jego siostrzenicę. Gdy dzień nastał, nie zdradzając się niczem, rysowałem zrazu trochę, potem zaś, gdy się ulice ożywiły, wyszedłem jak zwykle z niewielką paczką pod pachą, nie budzącą podejrzeń, a zawierającą część bielizny. Zaniosłem

to do „Nettuno", gdzie nocował mój nowy kufer. W ten sposób przetransportowałem w ciągu ranka wszystkie rzeczy, wraz z rysunkami i papierami, zamkniętemi w wielkim cylindrze z blachy. Pokój wyglądał jak zawsze, stał w nim pusty kufer, leżało trochę szkiców, parę pustych tek, oraz przybory drobne na umywalni, które musiałem nieprzyjacielowi zostawić tytułem łupu wojennego. Przy łóżku stały również z najniewinniejszą miną tureckie pantofle nieboszczyka, a czynsz zapłacony był z góry za miesiąc.

Możesz sobie pan wyobrazić z jakiem upojeniem, z jakiem poczuciem odzyskanej swobody pędziłem w kierunku La Spezia, podobny zbrodniarzowi, skazanemu na dożywotne męki słuchania: *Ah sin' all' ore, all' ore estreme*, któremu powiodło się zemknąć szczęśliwie. Wsiadłem do wagonu i chociaż w innych warunkach nie byłbym w stanie przebiegać tak szybko przez urocze okolice tej części Italji, teraz jednak mknąłem z radością, pamiętny, że, uciekając przed wdową, wziąć należy cały rozmach. Późnym wieczorem znalazłem się w Specji i stanąłem w hotelu „Croce di Malta". Czułem się bezpiecznym, podjadłem tedy, popiłem i ległem spać z lekkiem sercem. W pokoiku moim stał maleńki jeno stolik, ale to właśnie pociągało mnie i nie mogłem bez drżenia wspomnieć o olbrzymie, który mnie zwabił w zdradną sieć mej Armidy. Zbudzi-

łem się wesoły jak nigdy od kilku tygodni, że zaś pogoda była cudna, lśniło lipcowe słońce, a morze legło cicho, niby zwierciadło, postanowiłem odbyć wycieczkę do Portavenere, zapadłego w górach osiedla rybacko-pirackiego, o którem nasłuchałem się różnych rzeczy w Rzymie. Wiatr był słaby, ale przeciwny, przeto stary wioślarz napracował się tęgo przez dwie godziny, zanim okrążyliśmy skalisty przylądek i ujrzeli przed sobą grupę napoły rozwalonych domostw, malowniczy kościołek i opromienioną słońcem wyspę Palmaria. Zwiedziłeś pan niezawodnie ów przecudny zakątek. W istocie doznaje się tu wrażenia, iż znajdujemy się znacznie dalej na południu, gdzieś pod Palermo, pośród skalistych osiedli potomków kolonistów greckich, żyjących tu jak za czasów homeryckich w szczęsnej beztrosce. Takie same postacie ludzi, taka sama przedpotopowa kuchnia, oraz prastary brud skamieniały, zda się, i niebosiężny. Oczom własnym wierzyć nie chciałem, wlokąc się pod górę jedyną ulicą wioski i mijając szeregi kobiet, w koszulach jeno niemal, siedzących pod domami, a zajętych przędzeniem, śpiewem, lub paplaniną. Patrzyły na mnie jak na dziwotwora, wyrzuconego przez fale morskie. Panoszyła się tu przedziwna roślinność, słynne aloesy obsiadły rozwaliny murów fortecznych, a wszędzie pełno było kaktusów, winorośli, oliwek, zaś z położonych poza domami ogrodów wy-

chylały się korony figowców, przeciążonych owocem. Po miesięcznym pobycie w czystej Toskanie doskonale robi powrót do tego raju, gdzie nie postała nigdy miotła czcigodnej policji. Z rozkoszą włóczyłem się wszędzie, patrzyłem na puste łuki okienne starego kościoła, stojącego na cyplu skalnym, opłókiwanym falą, kładłem się w zeschłej trawie w cieniu murów i słałem spojrzenie w dal, ponad białe dachy na zatokę, gdzie ustawicznie krążyły okręty. Wszystko pozostało tu takiem, jak przed tysiącem lat, z wyjątkiem dymu parowców, bijącego w niebo, a wrażenie było tak silne, iż cała moja przygoda wydała mi się czemś tak niezmiernie dawnem, że chwilami zapominałem nawet imienia mej wdowy.

Wreszcie poczułem głód i zawróciłem do wioski, a pochodziwszy tam i z powrotem przed dwu domami, na których widniał napis: *albergo e trattoria*, zdecydowałem się wejść do jednego, pod którym piemonccy żołnierze pili lemonjadę i grali w karty. Wnętrze miało wygląd iście cygański, ale uprzejma gospodyni wskazała mi schody, do *salone* i obiecała podać za pięć minut jedzenie. Czekając na to, oglądałem wiszące na ścianach obrazy, podczas gdy młoda, milcząca dziewczyna nakrywała stół. Było tu kilka francuskich sztychów z Pawła i Wirginji, madonna z naklejonem sercem z złoconego papieru, oraz włoscy narodowi święci, Cavour, Garibaldi

i Król Galantuomo. Salka miała z lewej strony drzwi. Nie zdając sobie sprawy, ująłem klamkę, ale gospodyni, która weszła w tej chwili, uczyniła gest ostrzegawczy, a wyraz jej twarzy objawiał przerażenie i niechęć jednocześnie. Usprawiedliwiłem się chęcią zobaczenia, czy niema tam pokoju, w którymbym mógł przenocować, ale odrzekła żywo, że inne pokoje są zamieszkane. Nie zmartwiło mnie to wcale, gdyż myśl nocowania w tej brudnej oberży nie była ponętną. Siadłem do stołu i przekonałem się, że jedzenie znośniejsze było niźli sądziłem, z wyjątkiem skamieniałego wprost kotleta i zjełczałego oleju, którym oblała groch. Dostałem kilka smakowitych, smażonych rybek, oraz wcale dobre wino, którem uraczyłem się po znojnym dniu, zasypiając na krześle, zanim jeszcze przyniesiono mi na deser suche figi i twarde jak kość biszkopty.

Drzemałem jakieś dobre dwie godziny w cichej stancji, gdy nagle zbudziło mnie dziwne brzęczenie w pobliżu. Otworzyłem oczy, nie ruszając się, i słuchałem. Było to granie na starym klawicymbale, a dochodziło z pokoju, dokąd mi gospodyni zabroniła wstępu.

Trudno mi chyba wziąć za złe, że rozciekawiony przystąpiłem na palcach i spojrzałem przez dziurkę od klucza. Prawo to przysługuje nie tylko wam, nowelistom, ale i innym porządnym ludziom, którzyby inaczej nie mieli powodu podróżować. Jakże dobrze uczyniłem, podglądając. Z muzyki niczego

się nie dowiedziałem. Zachrypły, męski głos nucił różne fragmenty tekstu operowego, z których rozumiałem jeno zwyczajne, ciągle stosowane okrzyki: *Deh perfida! Ah barbaro! Come? Tiranna! O dio! Strappomi il cor dal seno...* i tak dalej. Prastary instrument stał przy przeciwległej ścianie, tak że śpiewak obrócony był tyłem. Po chwili jednak zaczął szukać czegoś w stosie nut, leżącym na łóżku, i ujrzałem jego profil. Zgadnij pan, kto to był?

— Chyba nie szalony baryton Tobia Seresi? — rzekłem.

— Ktoś jeszcze szaleńszy! Poznałem człowieka, w którego obecność nie uwierzyłbym, gdybym go nie widział na własne oczy. Był to signor Carlo, mąż mojej wdowy!

— Niepodobna! — powiedziałem — Wino Portovenere musiało wywołać ową wizję, lub może wszystko było jeno snem nocy letniej.

— Mylisz się pan! — zaręczył — Proszę słuchać dalej. Sam myślałem zrazu, że się łudzę. Ale badając szczegółowo, rozpoznałem najwyraźniej rysy mężczyzny z portretu nad sofą Lukrecji.

— A uszy? — spytałem.

— Uszu widać nie było. Włosy miał od całych snadź miesięcy niestrzyżone, zwisały mu bowiem aż na ramiona. Musiałem trącić drzwi, gdyż nagle obrócił się ku mnie i spytał:

— Czy to pani, Beatrice?

Takie miała imię gospodyni.

Wobec tego, żem się zdradził, postanowiłem do reszty sprawę wyświetlić i krzyknąłem przez dziurkę, że nie jestem Beatryczą, ale przyjacielem, który pragnie z nim zamienić słów kilka. Wymieniłem jego imię i nazwisko i zauważyłem, że się przeraził i dumał przez chwilę, żali ma się przyznać do swej identyczności. Nie było jednak rady, gdyż wykryto jego leże, przeto wstał i otworzył. Nie zapomnę spojrzenia, jakiem mnie zmierzył. Tak patrzeć musiał Łazarz, wstawszy z grobu.

— Drogi sor Carlo! — rzekłem — Cóż pan wyrabiasz? Czemu udajesz zmarłego i kryjesz się żywcem w tej norze, podczas gdy cała Piza rozbija się za panem, a nieszczęsna wdowa desperuje po dniach i nocach, przemyśliwając nad tem, jakby...

Tu wpadł mi na szczęście w słowo, gdyż inaczej byłbym przedstawił Lukrecję w zgoła fałszywem świetle.

— Jaka wdowa? — spytał — Czyż żona moja nie wie, gdzie jestem?

Opowiedziałem mu, oczywiście nie wspominając ni słowem o czułych stosunkach z Lukrecją, wszystko co się przydarzyło w Pizie, wyznając, żem mieszkał w jego domu i byłem świadkiem desperacji nieszczęsnej, opuszczonej kobiety. Gdy posłyszał o dwu fatalnych słoikach z relikwjami, popadł w straszliwe wzburzenie.

— To coś strasznego! — wrzasnął, targając się za włosy, przyczem zobaczyłem, że posiada nienaruszone zgoła uszy — Zostałem haniebnie oszukany! Odegrałem fatalną rolę w farsie, co mnie ośmieszy raz na zawsze!

Krzyczał, miotał się po stancyjce i długo trwało, zanim uspokoił się na tyle, by mógł siąść na łóżku i opowiedzieć mi wszystko po kolei.

Uważając mnie za przyjaciela domu, coprawda nie w tem najfatalniejszem znaczeniu, nie ukrywał niczego i niebawem poznałem całą historję jego miłości, małżeństwa i cierpień. Poznał swą żonę na scenie i zakochał się w jej piękności, nienawidząc jednocześnie jej głosu. Śpiewała bowiem tak strasznie fałszywie, że dręczyła tem jego uszy, rozkoszując jednocześnie swą postacią oczy. Oświadczył nawet, że biedny Tobia Seresi dlatego oszalał, iż musiał przez cały sezon zimowy śpiewać z nią duety. W tych warunkach nie miał innej rady sor Carlo, jak tylko ożenić się i zabrać Lukrecję ze sceny. Przeraźliwego atoli upodobania w śpiewie nie zatraciła ona nawet zostawszy gospodynią domu i matką. Lubowała się ponadto w hałaśliwych zwierzętach domowych, wrzasku dzieci, rozgwarze ulicznym, słowem w tumulcie wszelakim, to też nerwy biednego męża roztrzęsły się niebawem tak, że mowy być nie mogło o komponowaniu. Starał się być dobrym i wyrozumiałym, ale słuch jego przedrażniony został do tego

stopnia, że fałszywem wydawało mu się nawet kichanie żony, a trzewiki jej skrzypiały, jakoby, o ćwierć tonu za wysoko. Postanowił wyjechać do Neapolu na wypoczynek i tutaj przyszedł rychło do siebie. Mieszkał w domu lekarza, przyjaciela swego i oddawał się ulubionym zajęciom. Zdarzyło się też, że pewien młody poeta napisał tekst operowy po jego myśli i zaświtała mu nadzieja, że po kilku miesiącach pracy dokona dzieła, które go uczyni odrazu sławnym w całej Italji. Zaczęły niestety jednak nadchodzić coraz to gwałtowniejsze listy, Lukrecja zapewniała, że porzuci wszystko, dom i dzieci i przybędzie do swego umiłowanego Carla. Wyznał z westchnieniem, że było to całkiem możliwe, gdyż zazdrość stanowiła uzupełnienie rozlicznych jej zalet duchowych. W tej opresji zasięgnął rady przyjaciela, któremu bardzo leżała na sercu sława jego, a tenże wziął sprawę w ręce, zaręczając, że będzie miał spokój aż do końca zamierzonej pracy. Musiał przyobiecać, że nie napisze do niej, ani nie pokaże się komuś, ktoby mógł ją o nim ustnie zawiadomić. Przyjacielska rada wydała się kompozytorowi wyśmienitą, oddał się tedy pracy, wiedząc zresztą, że rodzinie jego dobrze się powodzi. Zimę spędził w cichym domku pod Amalfi i tam dokończył szkicu opery. Przyjaciel lekarz zaopatrywał go w pieniądze i donosił co miesiąc, że żona i dzieci mają się dobrze i zasyłają pozdrowienia. Gdy jednak przyszło pisać

partyturę, nie mógł się obejść bez fortepianu, wyjechał tedy z Amalfi i po krótkim pobycie w Neapolu, ruszył do Portovenere, dokąd mu przywieziono stary klawicymbał ze Specji. Tutaj pracował spokojnie od pięciu miesięcy. Tydzień jeszcze, a ukończyłby instrumentację ostatniego aktu, aż tu nagle dowiaduje się, że przyjaciel w najnikczemniejszy sposób zdradził jego zaufanie, inscenizując farsę, która zeń uczyni niewątpliwie pośmiewisko całej Italji i to w chwili, kiedy staje u progu sławy.

— Uspokój się pan! — powiedziałem, tłumiąc z trudem śmiech — Nic jeszcze nie jest stracone. Mało kto wie dotąd o owych nieszczęsnych uszach, które przyjaciel pański musiał obciąć zapewne jakiemuś nieboszczykowi podczas sekcji, bowiem niepocieszona wdowa pańska pokazywała je tylko zaufanym. Cóż w tem zresztą śmiesznego, że szczęśliwy ojciec rodziny usuwa się przed krzykiem dzieci i zwierząt domowych w ciche ustronie, celem dokonania wielkiego dzieła? Coprawda, czas już najwyższy wracać, gdyż koło pięknej żony pańskiej kręcą się liczni wielbiciele, niby wokoło ś. p. Penelopy, i jeśli pan będziesz dłużej nieboszczykiem...

— Panie! — krzyknął chwytając mą dłoń — Co pan masz na myśli?

— Nic złego, nic, coby dotykało honoru pańskiego. Cała Piza wielbi zachowanie się pańskiej żony i nie krąży o niej ni jedna pogłoska, a przypad-

kowe wynajęcie mi pokoju w niczem nie narusza jej uczciwości. Mam w Niemczech narzeczoną i zapewniam najświęciej, że nic mi w Pizie nie było obojętniejszem nad kobiety.

Spojrzał na mnie przenikliwie, tak że nabrałem pewności, iż nie wygasła w nim dotąd namiętność dla pięknej Lukrecji, gdym mu wkońcu opowiedział o mem dziele na temat architektury pochyłej, uspokoił się do reszty, przekonany, że jestem ostatecznym głupcem.

— Wierzę panu! — rzekł — Ale cóż mam czynić? Poradź mi pan! Przez całe życie byłem niepraktyczny i żyłem jeno sztuką moją.

— Wiesz pan co? — odparłem — Najlepiej będzie, jeśli wrócę do Pizy i przysposobię żonę pańską, inaczej bowiem mogłoby pańskie niespodziane zjawienie przyprawić o śmierć ze strachu jej wrażliwą duszę. Dostałaby conajmniej gorączki nerwowej. Pan tymczasem zapakuj swą operę i przyjedź nazajutrz rano.

Rada ta wydała się najlepszą poczciwcowi, który siedział zupełnie oszołomiony na łóżku. Rozstaliśmy się, zapłaciłem obiad i ruszyłem na dół wąską, ciemnawą już potrochu uliczką. Teraz dopiero mogłem uśmiać się dowoli i nacieszyć głęboką treścią tej dziecinnej farsy. Im dłużej rozmyślałem, tem lepiej pojmowałem znawstwo ludzi owego Neapolitańczyka. Wiedział on, podobnie jak i ja, że

żaden łagodniejszy środek nie byłby zmusił nadobnej Lukrecji do czekania na swego Carla przez ciąg dziesięciu miesięcy. Delektowałem się też z góry myślą, że wrócę do mego pokoju w Pizie jako człowiek wolny, nie obawiający się, że go: *sin' all' ore, all' ore estreme*, w cieniu pochyłej wieży zmusi do odpowiadania własnem szczęściem za „drugie szczęście" uroczej gospodyni.

Ale cóż się stało! Minąłem właśnie rozwaloną bramę i miałem skręcić ku przystani celem odszukania mego starego przewoźnika, gdy nagle zobaczyłem zawoalowaną damę, zbliżającą się ku mnie szybko z okrzykiem na ustach. Nie zważałem na to, mając głowę czem innem nabitą, i minąłem ją szybko. Nagle dama chwyciła me ramię, odsłoniła welon i zawołała tonem oburzenia moralnego:

— Ha zdrajco! Czyż i teraz chcesz uciec przede mną?

Pojmiesz pan jak się przeraziłem.

— Lukrecjo! — wykrzyknąłem, nie mogąc rzec nic ponadto i uświadomiłem sobie jak dalece pogorszyła swą sytuację niespodziewanem przybyciem. Pomyśl pan jeno, szalona niewiasta ruszyła za mną w pogoń, chcąc przychwycić żywego, czy martwego, na lądzie, czy morzu — Na miłość boską! — zawołałem po chwili — Co czynisz, Lukrecjo?

— O Fernando! — odparła z gestem dostojnym — Chronię się do ciebie przed ludzkiem prześladо-

waniem. Wuj wrócił z Florencji i wpadł w taką złość, że poprzysiągł uśmiercić cię za to, żeś się wśliznął do mego domu, oczywiście o ile nie oczyścisz mego honoru w sposób przystojny i należyty. Daremnie uspakajała go ciotka, chciał cię ścigać, żądać zadośćuczynienia, albo zastrzelić jak zbója, czy mordercę. Cóż miałam czynić, nieszczęsna? Łzami i zaklęciami wybłagałam trzydniową zwłokę, a głos wnętrzny powiedział mi, że pana odnajdę i zapobiegę złemu. Dowiedziałam się w „Nettuno", żeś pan wyjechał do Specji, tam zaś widziano jak płynąłeś do Portovenere.

— Przybywasz pani w sam czas! — odparłem — Oszczędza mi to drogi, bo właśnie miałem wracać celem zawiadomienia, że wdowieństwo pani skończone!

— Doprawdy? Tedy wszystko dobrze i możemy siadać zaraz do łódki! Wiedziałam dobrze, że nie zechcesz pan tak strasznie kompromitować samotnej kobiety...

— Za pozwoleniem! — rzekłem — Nie skończyłem jeszcze. Oto zmarli wstają czasem z grobu. Nieboszczyk pani siedzi tam oto w gospodzie i zasyła przeze mnie pozdrowienie. Jest zdrów i cały, posiada też wszystkie swe uszy, które pani pewnie odtąd nieco łagodniej traktować raczysz.

Teraz ona zdębiała. Patrzyła na mnie, jakbym jej opowiadał baśń z tysiąca i jednej nocy, ja zaś zawiadomiłem ją o wszystkiem pokrótce.

— Dla przekonania pani, — dodałem wkońcu — że mam dobre zamiary, dam pani radę, która wszystko wyrówna świetnie. Musi pani udać się zaraz do swego nieboszczyka i powiedzieć, żeś przybyła skutkiem pogłoski o jego obecności w Portovenere. Zacny człek, który mimo pewnych mankamentów pani, kocha cię, Lukrecjo, ślepo, nie będzie zbyt ściśle sprawy badał, a kilka słów, skierowanych do wuja, doprowadzi tego męża do równowagi, a jeśli boi się pani plotek sąsiadów, to możecie z mężem odbyć małą wycieczkę po Riwierze i wrócić, gdy umilknie wszystko. Oczywiście mojej dyskrecji może pani być pewna, gdyż zachowam dozgonną wdzięczność za to, żeś mnie raczyła uznać godnym stworzenia „drugiego szczęścia“ swego.

Przez cały ciąg tej długiej mowy bawiłem się wrażeniami, jakie widniały w rysach jej twarzy, najuciesznejszym atoli był lodowaty chłód, okazany mi w chwili, gdy pojęła, że trafna rada moja zwalnia ją z obawy o skutki całej przygody.

— Va bene! — rzuciła półgłosem — Życzę panu dobrej podróży!

Skinęła głową na pożegnanie łaskawie, niby zgoła nieznanemu przechodniowi, którego pytała o drogę, i nasunąwszy welon, ruszyła majestatycznie ulicą pod górę celem czułego powitania męża. Nie wątpię, że scena ta wypaść musiała wspaniale i że go okłamała z zupełną swobodą i ukontentowaniem.

Ach, te kobiety! Nigdy nie są mądrzejsze, straszliwsze, bardziej pomysłowe i ponętniejsze niż wówczas, gdy mają coś na sumieniu!

Oto moja przygoda z wdową z Pizy! — zamknął opowieść sąsiad i zapalił świeże cygaro — Cóż pan na to? Czy nie zrobisz z tego noweli?

— Broń Boże! — wykrzyknąłem — Okropniebym się skompromitował! Któż z pośród czytelników niemieckich dałby wiarę tym szaleństwom?

— To prawda! — odparł — Aleś pan sam temu winien, bo szerzysz opinję, że kobiety z poza Alp (przebyliśmy właśnie grzbiet Cenisu i zjeżdżaliśmy ku Sabaudji) ulepione są ze zgoła innego materjału i różnią się wielce od pięknych cór niemieckiej ojczyzny naszej. Czyż historja ta nie mogłaby się była zdarzyć również w Niemczech?

— Co? — zawołałem zdumiony — Czyż myślisz pan to na serjo?

— Tak jest! — powiedział z powagą — Oczywiście z wyjątkiem epizodu o obciętych uszach. Żyjemy, Bogu dzięki, w państwie prawno-policyjnem, a rzezimieszki nasze obcinają co najwyżej mieszki i warkocze. Co się jednak tyczy wdów, to sądzę...

W tej chwili dyliżans stanął przed budynkiem stacyjnym, a filiżanka kawy przeszkodziła dalszej rozmowie, która zaczęła właśnie zbaczać na tory wielce nieprzystojne.

KONIEC.

POLITECHNIKA BIBLIOTEKA GŁÓWNA KRAKOWSKA

SPIS RZECZY.

Strona

L'Arrabbiata 1

Nad Tybru brzegiem 33

Barbarossa 121

Andrea Delfin 165

Samotni 283

Wdowa z Pizy 327

WYDAWNICTWO POLSKIE
SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ
LWÓW ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15 || POZNAŃ ULICA ZWIERZYNIECKA L. 6.

PROSPEKT

BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA. STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała bibljoteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA" jest pierwszem tego rodzaju przedsiębiorstwem wydawniczem w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stanęło na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
„ II. RABINDRANATH TAGORE — NOC ZISZCZENIA
„ III. MAURYCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
„ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON SYNNÖVE SOLBAKKEN — [MARSZ WESELNY
„ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
„ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ
„ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ
„ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI- [GNARDA
„ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU- [SZY — ZBŁĄKANE PTAKI
„ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS
„ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEŁ DOMOWEGO OGNISKA
„ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIEŃSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
„ XIII. MAURYCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW
„ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS
„ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI
„ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI [BENGALU.
„ XVII. MAURYCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
„ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.

W dalszym ciągu pojawią się następujące tomy:
ROMAIN ROLLAND — ANETKA I SYLWIA — POWIEŚĆ

KNUT HAMSUN — WIKTORJA — POWIEŚĆ
GERHARD HAUPTMANN — KACERZ Z SOANY — POWIEŚĆ
HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA — POWIEŚĆ.

„BIBLJOTEKA LAUREATÓW NOBLA" wychodzi w odstępach mniejwięcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do 25 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.

S. 91

S - 96

36.404
I
35104
20.V.38

OWSKA
WNA

Biblioteka Politechniki Krakowskiej
100000231572